

JAKUB BOBROWSKI
MATEUSZ WRONA

M I T

O L O

G I A

SŁOWIAŃSKA

ilustracje Magdalena Boffito

M I T



JAKUB BOBROWSKI
MATEUSZ WRONA

O SŁOWIAŃSKA O

ilustracje Magdalena Boffito

G



Spis treści

Wstęp

Część I. Bogowie

Stworzenie świata

Stworzenie niebios

Bogowie ziemi

Człowiek

Kraina umarłych

Część II. Biesy

Biesy ziemskie

Biesy wodne

Biesy powietrzne

Biesy leśne

Część III. Junacy

Samon, kupiec rudowłosa

Niklot, syn Pólnocy

Słowniczek trudniejszych wyrazów i nazw własnych

Bibliografia

Tekst

Jakub Bobrowski, Mateusz Wrona

Projekt graiczny

Błażej Ostoja Lniski

Ilustracje

Magdalena Boffito

Redakcja

Anna Chudzik

Koordinacja prac redakcyjnych

Sabina Florczak

Korekta

Paweł Wielopolski, Sabina Florczak

© Copyright by Wydawnictwo BOSZ

© Copyright for text by Jakub Bobrowski and Mateusz Wrona

© Copyright for illustrations by Magdalena Boffito

Olszanica 2020

Wydanie I cyfrowe

ISBN 978-83-7576-511-3

BOSZ Szymanik i wspólnicy sp. jawna

38-722 Olszanica 311

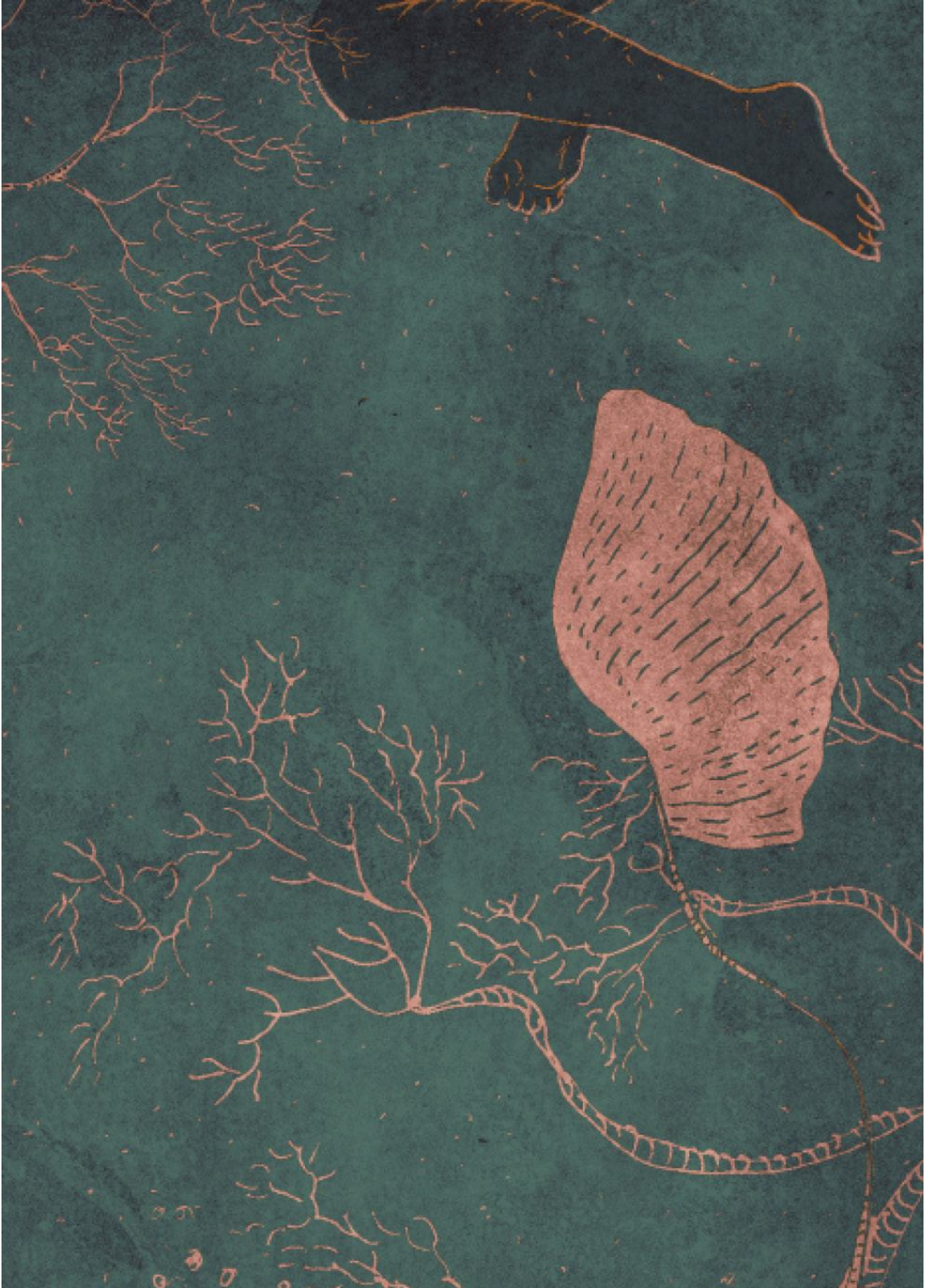
Biuro: ul. Przemysłowa 14, 38-600 Lesko

tel. +48 13 469 90 00, faks +48 13 469 61 88

biuro@bosz.com.pl

www.bosz.com.pl

Wersję cyfrową przygotowano w systemie **Zecer** firmy Elibri





Wstęp

Zakrawa na paradoks, że współczesny Polak dysponuje prawdopodobnie znacznie większym zasobem wiadomości na temat mitologii greckiej, rzymskiej, być może nawet egipskiej czy mezopotamskiej, niż mitologii słowiańskiej, najbliższej mu kulturowo. Z niej przecież wyrasta w ogromnej mierze polski folklor, obrzędowość ludowa, a nawet liczne zwyczaje obecne w kulturze ogólnonarodowej, by przywołać tak klasyczne przykłady, jak malowanie jajek na Wielkanoc czy zapalanie zniczy na grobach w dzień Wszystkich Świętych i w Zaduszki. Rodzime wątki mitologiczne rozbrzmiewają również echem w polskiej literaturze – znaleźć je można u pisarzy tak różnych jak Jan Kochanowski, Adam Mickiewicz czy Andrzej Sapkowski. A jednak gdyby zapytać przechodniów na ulicy o mitologię słowiańską, większość poza mglistym wyobrażeniem Światowida nie byłaby pewnie w stanie przywołać żadnych wiadomości.

Na stan taki złożyło się wiele przyczyn. Decydujące znaczenie ma zapewne fakt, że zachowało się bardzo niewiele świadectw mitycznego obrazu świata naszych przodków. Wyznawcy przedchrześcijańskiej religii pisma nie znali, więc nie mogli utrwalić swych wierzeń, a przedstawiciele chrześcijaństwa, tępiący pogańskie wierzenia z nadzwyczajną gorliwością, nie byli szczególnie zainteresowani zachowaniem dla potomności tego, czego nienawidzili. Oczywiście dysponujemy pewną liczbą źródeł, ale przedstawiają one słowiańskie wierzenia w sposób bardzo wyrywkowy i tendencyjny. Wiele reliktyw pierwotnego życia duchowego zachowało się w kulturze ludowej, ale często trudno jest je wyłuskać oraz zrekonstruować ich oryginalną postać.

Nie zważając na wymienione przeciwności, reprezentanci rozmaitych dyscyplin humanistycznych – historycy, antropolodzy, religioznawcy, językoznawcy – od lat prowadzą badania nad pierwotnymi wierzeniami Słowian, świetnie bowiem zdają sobie sprawę z kulturowego znaczenia tego zagadnienia. Dzięki ich wysiłkowi wiemy już dziś o mitach naszych przedchrześcijańskich przodków naprawdę niemało. Na polskim rynku wydawniczym pojawiło się wiele wartościowych opracowań naukowych, które jednak często napisane są językiem trudnym, mają charakter

specjalistyczny, nie mogą więc raczej przyczynić się do popularyzacji wiedzy o mitologii słowiańskiej wśród szerszego grona odbiorców. Wprawdzie po 1989 roku powstało również kilka książek popularnych, czasem fabularyzowanych, przeważnie jednak są one owocami fantazji autorów, w nikłym zaledwie stopniu nawiązującymi do ustaleń współczesnej nauki.

Gdy postanowiliśmy przygotować książkę poświęconą mitologii słowiańskiej, uznaliśmy, że powinno być to opracowanie popularne, interesujące dla szerokiego kręgu czytelników, ale bazujące ściśle na opracowaniach naukowych. Stworzyliśmy zbiór fabularnych historii ilustrujących treść słowiańskich mitów i wierzeń. Fabuły są oczywiście owocem inwencji autorów, inaczej bowiem niż w przypadku mitologii antycznej nie dysponujemy żadnymi oryginalnymi zapisami narracji mitycznych. Jednak wszystkie kulturowo-historyczne składniki opowiadań – imiona bóstw i demonów, ich atrybuty i zachowania, realia społeczno-obyczajowe – zgodne są z aktualną wiedzą naukową. Opieraliśmy się na najbardziej wiarygodnych opracowaniach, które wyszły spod pióra wybitnych uczonych – listę najważniejszych pozycji zainteresowany Czytelnik znajdzie w bibliografii zamieszczonej na końcu książki.

Założywszy, że forma przekazu powinna harmonizować z jego treścią, zadbaliśmy o przemyślany kształt językowo-stylistyczny naszych opowieści. Wprowadziliśmy zatem umiarkowaną, ale jednak dość wszechstronną archaizację tekstu (pogłębioną w wybranych fragmentach, co zawsze uzasadnione jest fabularnie). Trudniejsze, zresztą przeważnie powtarzające się wyrazy objaśniamy w słowniczku na końcu książki. Świadomie unikaliśmy słów wyraźnie obcojęzycznej proveniencji, odsyłających do kodu kulturowego i świata pojęć nieprzystających do wyobrażeń dawnych Słowian. Dlatego nigdy nie pojawia się w naszych opowieściach wyraz demon, jest za to bies, nie mówimy o naturze, ale o przyrodzie itd. Dużą wagę przywiązywaliśmy również do indywidualizacji języka bohaterów – wypowiedzi niektórych postaci okrasiliśmy elementami potocznymi, a nawet gwarowymi.

Książka składa się z trzech części. Pierwsza to fabularna rekonstrukcja mitu kosmogonicznego, teogonicznego i antropogenicznego, opowiada zatem o powstaniu świata, bogów i ludzi. W drugiej staraliśmy się w cyklu opowiadań przybliżyć czytelnikowi świat słowiańskiej demonologii. Tonacja tych opowieści jest dość zróżnicowana – obok elementów grozy

i niesamowitości pojawiają się też pierwiastki liryczne, a nawet komiczne. W trzeciej części podjęliśmy próbę „stworzenia na nowo” słowiańskich mitów bohaterskich (skądinąd nieznanych).

Mitologia słowiańska jest pierwszym tego rodzaju literackim opracowaniem podań naszych pogańskich przodków. Ogólna konwencja książki zbliżona jest nieco do popularnych syntez mitologii antycznej, ze słynną *Mitologią* Jana Parandowskiego na czele. Jako opracowanie pionierskie nie jest zapewne całkowicie wolna od niedoskonałości, mamy jednak nadzieję, że spotka się z życzliwym przyjęciem Czytelników i spełni postawione przed nią zadanie – przyczyni się do wzrostu społecznej świadomości słowiańskich, przedchrześcijańskich korzeni naszej kultury.

Autorzy







CZĘŚĆ I

BOGOWIE

Stworzenie świata

Na początku nie istniało nic prócz nieba i morza. Trudno pojąć bezmiar prastarych wód. Rozglądając się wokół, nie ujrzelibyśmy niczego poza ciemną tonią. Pośród niezmaconej żadnym dźwiękiem ciszy morze trwało w bezruchu. Ponad wodą rozpościerało się niebo zalane bladym światłem niebieskiego ognia. Ogień ów nie miał swego źródła ani końca i tak jak morze przedwieczne – trwał. Siny blask spływał z bezkresnych wyżyn, by zatrzymać się na powierzchni wód spowitych granatowym mrokiem.

Na gładkiej tafli morza kołysała się łódź, w której siedział pierwszy z bogów. Skąd się wziął? Czy zrodził się z nicości, czy też podobnie jak morze i niebiosy istniał od zawsze? Niewyjaśniona to tajemnica. Wiadomo, że był nim potężny Perun – władca nieba, burzy i błyskawic. Twarz miał surową, a gęsta broda i siwe włosy opadające na szerokie ramiona przydawały mu tym większej grozy. Na dnie łodzi spoczywał ogromny młot wykuty z kamienia, którym Perun uderzał w gniewie, sypiąc wokół śmiertcionośne gromy.

Pan nieba władał tą bezkresną krainą, lecz sprzykrzyło mu się rozświetlanie nieba błyskawicami i wpatrywanie w odległy widnokrąg. Znużony samotnością wychylił się z łódki i spojrział w morską otchłań. Na powierzchni ujrzał brodatą twarz przyglądającą mu się ciekawie.

– Kim jesteś? – zapytał.

– Zaproś mnie do swej łodzi, to ci powiem – odparł nieznajomy.

Perun pomógł mu wdrapać się do łodzi, a gdy ten usadowił się obok, rzekł:

– Ja jestem Weles.

Tak to z odbicia pierwszego boga narodził się bóg otchłani. Siedzieli w łodzi, milcząc i przyglądając się sobie z ciekawością. Weles był bardzo

do Peruna podobny. Ciało miał mocne i pierś potężną, oczy bystre, ale ciemne i głębokie jak morze, z którego się wynurzył. Perun pomyślałby, że drugiego siebie stworzył z własnego odbicia, gdyby nie włos i broda przybysza, które – choć również Perunowym podobne – barwę miały zupełnie czarną.

Rychło zdruzgotało ich dryfowanie bez celu. Wtedy to Weles wpadł na pewien pomysł:

– Byłoby dobrze, gdyby miejsce pod nami było twarde i dało się po nim stąpać.

– Niech tak będzie! – zgodził się Perun. – Zejdź na dno i przynieś mi garść łądu, a ja uczynię go na powierzchni. Powiedz tej ziemi, że niesiesz ją w imię moje.

Weles wyskoczył z łodzi i zanurkował w głębinę. Im głębiej opadał w otchłań, tym sina woda stawała się mroczniejsza. Gdy dotarł do dna, otoczyła go nieprzenikniona czerń. Wziął garść piasku i rzekł:

– Biorę cię w imię moje!

Perun czekał niecierpliwie, zerkając w wodę, gdyż bardzo pragnął stworzyć suchy łąd. Weles po chwili wynurzył się i wyciągnął dłoń. Niestety woda wypłukała cały piach i w jego garści nie zostało nawet jedno ziarnko.

– Idź i spróbuj raz jeszcze! – rozkazał Perun.

Weles zszedł na dno i znów nabrał zamulonego piasku w garść, mówiąc:

– Biorę cię w imię moje!

Lecz i tym razem, kiedy dotarł do łodzi, jego dłoń okazała się pusta.

– Czy nie zapomniałeś, że musisz przynieść ziemię w imię moje? – zapytał podejrzliwie Perun.

Weles nie chciał się przyznać, że dwukrotnie przekreślił zaklęcie władcy nieba. Pragnął, aby ziemia należała tylko do niego.

– Pamiętam i spróbuję raz jeszcze.

Po tych słowach Weles ponownie zniknął w sieniej wodzie. Tym razem, wiedząc już, że nie ma tak potężnej mocy jak Perun, rzekł, podnosząc garść piachu:

– Biorę cię w imię Peruna!

Jednak nim odbił się od dna, chwycił jeszcze leżący w mule niebieski kamień. Płynął ku powierzchni, ściskając w pięści drobinki ziemi, aż dotarł do Perunowej łodzi. Rozwarł dłoń, na której ukazało się zaledwie kilka

ziarenek piasku. Perun wziął jedno z nich i rzucił na wodę. Kiedy tylko piasek dotknął powierzchni morza, zaczął rozszerzać się i pęcznieć. Z tego maleńkiego zalążka rozrósł się grunt. Bogowie ucieszyli się ze swego dzieła i zeszli na twarde ląd. Tak powstała ziemia, która w owym czasie przypominała jeszcze maleńką wyspę na oceanie. Było na niej wystarczająco miejsca, aby obaj mogli położyć się i odpocząć.

Zmęczony Perun wkrótce zasnął, nie spodziewając się, że podstępny Weles tylko na to czeka. Pragnąc niepodzielnie panować nad ziemią, próbował zepchnąć Peruna do wody. I oto stała się przedziwna rzecz. Za każdym razem, kiedy śpiący bóg miał już wpaść do wody, ziemia rozszerzała się i dawała mu podporę. Weles nie ustępował i spychał Peruna coraz dalej. Ciągnął go we wszystkie strony, ale wszędzie tam, gdzie znalazł się pan błyskawic, wyrastał ląd, nie pozwalając mu wpaść do morskiej toni. Umęczony wysiłkiem Weles spostrzegł, że ziemia jest już bardzo rozległa, a wszystkie jego próby pozbycia się Peruna są daremne. Wpadł w straszliwy gniew.

„Ziemia należy się mnie, bo to ja wydobyłem ją z dna morza” – myślał, zgrzytając zębami.

W tej właśnie chwili przebudził się Perun. Widząc rozwścieczonego Welesa i ląd ciągnący się daleko we wszystkie kierunki świata, zrozumiał, co się stało. Zmarszczył groźne czoło i chwycił swój potężny młot. Weles – zły, że jego przebiegły plan wyszedł na jaw – ścisnął w pięści wydobyty z dna morskiego kamień i rzucił się na Peruna. Straszna to była walka. Dwóch przepotężnych bogów zwarło się ze sobą w morderczym uścisku. Ziemia po raz pierwszy i ostatni trzęsła się wówczas z taką mocą, a niebo nigdy później nie oglądało podobnej potyczki. Bogowie ścigali się po całej powierzchni nowego lądu, zadając sobie okrutne ciosy. Ciężko było ocenić, który z walczących zwycięży. Obaj potężni i silni nie chcieli ustąpić przeciwnikowi.

Perun zamachnął się kamiennym młotem i uderzył z niewyobrażalną siłą. Spod młota wystrzeliła świetlista błyskawica, trafiając Welesa w tors. Ugodzony bóg potoczył się po ziemi, a wydobyty z przedwiecznej wody niebieski kamień wypadł mu z ręki i pękł na dwoje. Weles poczuł, że usta ma pełne piasku, który połknął, nurkując do morskiego dna. Moc pioruna sprawiła, że piasek zaczął pęcznieć tak, że przebiegły bóg nie mógł dłużej utrzymać go w ustach. Weles rozdarł powietrze potwornym krzykiem, po

czym splunął, a ziemia, którą z siebie wyrzucił, utworzyła potężne kopce. Tak powstały góry ciągnące się długimi pasmami po całym lądzie.

Weles wiedział, że jego moc jest zbyt mała, aby pokonać boga burzy. Chwyił ułamaną połowę niebieskiego kamienia i przelewając w nią całą swą nienawiść, cisnął w Peruna. Pęknięty kamień w locie zaczął się przeobrażać. Najpierw rozciągnął się w długie grube cielsko zakończone łbem o wielkiej paszczy. Potem z cielska wyrosły cztery łapy uzbrojone w ostre szpony, aż w końcu z grzbietu potwora wystrzeliły ogromne błoniaste skrzydła. Pokryty był on łuską jak u węża, a długi ogon wieńczył ostry grot. W taki sposób narodził się Wielki Smok.

Poczwara chwyciła w szpony srebrnobrodego boga i rozwarła paszczę, odsłaniając ostre jak włócznie zęby. Perun wzniósł się w powietrze i odpowiedział gradem potężnych ciosów. Świst młota mieszał się z szumem skrzydeł, kiedy walczący wirowali wokół siebie po całym niebie. Wielki Smok nie ustępował. Będąc owocem największego gniewu i nienawiści, jakie widział świat, nie znał innego celu niż śmierć i zniszczenie. Perun zrozumiał, że może toczyć tę podniebną walkę przez wieki, a ponad wszystko pragnął teraz ukarać Welesa za zdradę i chciwość. Zszedł na ziemię i podniósł drugą połowę niebieskiego kamienia. Podrzucił go w powietrze i ugodził błyskawicą, krzycząc:

– Powołuję cię do życia, Wielki Żmiju, i daję ci moc władania piorunem, z którego powstałeś.

Kiedy tylko wypowiedział te słowa, kamień przeobraził się w świetlistą istotę. Żmij wyglądał jak ogromny orzeł, tylko jego ogon podobny był do węzowego. Rozwinął białe skrzydła i natarł na Wielkiego Smoka, szarpiąc jego łuskowate ciało drapieźnie zakrzywionym dziobem. Niebo rozbłysło piorunami, którymi dzięki mocy Peruna władał Wielki Żmij. Pradawny Smok także otrzymał dar od swojego twórcy. W momencie stworzenia Weles, który sam narodził się z pierwotnego morza, przekazał mu zdolność pochłaniania wody. Poczwarny stwór wykorzystał teraz swoją moc, aby zagasić ogniste pociski. W ten sposób z ciała Smoka trysnęła woda, a na ziemię po raz pierwszy spadł deszcz.

Gdyby Perun i Weles spojrzeli w niebo, zobaczyliby walkę podobną do szalejącej burzy, ale dwaj bogowie nie dbali o to, co dzieje się ponad nimi. Stali teraz naprzeciw siebie gotowi na ponowne starcie.

Perun uniósł się i spadł na Welesa, chwytając jego czarne włosy. Weles, próbując się uwolnić, złapał pana błyskawic za siwą brodę. Szarpali się

długo – aż do chwili, kiedy każdy wyrwał drugiemu garść włosów. Wtedy to właśnie za sprawą połączonych mocy najstarszych bogów wyrosło święte Drzewo Życia. Do dziś nie wiadomo, czy wykiełkowało za sprawą złączonych w walce kropli krwi obu bogów, które stworzyły ziarno, czy też wyrwane pęki włosów splątały się z sobą i rozrosły w potężny pień. Tak czy inaczej, na samym środku świata pojawiła się kolumna ogromnego Dębu, który wystrzelił w powietrze, roztaczając grube konary ponad łądem, i zapuścił mocne korzenie w głąb ziemi. Drzewo to na zawsze stało się symbolem nowego świata.

Tak jak i cała ziemia, Drzewo Życia zrodziło się z mocy Perunowego ognia i Welesowej wody. Korona Drzewa zajęła miejsce w przestrzeni Peruna, który był panem nieba i boskiego ognia, a korzenie wrosły w łąd tak głęboko, że sięgnęły pierwotnej wody, nad którą panował Weles i z której został zrodzony. Pień Wielkiego Dębu stanął majestatycznie na ziemi, łącząc te życiodajne siły.

Perun, widząc, że Weles opada z sił, machnął młotem i trafił go w pierś. Moc uderzenia była tak ogromna, że mroczny bóg wpadł do wnętrza ziemi i legł wyczerpany pośród korzeni Wielkiego Drzewa. Walka prabogów była skończona. Perun wyprostował się i uniósł triumfalnie swój kamienny młot. Jego potężną sylwetkę rozświetliły błyskawice. Wówczas przemówił:

– Welesie, zostałeś strącony do podziemia i w nim pozostaniesz. Będziesz przebywał wśród wód, którymi władasz. Ponieważ ośmieliłeś się wystąpić przeciw mnie i stworzyłeś Wielkiego Smoka na zgubę ziemi, trafi do ciebie wszystko, co na niej umrze.

Od tej pory Weles przebywał w korzeniach Drzewa Życia. Grube konary posplatały się ze sobą, tworząc tron, na którym zasiadał. Czasem odwiedzał ziemię, gdyż była ona w połowie jego dziełem. Nie mógł jednak zbliżyć się do korony Drzewa Życia – tam niepodzielnie panował Perun.

Nim jednak pan błyskawic powrócił do płonącego boskim ogniem nieba, musiał uporać się z Wielkim Smokiem, który nadal walczył z potężnym Żmijem. Wśród ulewy i gromów Srebrnobrody zobaczył, jak na ziemię spadają pióra wyszarpane z orlich skrzydeł Żmija i wydarte z grzbietu Smoka łuski.

Perun kamiennym młotem wykuł gruby łańcuch, który okręcił wokół szyi Wielkiego Smoka. Zaciągnął poczwagę do podnóża Drzewa Życia i strącił w podziemia. Pośród korzeni wbił potężny pal i przytwierdził do niego drugi koniec łańcucha. Rozszalały Smok został uwięziony. Jednak

łańcuch nie był dość mocny, gdyż moc Peruna nie sięgała do podziemi i nie mógł wkroczyć do miejsca, w którym panował Weles. Potwór nieustannie próbuje się uwolnić i kiedy mocniej szarpie drewniany pał, cała ziemia trzęsie się razem z nim.

Od tamtej pory aż do dziś Wielki Smok stara się uwolnić z podziemnego więzienia, a łańcuch, który go trzyma, nieustannie słabnie. Każdego roku, kiedy Smok jest już bliski uwolnienia, ziemię nawiedza śmiertelny mróz i pokrywają ją śniegi. Wtedy to Perun uderza młotem i przekuwa łańcuch na nowo. Ten pierwszy w roku grom zwiastuje rychłe nadejście wiosny.

Po uwięzieniu Smoka Perun wysłał wyczerpanego Żmija w koronę Drzewa Życia, bo chciał, aby zabił jego rany. Sam oparł się o ogromny pień i usnął. Na ziemi zapanował spokój, a blade światło niebieskiego ognia oblewało całą krainę.

Jednak głęboko pod powierzchnią ziemi na splecionym z korzeni Dębu tronie siedział bóg, który nie mógł zasnąć mimo okrutnego zmęczenia. Kiedy spoglądał na szamoczącego się w niewoli Wielkiego Smoka, zaciskał z gniewu pięści.

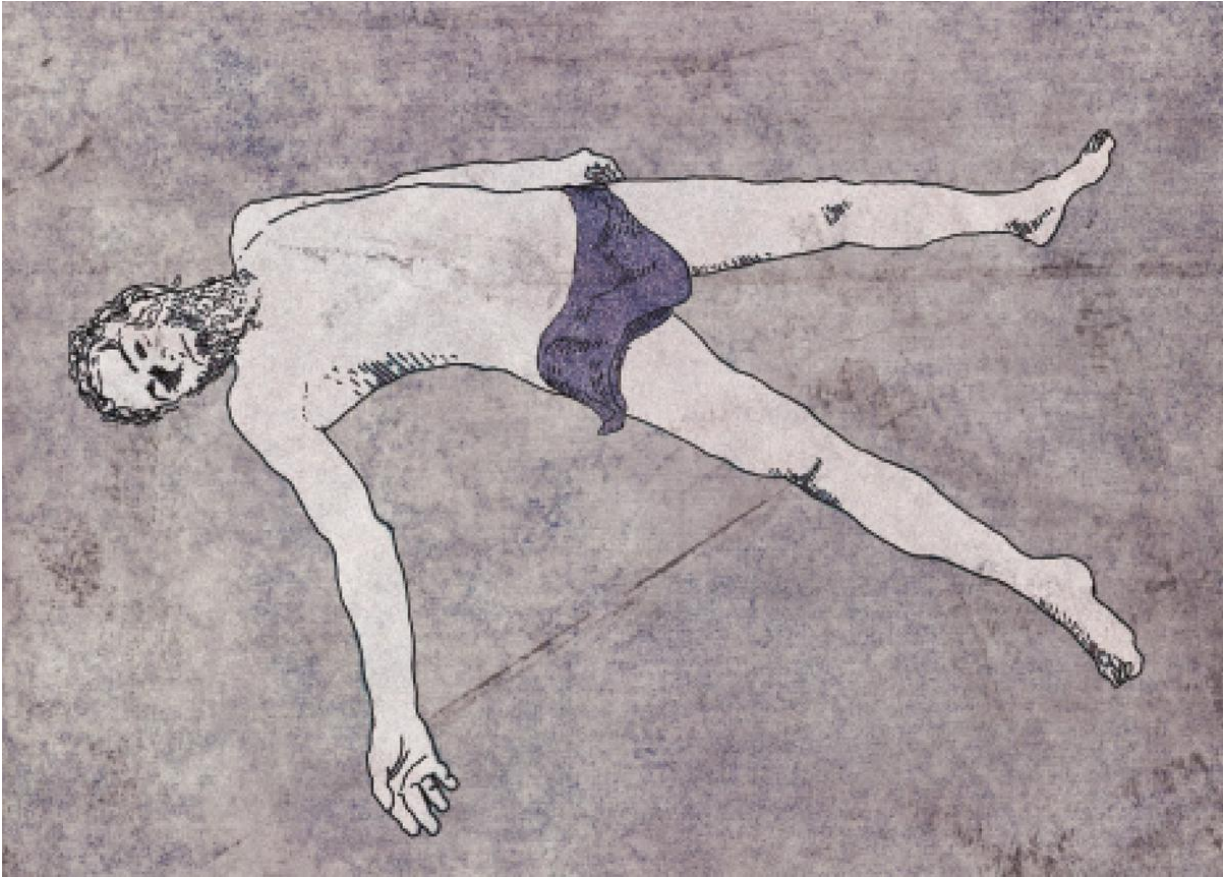
– Perun nas pokonał i stracił do otchłani – syczał przez zęby. – Ale to jeszcze nie koniec. Ziemia należy do mnie i nadal czuję swą moc.

Istotnie, Weles zrodził się z odbicia najstarszego z bogów i tak jak on posiadał moc tworzenia. Dlatego wspinał się po korzeniach na ziemię i rozejrzał dokoła. Na ziemi nie było nic prócz śladów walki boskich stworów. Leżały tam wyszarpane pióra i łuski. Weles splunął na ziemię i nagle łuski zaczęły się przeobrażać. Z każdej z nich powstawał nowy stwór. Wyglądem przypominały pradawnego Smoka, choć były dużo mniejsze. Smoki zatrzepotały skrzydłami i wzbiły się w powietrze. Ich długie ogony z ostrymi grotami kreśliły w powietrzu złowrogie smugi. W owym czasie Weles wydrążył w łądzie koryta i podszepnął wodzie, aby z głębi wytrysnęła szczelinami na powierzchnię. Ta wypełniła koryta i doliny, tworząc rzeki i jeziora.

Gdy setki smoczycich skrzydeł przysłoniły niebo, Perun przebudził się ze snu. Widząc, co się stało, pan nieba potrząsnął z gniewu głową. Z jego siwej brody posypały się iskry, które padając na rozrzucone po ziemi pióra, dały im życie. Chwilę potem ogromne stado małych żmijów wzbiło się w powietrze i ruszyło w pogoń za smokami. Było ich tak wiele, że wkrótce rozpieczęły się po całej ziemi.

Od tamtej pory smoki kryją się na bagnach, w pobliżu rzek lub stawów i piją z nich wodę, by później szybować w postaci chmur i zalewać nią ziemię. Żmije natomiast, w postaci białych obłoków, tropią Welesowych wysłanników i rozganiają ich piorunami. Ta podniebna walka trwa do dziś i każdy może zaobserwować ją na niebie w czasie burzy.

Tak oto powstał świat – z ognia i wody. Z połączonych sił najpotężniejszych bogów – Peruna i Welesa – narodziła się ziemia, jaką znamy, stając się areną ich wiecznej walki. Każdy z bogów zamieszkał w swej krainie – Perun w koronie Drzewa Życia, Weles w jego korzeniach. Pomędzy nimi zaś roztaczał się ład łączący zarówno potężną moc, jak i słabości swoich stwórcy.



Stworzenie niebios

Perun krążył między konarami Drzewa Życia i spomiędzy gęstego listowia spoglądał na ziemię, która rozciągała się daleko we wszystkie strony świata. Po zboczach gór płynęły wartko strumyki, rosnąc w potężne rzeki. Na powierzchni stawów i jezior tańczyły refleksy światła, które nieustannie sączyło się z nieba. Niebieski ogień zalewał wtenczas całą ziemię i nie było dnia i nocy, tylko boska jasność.

Perun postanowił, że trzeba oddzielić niebieski ogień od ziemi. Zszedł na łąd i pozbierał leżące wokół głazy. Potem wspiął się na najwyższe gałęzie Drzewa Życia i przystąpił do pracy. Za pomocą młota spajał ze sobą olbrzymie kamienie, tworząc barierę. Iskry leciały z nieba, kiedy srebrnobrody bóg uderzał rytmicznie w coraz to nowe fragmenty potężnej budowli. Kiedy tylko zabrakło budulca, Perun schodził na ziemię i brał kolejne skały. Jak długo pracował, nie wie nikt, bo nie było jeszcze słońca, które wyznaczałoby czas. Niewątpliwie jednak budowa była mozolna i ciężka. Niezmordowany Perun schodził na ziemię, by zebrał kolejne bloki skalne, wspiąć się na drzewo ponownie. Za każdym razem, gdy nowe głazy przytwierdził do nieba, mrok ogarniał dalsze skrawki łądu. Kamienna tarcza rosła coraz dalej i dalej, aż przybrała kształt ogromnej kopuły przykrywającej całą ziemię.

Stojąc teraz na łądzie i rozglądając się wokół, nie dojrzałbyś nic. Cały świat spowiła ciemność. Tylko u samego szczytu nieba, tam gdzie był najwyższy punkt kamiennego sklepienia, powstała dziura. To wierzchołek Wielkiego Dębu wybił w kopule otwór, przez który przelewało się na ziemię światło niebieskiego ognia. Otwór ten nazwano potem Gwiazdą Północową albo Polarną. A gdy od czasu do czasu nocne niebo przecina świetlista smuga, to znaczy, że na powierzchni kamiennej zasłony pojawia się pęknięcie i boskie światło przebija się między głazami.

Ukończywszy dzieło, Perun wzniósł się wysoko ponad firmament i przebywał tam otoczony blaskiem niebieskiego ognia. Dobre było to miejsce dla boga burzy, lecz zatęsknił za ziemią i powietrzem, gdzie mógł rozkazywać żmijom i błyskawicami siać przerażenie wśród smoków. Postanowił, że powróci w koronę Dębu, by doglądać spraw ziemskich.

Jednak nim to uczynił, pomyślał, że źle byłoby zostawiać boski ogień bez opieki.

– Stworzę opiekuna i strażnika, który w moim imieniu będzie dbał, aby wieczne światło nigdy nie zgasło – rzekł w końcu do siebie Perun.

Chcąc od razu spełnić swój zamiar, stanął na szczycie kopuły i chwycił promienie światła, formując z nich postać. Potrząsając siwą brodą, z której sypały się iskry, Perun tworzył świetlistego męża. Najpierw z ognistych języków utkał żebra i kości. Potem oblekł je promieniami, tworząc tors, głowę, nogi i mocne ramiona. Nowy bóg rósł i rósł, aż niemal dorównał sylwetką potężnemu Perunowi. Jego twarz otaczały falujące ogniki tworzące bujną czuprynę i gęstą brodę. Cała jego postać sprawiała wrażenie, jakby falowała. Działo się tak, gdyż stworzony był z ognia, który wszystko wokół otaczał niepojętym żarem, wprawiając powietrze w leniwe drgania. Nowo narodzony bóg podniósł oczy na stwórcę, a Perun ujrzał w nich, mimo sędziwych rysów twarzy, młodzieńczy zapał, blask i bystrość.

– Oto stworzyłem cię, byś sprawował władzę nad niebieskim ogniem i strzegł go po wsze czasy. Nadaję ci imię Swaróg, bo będziesz bogiem ognistego nieba.

Swaróg nie odrzekł nic, bo wzrok jego spoczął na wielkim młocie, z którym Perun nigdy się nie rozstawał. Oczy zapłonęły mu jeszcze jaskrawiej i nie mógł ich oderwać od wspaniałej broni. Widząc to, Perun wykuł w skale drugi młot i wręczył go płomiennej postaci. Silne ramię pochwyciło trzon, aż w napiętych mięśniach błysnęły żyły.

Swaróg nie potrzebował jednak broni – potrzebował narzędzia. Zdumiał się Perun, widząc, jak nowy bóg chwycił promienie światła i na kamiennym kowadle zaczyna wykuwać z nich rozmaite sprzęty i bronie. Ucieszył się bóg błyskawic, że stworzył pracowitego pomocnika i może już spokojnie zejść na ziemię, nie troszcząc się o sprawy sponad kopuły. A jako że kochał broń wszelką, tym większa była jego radość i zachwyt, gdy otrzymał od Swaroga wykutą z płomyków niebieskiego ognia włócznie.

Bóg-kowal, opiekun nieba i ognia, pracował bez wytchnienia. Coraz to nowe rzeczy wychodziły spod jego młota, a były to sprzęty piękne i niespotykanej trwałości. Niebo ponad kamienną skorupą zmieniło się w kuźnię, w środku której stał Swaróg za swoim kowadłem i bił bez wytchnienia w rozżarzone bryły, formując finezyjne kształty. Deszcz iskier sypał się wokół tak gęsto, że zwykły śmiertelnik, przyglądając się pracy

Swaroga, niechybnie utraciłby wzrok. Iskry spadały na kopułę i gasły, ale co większym łezkom żaru, pędzącym z większym impetem, udawało się przebić przez kopułę i spaść na ziemię. Piękny to był widok dla Peruna, który u stóp Wielkiego Dębu, wspierając się na długiej włóczni, obserwował spadające kule ognia ozdobione długimi skrzącymi się złotymi ogonami. A ponad nim i ponad gałęziami Drzewa ukazały się nowe otwory w kamiennej kopule, która rozbłysła setkami zdobiących nieboskłon gwiazd. Czerń sklepienia i jasny blask cisnący się przez małe szczeliny tak zachwyciły pana burzy, że wprowadził kopułę w ruch. Od tamtej pory sklepienie obraca się wokół Drzewa Życia, a razem z nim gwiazdy migocące żarem odwiecznego ognia. Jedną tylko Gwiazdą Północną – wiszącą u szczytu – wskazywała drogę zabłąkanym w nocy wędrowcom, bo była jedynym stałym punktem na czarnej kopule nieba.

•••

Razu pewnego przechadzał się Piorunowładca brzegiem rzeki i podziwiał migotliwą światłość gwiazd, co odbijały się w cicho szumiących falach. Rozejrzał się wokół i spostrzegł, że ziemia jałowa jest i pusta. Zapragnął wtedy napełnić ją życiodajną mocą. Udał się więc w niebiosa, gdzie Swaróg pracował ciężko w swej kuźni, i rzekł:

– Smuci mnie mrok i cisza panujące na ziemi. Ujrzałem boskie światło przebijające się przez kamienną zasłonę, lecz zbyt mało pada go na ziemię, by ożywić tę smutną krainę. Ześlij, Swarozę, więcej boskiego światła ku tej podniebnej dziedzinie, a rozkwitnie ona dobrobytem i szczęściem.

Swaróg zmarszczył brew i zamyślił się głęboko. „Dobrze mi w mojej kuźni – dumał w duchu – i nie chcę jej opuszczać. Uczynię więc sobie pomocnika, któremu dam część mojej mocy, aby zaniósł ją na ziemię. Niech on wykona polecenie Peruna”.

Zabrał się czym prędzej do pracy, chwytając co obfitsze języki ognia i formując z nich postać. Pracował długo i mozolnie, a pod jego silną ręką wyrastał nowy bóg. Nie był to mąż tak silny jak jego ojciec ani tym bardziej potężny jak pan błyskawic, lecz niski bożek o kształtach krągłych i obfitych. Stał teraz młody bóg niczym martwy posąg. Jednak Swaróg wiedział, jak tchnąć weń życie. Ukuł ogromną, świetlistą tarczę, w którą wlał część swojej boskiej mocy, ozdabiając ją tajemnym znakiem.

Tworzyły go dwa krzyżujące się, zakrzywione promienie. Boską tarczę przymocował Swaróg do grubego ramienia swego syna. I stała się rzecz przedziwna – okrąg tarczy rozbłysnął silnym światłem, a pełna twarz nowego bożka ożywiła się i oblała jaskrawym rumieńcem. Oczy jego zapłonęły wesołym blaskiem, z ust wydobył się rubaszny śmiech. Swaróg, widząc swoje dziecko, zdumiał się okrutnie. Wesoły i żwawy bożek niczym nie przypominał ojca, który wskazał mu drogę do Peruna.

Udał się więc syn Swaroga w koronę Wielkiego Dębu, gdzie czekał nań Srebrno-brody. Cała ziemia zalała się jasnym światłem bijącym z jego tarczy.

– Witaj, Swarogowy synu – powitał go uradowany Perun.

– Witaj, panie błyskawic – zakrzyknął bożek i obdarzył go promiennym uśmiechem.

– Jako że przyniosłeś na tę stęsknioną krainę jasność i radość, będziesz odtąd zwany Dadźbogiem, to jest tym, co daje wszelkie dobro. Pragnę, abyś przemierzał sklepienie niebieskie i obdarzał ziemię swoim światłem.

– Z radością spełnię twoją wolę – odpowiedział Dadźbóg i wyruszył w drogę.

Przechadzał się więc leniwie po nieboskłonie od jednego krańca aż po drugi, zwracając tarczę ku ziemi. Tarczę zaś nazywano niegdyś także szczytem. A jako że ta Dadźbogowa wznosiła się ponad wierzchołki gór, również je zaczęto nazywać szczytami.

W czasie wędrówki Dadźboga po niebie, ziemię zalewało ciepłe światło. Nasączona Welesowymi wodami gleba, obdarzona mocą niebieskiego ognia płynącego z tarczy, wydała na świat bujną roślinność. Doliny i pagórki pokryły się trawą, wystrzeliły w przestworza potężne drzewa, które porosły całą ziemię. Strudzony Dadźbóg schodził ze sklepienia i zanurzał się w pradawnych wodach. Tam odpoczywał, studząc swój żar, a na ziemi zapadał wtedy zmrok i ponownie ukazywała się upstrzona gwiazdami kopuła. Zażywszy snu, rozpoczynał wędrówkę na nowo po drugiej stronie nieba. Od tej pory nastaly dzień i noc. Kiedy Dadźbóg wyruszał w drogę, granatowe niebo ustępowało blaskowi bladego różu jutrzeńki. W ciągu dnia można było podziwiać przesuwający się wolno po sklepieniu ognisty szczyt, który nazwano z czasem słońcem. Wieczorem tarcza Dadźboga topiła się w morzu otoczona czerwoną światłością zorzy.

•••

Piękno przyrody zachwyciło Peruna, który chętnie przemierzał teraz puszcę, podziwiając w blasku słońca jej krasę. Pewnego wieczoru znalazł się w sercu bitwy, jaką toczyły między sobą żmije i smoki. Świetliste błyskawice migotały w strugach deszczu. Walka była zażarta. Skrzydlate żmije kreśliły na niebie jaskrawe spirale, ciskając ogniem w stada nieustępliwych smoków. Rozgniewał się Perun na zuchwałę poczynania wysłanników Welesa. Uderzył młotem i siarczysty grom wystrzelił w ich stronę. Rozpierzchły się strwożone poczwary, a zbłąkana błyskawica ugodziła w stojące samotnie drzewo. Pień rozprysnął się w drzazgi, stając w płomieniach. Stało się wtedy coś, co przykuło uwagę Peruna. W płomieniach ognia ujrzał dziwną postać. Był to wysoki szczupły młodzieniec tańczący między językami ognia, które pochłaniały pozostałości drzewa. Ów młodzian również zdawał się tańczyć, a jego ruchy były nad podziw miękkie i żwawe.

– Kim jesteś? – zapytał Gromowładca, podchodząc bliżej.

– Jestem synem Swaroga, opiekuna niebieskiego ognia – odpowiedział.

– Co tu robisz i skąd się wziąłeś, Swaróżycu?

– Ojciec mój przysłał mnie, abym panował nad ogniem, co płonie na ziemi.

– Dobrze więc. Władaj nim w moim imieniu.

Swaróżyc skłonił się zgrabnie i zniknął, a wraz z nim zgasł ogień. Pozostał jedynie osmolony sterczący z ziemi kikut pnia, nad którym unosił się dym.

Istotnie, Swaróg pragnął wypełnić do końca zadanie powierzone mu przez Peruna. Widział, że nocą Dadźbóg odpoczywa, więc posłał mu na pomoc drugiego syna, który mógł nieść ziemi światło i ciepło o każdej porze. Swaróżyc narodził się z płomieni buchających w kuźni Swaroga. Cały był niczym płomień. Wysoki i zgrabny, o żywiołowych ruchach, pojawiał się wszędzie tam, gdzie zapłonął ogień.

•••

Tymczasem głęboko pod ziemią, tam gdzie sięgały korzenie Wielkiego Dębu, Weles miotał się ze złości i przeklinał Peruna. Nie żałował tego, że ziemia staje się piękna, i pozwalał wodzie użyźniać glebę. Nie mógł jednak

znieść, że wysłannik Peruna panoszy się na niebie, oświetlając ziemię słonecznym blaskiem.

– Przecież ziemia należy także do mnie! – syczał. – Dlaczego to Perunowi przypada cała władza nad nią? Jeśli więc jego poplecznik może panować nad dniem i nocą, niechże i mój ma udział w tej władzy.

Nie zastanawiając się dłużej, stanął nad brzegiem podziemnej rzeki, która opływała tę mroczną krainę, i rozkazał wodzie, aby wydała z siebie jego syna. Fale wzburzyły się i wyszedł z nich posępny mężczyzna o tajemniczym spojrzeniu. Twarz jego była okrągła i blada. Spowity był mgłą, a od całej postaci bił srebrzysty blask. Weles był dumny ze swojego syna.

– Ruszaj prędko na nieboskłon – rozkazał – i podążaj za szczytem Dadźboga krok w krok.

Ten skinął głową i poszedł. Wspiął się na sklepienie i kroczył za Dadźbogiem. Słoneczny bóg, widząc intruza, postanowił przepędzić go ze swego władztwa. Zepchnął go w odmęty pradawnych wód i zabronił mu posilać się przez piętnaście dni. W ten sposób blady młodzieniec mógł pojawiać się na niebie tylko nocą, kiedy Dadźbóg zapadał w sen. Przez czas kary srebrzysty syn Welesa stawał się coraz chudszy. Dopiero po piętnastu dniach mógł znowu jeść do syta, aby po kolejnych piętnastu w pełnej krasie rozbłysnąć na nocnym niebie. Kara nałożona przez Dadźboga powtarza się aż do dziś.

Weles, widząc cierpienie syna, nadał mu imię Chors, co znaczyło wynędzniały. Później przezwano go również Miesiącem oraz Księżycem, czyli mniejszym księciem nieba, gdyż większym pozostał na zawsze Dadźbóg. Miesiącem nazywano także okres obejmujący czas kary i wesela Chorsa, czyli trzydzieści dni.







Bogowie ziemi

Kiedy pojawiły się na świecie dzień i noc, razem z nimi nastał czas. Tarcza Dadźboga wyznaczała czas światła i czas mroku, który to upodobał sobie Chors. W miarę jak mijały dni, wyczerpywała się życiodajna moc pierwszego stworzenia. Rośliny przekwitwały, liście na drzewach żółkły i czerwieniały, aby w końcu opaść na ziemię. Zmęczony Dadźbóg przemierzał niebo coraz niżej, aby skrócić sobie nużącą wędrówkę. Im mniej światła słonecznego padało na ziemię, tym większe chłody ogarniały świat. Uwięziony w mrocznych podziemiach Pradawny Smok szarpał się na łańcuchu, czując, że nadchodzi czas jego uwolnienia, a zarazem zniszczenia i śmierci wszystkiego, co dotąd stworzono. Istotnie, kiedy pierwsze śniegi pokryły góry, doliny i łyse gałęzie drzew, ogniwa łańcucha wykutego przez Peruna osłabły.

Weles, rozsiadłszy się na tronie, grzebał w zębach długą trzcina i przyglądał się rozszalałej poczwarze, myśląc, co czeka nieszczęsny świat, kiedy ta w końcu wyrwie się na wolność. A przecież ziemia dzięki jego i Perunowej mocy stała się piękna. Jeśli Smok się uwolni, nie zostawi na niej nic prócz pyłu i kamieni. Można by wtedy odebrać Perunowi to, co słusnie należy się jemu. Ale czy uda się powstrzymać furię potwora? Skoro sam gromowładny miał trudności, by go okiełznać, cóż dopiero on, zaszczyty i strącony w korzenie Drzewa Życia?

Tak rozmyślał, aż postanowił, że kolejny raz musi dopomóc ziemi. Przedał się na powierzchnię i przez wąską szczelinę sączył na świat swą boską, życiodajną moc. Dadźbóg, nabrawszy mocy, przemierzał niebo coraz to szerszymi łukami, aż śniegi poczęły topnieć i spływać wartkimi potokami.

W tym samym czasie Perun, który również troskał się o losy ziemi, dostrzegł zamysły Welesa. Zerknął przez szczelinę w skale w głąb ziemi i ujrzał Pradawnego Smoka miotającego się na łańcuchu w nienawistnym szale. Kilka ogniwo poluzowało się i mogło pęknąć w każdej chwili, kiedy ten targał łbem i gryzł zębiskami smycz. Nie zastanawiając się dłużej, Perun cisnął błyskawicę wąskim tunelem i trafił w łańcuch, który przekuł się na nowo, udaremniając Smokowi ucieczkę.

Ziemia była uratowana. Żmije wirowały na niebie w radosnym tańcu, sypiąc błyskawice, nawet smoki podniosły się ze swych mokradeł i polewały deszczem resztki śniegów. Perun i Weles wymienili mroczne spojrzenia i rozstali się bez słowa, jednak każdy z nich czuł radość i ulgę. Rytuał ten stał się tradycją obu bogów. Dzięki nim zawitały na ziemi pory roku, a każda kolejna wiosna rozpoczynała się uderzeniem gromu, po którym przyroda rodziła się do życia. Nastawała wówczas pora przynosząca światu nadzieję i oddalająca widmo końca świata.

• • •

Pośród pagórków, które pokrywały się zielenią, tam, gdzie wiły się błękitne wstęgi rzek i samotne drzewka puszczały pierwsze liście, przechadzała się niezwykła postać. Była to smukła kobieta, na której głowie spoczywał wianek przystrojony w kłosa zbóż i polne kwiaty. Spacerowała leniwie po wilgotnej trawie, a wszędzie tam, gdzie postawiła bosą stopę, wyrastały kolorowe kwiaty. Skąd przybyła i kiedy? Nikt nie wiedział.

Pierwszy zobaczył ją z wysoka Dadźbóg. Zachwycił się nową boginią i jej cudami. Zszedł niżej, aby przyjrzeć się z bliska dziwnemu zjawisku. Ona natomiast, widząc słoneczną tarczę, rozpromieniła się w uśmiechu i obdarzyła Dadźboga subtelnym ukłonem. Słoneczny bóg zachwycił się jeszcze bardziej i pomknął w koronę Drzewa Życia, by donieść Perunowi o tajemniczej boginie.

Perun w pierwszej chwili nie uwierzył w opowieści Dadźboga, bo znał jego charakter i skłonność do żartów. Jednak kiedy ten upierał się przy swoim, ciekawość wzięła górę i gromowładny bóg udał się na ziemię. Pierwsze, co zwróciło jego uwagę, to drzewa obsypane wonnymi kwiatami rozmaitych kolorów i kształtów. Szedł tak kwitnącym sadem i upajał się wiosenną wonią. Wtem stanął jak wryty. Oto przed nim zamajaczyło coś, czego nigdy dotąd nie widział. Nie była to wspomniana wcześniej bogini, bo Dadźbóg opisał ją bardzo dokładnie. Istota przed nim stała na czterech nogach, których końce wieńczyły kopyta. Biała sierść pokrywała jej grzbiet, a po pięknej, wygiętej w łuk szyi spływała lśniąca grzywa. Perun podszedł bliżej.

„To nie bóg, to jakiś zwierz” – pomyślał.

Zwierzę podniosło na niego czarne oczy i parskło niespokojnie, rozchylając chrapy. Perun pogłaskał smukły łeb konia i chwytając się grzywy, dosiadł go.

Jechał Perun na wierzchowcu i dziwił się ogromnie, bo oto mijał coraz to dziwniejsze zwierzęta. Jedne przypominały konia, na którym jechał, ale różniły się od niego maścią. Inne znów były smukłe, za to z rogami niczym gałęzie drzew sterczącymi z głowy. Były tam ogromne tury o potężnych łbach i szerokich kłębach. Były również małe zwierzęta: rude lisy z puszystymi kitami, rysie o wdzięcznych ruchach i groźnych oczach, długouchy zajęce, które ledwo można było dostrzec, tak pędziły na zwinnych nogach. Te i wiele, wiele innych przedziwnych i pięknych istot rozbiegło się we wszystkie strony. Perun rozglądał się dokoła i nie mógł wyjść z podziwu nad różnaitością tych stworzeń, gdy nagle tuż przed nim wzbiło się w powietrze stado ptaków. Fantazja ich barw i kształtów sprawiła, że Perun aż zakrzyknął z zachwytem.

– Któż mógł sprawić tak piękne rzeczy? Czy to nie ta, o której mówił Dadźbóg? – pytał, nie wiadomo, czy sam siebie, czy swojego wierzchowca.

Tak czy inaczej, koń nie odpowiedział, więc Perun popędził go dalej, wyjeżdżając z lasu na szeroką polanę. W trawie dostrzegł kępy białych kwiatów rosnących w równych odstępach niczym czyjeś ślady. Podążył za nimi, aż dotarł do stawu i wtedy ją zobaczył.

Stała w wodzie aż po biodra. Długie jasne włosy opadały falą spod wianka na smukłe ramiona. W rękę trzymała kwiat nenufaru, który podniosła do twarzy, upajając się zapachem. Na brzegu leżała jej szata, jasna i cienka niby sieć pajęcza. Zaciekawiony Perun podszedł bliżej. Bogini odwróciła się, a jego oczom ukazała się piękna jasna twarz o delikatnych rysach. Miała duże oczy i pełne usta, tak czerwone, że Perun był prawie pewien, iż zabarwiła je sokiem malin. Jej kształtne jędrne piersi zafalowały, kiedy ruszyła w stronę brzegu. Perun nie mógł zrozumieć, jaką mocą ta istota wprawia go w tak ogromny zachwyty.

– Czy to ty sprawiasz, że las żyje i rodzą się w nim zwierzęta? – zapytał Perun, kiedy nieznajoma znalazła się obok niego.

– Ja jestem życiem – odparła tajemniczo.

Wcale nie bała się boga błyskawic, który był przekonany, że na jego widok piękna istota ucieknie. Wręcz przeciwnie, naga bogini przyglądała mu się z ciekawością. Potem dotknęła jego twarzy, ramion i szerokiej piersi. Perun objął ją silnym ramieniem i złączyli się w pocałunku. Legli na

wilgotną trawę i pieszcząc swoje ciała, oddawali się nieznanym dotąd rozkoszom. Perunowi aż wirowało w głowie, dlatego nie zauważył, że wokół nich wystrzeliła z ziemi bujna roślinność – kolorowe kwiaty i wysokie trawy, a na samym końcu rozmaite zboża.

Taka to była bogini. Roznosiła światu nowe życie, a wszędzie tam, gdzie się udała, pojawiały się nowe rośliny i zwierzęta. Wkrótce wypełniły one całą ziemię. Perun, mając w pamięci cudowne chwile ze swą kochanką oraz mokrą trawę, na której spoczęli, nadał jej imię Mokosz. Stała się ona symbolem nowego życia i wszystkiego, co wyrasta z wilgotnej gleby. Sama również była płodna niczym wiosenna ziemia, bo wkrótce urodziła Perunowego syna.

Chłopiec jako niemowlę trafił na wychowanie do Dadźboga, który sprawował nad nim opiekę i zabierał ze sobą na codzienne wędrówki. Rósł szybko i w niedługim czasie był dużo szybszy od pana słońca. Nieustannie wymykał się na podniebne wycieczki. Dadźbóg włócił się po nieboskłonie i gładząc swój okazały brzuch, mrucał:

– To się udał Perunowi gagatek, hula po niebie jak sam żmij.

Ale młody bożek, mimo skłonności do swawoli, przypatrywał się bacznie swemu opiekunowi i wiele się uczył. Zapragnął również rozdawać dobro. Nie miał jednak żadnego bogactwa. Dadźbóg, widząc jego smutek, poradził mu, aby udał się do swej matki. Nie czekając ani chwili, syn Peruna sfrunął z nieba, zawirował między pniami drzew i wzniósł się ponad lasy, aż powietrze zaświszczało w gałęziach. Kiedy dotarł do Mokoszy, ta przywitała go z radością.

– Witaj, mój synu, czy sprzykrzyło ci się mieszkanie na niebiosach?

– Ach, matko, cudownie jest fruwać i hulać po niebie – odrzekł za smutkiem.

– Więc cóż cię trapi?

– Nie mam słonecznego szczytu jak Dadźbóg ani Perunowej błyskawicy, nic światu dać nie mogę.

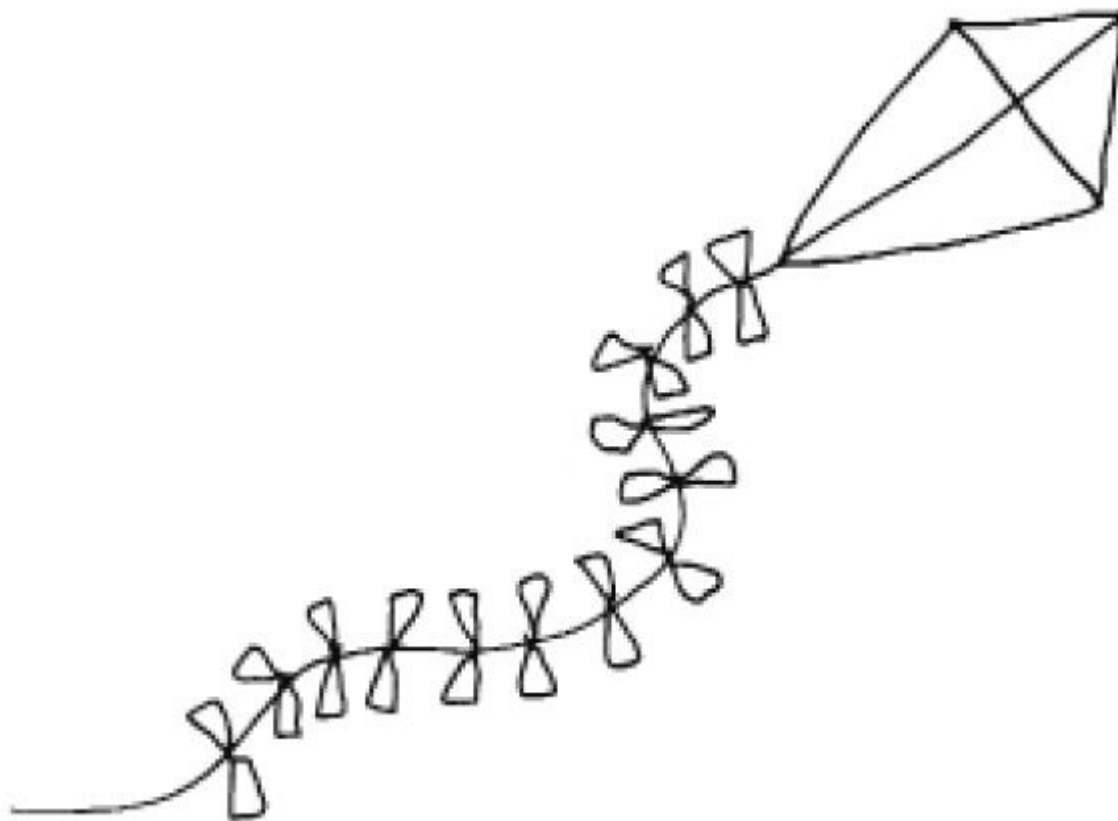
Mokosz wzruszyła się słowami syna. Nie poszło na marne wychowanie u Dadźboga, bo młodzik miał – jak jego nauczyciel – usposobienie pogodne i chciał się dzielić tym, co najlepsze.

– Popatrz, mój kochany, wokół siebie. Tyle tu pięknych roślin, a nie ma ich kto roznieść po świecie.

Bożek rozejrzał się i aż zawirował z radości. Po ojcu przejął zamiłowanie do nieba, a piękno przyrody pokochał jak matka. Tak oto

zerwał się z miejsca i roznosił nasiona i pyłki po całej ziemi. Wszędzie było go pełno. To cesał trawiaste stepy, to znów gwizdał w dąbrowach, aby za chwilę huczeć w skalnych jaskiniach. A gdzie się udał, tam zanosił coś nowego. Przerzucał z miejsca na miejsce wszystko, co zdołał udźwignąć.

Dadźbóg, patrząc z góry na wychowanka, brał się pod boki ze śmiechu i klaskał w tłuste dłonie z uciechy. Młodego, wiecznie zabieganego boga zaczęto nazywać Strzybogiem. Z czasem nauczył się rozkazywać powietrzu i przypisano mu postać wiatru lub morskiej bryzy. W gniewie największym podnosił z ziemi pył i tworzył wielki huczący lej, który zmiatał wszystko na swej drodze. Tak jak połączyli się jego rodzice – pan niebios i bogini ziemi – tak Strzybóg łączył niebo z tym, co ziemskie.







Człowiek

Był słoneczny dzień, ciepły i jasny. Perun właśnie skończył przejażdżkę na swym białym rumaku, w czasie której grał na turzym rogu i pędził za dziką zwierzyną. Zmęczył się bardzo tą pogonią i przystanął nad jeziorem. Koń zaczął leniwie szczypać trawę, a Perun zrzucił szaty i wskoczył do wody. Na brzegu przysiadła Mokosz i przyglądała się panu błyskawic w kąpieli.

W końcu Perun wyszedł na piaszczysty brzeg jeziora i wytarł się wiechciem słomy, gdyż powietrze było wilgotne i duszne. Chcąc jak najszybciej powrócić między leśne zwierzęta, przywdział szatę, poprawił przytroczony do pasa młot oraz róg, wsiadł na konia i ruszył w gęstwinę.

Mokosz została sama. Siedziała strapiona, spoglądając na jezioro.

„Czemu Perun woli leśne wędrówki ode mnie?” – myślała.

I już łązy żalu napływały jej do oczu, gdy na gładkim jeziorze coś się poruszyło. Tafla wody zmarszczyła się i pokryła falą niczym rybia łuska. Z głębi dał się słyszeć cichy ryk i woda zabulgotała dziko, pryskając wokół białą pianą. Bogini ziemi wstała, patrząc z przerażeniem na dziwne zjawisko. Z mętnej toni począł wyłaniać się mąż. W pierwszej chwili Mokosz myślała, że to Perun wychodzi z wody, ale zaraz ujrzała czarne włosy oblepiające mocne ramiona i poznała, że to jakiś inny bóg.

Weles wyprostował się i ruszył do brzegu. Wkroczył nań i spostrzegł słomę porzuconą na piasku. Podniósł źdźbła i począł łączyć je z wilgotną ziemią, lepiając dziwne figury. Mokosz, wyzbywszy się pierwszego przerażania, podniosła pozostałe słomki i naśladowując tajemniczego gościa, lepiła z nich podobne kształty. Duże dłonie Welesa i drobne Mokoszy obracały słomę i łączyły ją z ziemią, tworząc tułów, głowę i w końcu członki małej postaci. Mokosz zbliżyła się do mrocznego boga, a gdy Weles spostrzegł ją, zadziwiła go pięknem smukłej sylwetki. Patrzyli na siebie długo, bez słowa, aż wreszcie złożyli swoje figury na trawie i zbliżyli się do siebie. Widząc, że bogini wodzi oczami za każdym jego ruchem, Weles śmiało dotknął jej ramion, a spragniona dotyku i stęskniona pieśczoć Mokosz zarzuciła mu ręce na szyję. Pan podziemia łapczywie chwycił jej rozedrgane ciało i złączyli się ze sobą.

•••

Leżeli wyczerpani na piasku, ciesząc się promieniami słońca, gdy Weles spojrział na ulepione wcześniej figurki. Postanowił je ożywić ku uciechu swej kochanki. Wziął patyk i zrobił w postaciach otwory, w które tchnął cząstkę mocy. Jednak nic się nie wydarzyło, figurki leżały bez ruchu. Zdenerwowany niepowodzeniem Weles zanurzył się w ciemną toń jeziora i zniknął. Opuszczona Mokosz zrozumiała, że tajemniczy przybysz wykorzystał jej naiwność. Dopiero wówczas pomyślała o tym, cóż Perun uczyni na wieść o jej zdradzie – i zadrżała ze strachu. Wstała, ubrała się w pośpiechu i umknęła na dzikie łąki.

Niedługo potem Perun powrócił nad jezioro i zdziwił się wielce, że na brzegu nie ma Mokoszy, a zamiast niej leżą w piasku dwa dziwaczne kształty z posklejanej ziemią słomy. Podniósł je i długo oglądał z każdej strony. Wpadł na podobny do Welesowego pomysł i tchnął w nie życiodajną moc. W tej samej chwili członki ich poruszyły się, a po chwili stwory otworzyły oczy i usiadły, rozglądając się ciekawie. Tak powstał pierwszy człowiek. Ulepiony przez Welesa stał się mężczyzną, przez Mokosz – kobietą.

Perun porzucił swoje ulubione zajęcia i nie spędzał już całych dni na polowaniach. Obserwował za to ludzi, którzy z początku kryli się po lasach, szukając w nich pożywienia. Poznawali przyrodę i wykorzystywali jej dary na własny użytek. Pana błyskawic najbardziej zachwycała pomysłowość małych istot. Ich ciała były kruche i nagie. Nie mieli jak zwierzęta futer, ostrych kłów ani szponów. Pomimo tego radzili sobie z chłodem, budując szałas z gałęzi i czyniąc sobie z liści posłania. Zbierali owoce lasu, a wkrótce nauczyli się chwycić dzikie zwierzę, karmili się jego mięsem i odziewali w skóry oraz futra. Cząstka drzemającej w nich boskiej mocy pozwoliła mężczyźnie łączyć się z kobietą tak, by rodziła potomstwo. Czas płynął, a ludzi było na ziemi coraz więcej. Wkrótce niezliczone grupy rozeszły się po całym świecie.

W tym czasie, kiedy Perun przyglądał się ludziom, Mokosz powiła Welesowego syna. Dała mu imię Rod i wychowywała w ukryciu, aby żaden z bogów nie doniósł Perunowi o jej występku. Rod rósł pod jej opieką i z cichego chłopca wyrósł na równie cichego męża. Mokosz przyglądała mu się bacznie i dostrzegała w jego posępnej twarzy rysy ojca. Oczy miał identyczne jak Weles, ciemne i głębokie jak pradawne wody. Tylko

sylwetkę odziedziczył po matce – nie był rośli, lecz smukły, a jego postawa kryła w sobie kobiecą delikatność. Bogini ziemi, widząc te podobieństwa, tym mocniej odczuwała doskwierającą jej od dawna samotność. Pewnej nocy położyła się obok swego syna i obdarzyła go pieśzcotami. Rod, nie znając poza nią żadnych innych istot, oddał się tym przyjemnościom. Tej nocy poczęli trzy boginki, które po przyjściu na świat nazwali Rodzanicami.

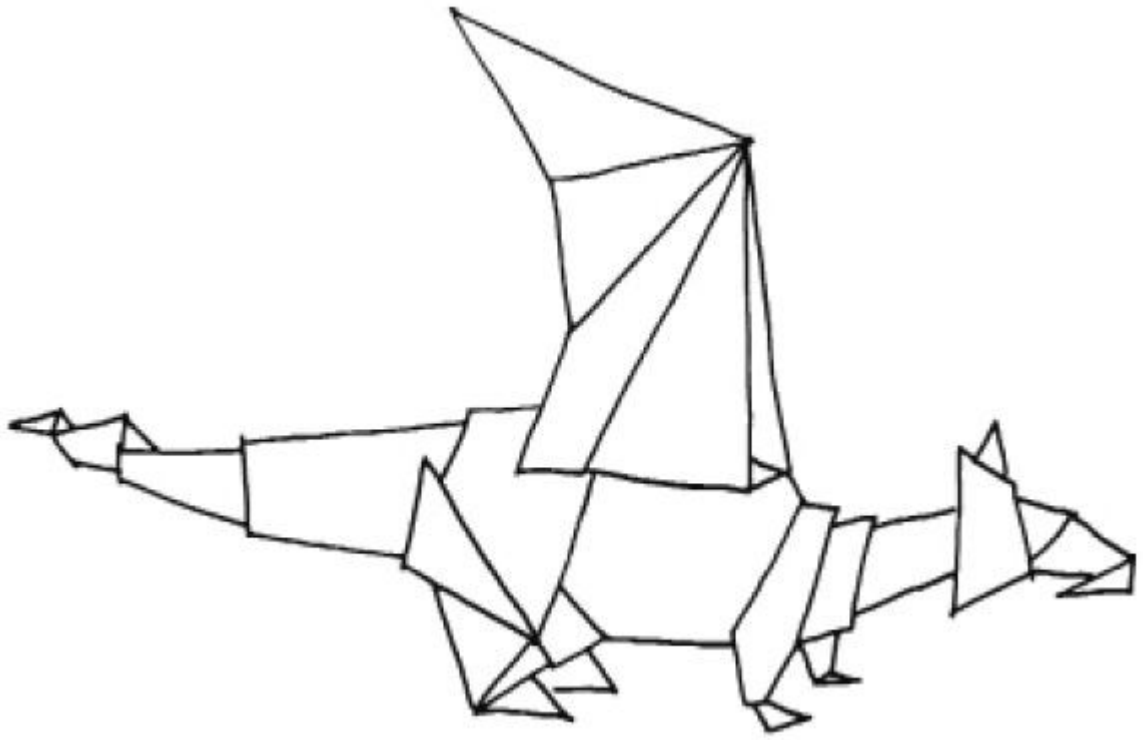
Owoców kazirodczego związku nie mogli długo utrzymać w tajemnicy. Nie wiadomo, czy to Dadźbóg podpatrzył ich z nieba, czy też przypadek sprawił, że przybył do nich sam Perun. Początkowo wpadł w straszliwą wściekłość, widząc kochankę z nieznanym bogiem i trójką małych boginek. Sypał błyskawicami we wszystkie strony tak, że okoliczne drzewa łamały się niczym cienkie gałązki.

– Cóż to wszystko znaczy? – ryknął.

Przerażona Mocosz przyznała się do wszystkiego. Opowiedziała Perunowi o Welesie, ich zdradzie oraz ulepionych z ziemi figurkach. Opowiedziała, kim jest Rod i jak dopuściła się kazirodztwa, którego skutki widzi przed sobą. Perun chciał w pierwszej chwili zmiażdżyć ją młotem, ale widok łkających ze strachu boginek zmiękczył jego serce.

– Za ohydne czyny, jakich się dopuściłaś, poniesiesz karę. Za sprawą twoją i Welesa pojawili się ludzie. Dlatego będziesz karmić ich ciała, które wrócą do ciebie po śmierci! A duch, który w nich mieszka, niech idzie do Welesa!

Tak spełniły się słowa Peruna wypowiedziane, gdy nakładał na Welesa karę po stworzeniu świata: „Ponieważ ośmieliłeś się wystąpić przeciw mnie i stworzyłeś Wielkiego Smoka na zgubę ziemi, trafi do ciebie wszystko, co na niej umrze”.







Kraina umarłych

Rod wraz ze swymi córkami udał się na wygnanie. Zszedł pod ziemię i stanął przed Welesem. Ten, widząc syna i Rodzanice w nieszczęściu, zlitował się i udzielił im schronienia.

Tymczasem na ziemi ludzie rodzili się i umierali. Ich zwyczajem było umieszczać zmarłych na stosach, które podpalano, obracając ciała w popiół. Tak jak przykazał pan błyskawic, prochy ludzi wracały do ziemi. Wtedy też uchodził z nich duch, który wędrował do Welesowego podziemia.

Weles, zobaczywszy pierwsze duchy wstępujące przed jego tron, zdziwił się wielce, ponieważ każdy z nich dzielił się na dwoje. Działo się tak z powodu dwóch odmiennych mocy dających życie. Pierwsza część nosiła wszystkie uczynki i namiętności człowieka, jego miłość i gniew zrodzone za życia. Druga zaś, będąca odzwierciedleniem mądrości, przepełniona była zdobytą wiedzą i szacunkiem do bogów oraz tradycji. Pierwsza była duszą własną człowieka, świadczyła o jego życiu na ziemi i pragnęła spoczynku. Dla tych właśnie dusz Weles przygotował miejsce szczęścia i spokoju, gdzie mogły spocząć, nie dbając o trudy ziemskiego życia. Krainę tę nazywano Nawie. Nie było w niej głodu, mrozu, chorób ni wojen. Wejścia do Nawii strzegł Pradawny Smok. Nikt nie mógł wyjść ani wejść do zaświatów bez zgody Welesa.

Pozostawała jednak druga dusza. Bóg podziemi nie wiedział, co z nią uczynić, gdyż rwała się do powrotu na ziemię i nie chciała zaznać spoczynku w Nawii. Rzekł więc do Roda:

– Weźmiesz te zbłąkane dusze i pójdziesz do Peruna. Powiedz, że nie należą do mnie, ale do niego. Niech je sobie weźmie i zrobi z nimi, co zechce.

Tymi słowy odprawił Roda, którego obecności nie znosił. Rodzanice podrosły i byłyby uroczą trójką młodych boginek, gdyby nie wieczny smutek, jaki im towarzyszył. Za sprawą podziemnego mieszkania stały się posępne, ciche i mroczne. Rod polecił im zwołać wszystkie niespokojne dusze i ruszył z nimi na ziemię. Dziwny to był marsz prowadzony przez ciemnowłosego smukłego boga o przeszywającym spojrzeniu. Za nim podążała grupa rozchwianych widziadeł pilnowana przez trzy wysokie

długowłose boginie. Ludzie, którzy natknęli się na nich, umykali w popłochu i kryjąc się w jarach, modlili się do Peruna o łaskę.

Rod zastał pana błyskawic w gęstym borze jak zwykle zajętego polowaniem. Stał przed nim i przemówił:

– Przysyła mnie Weles wraz z tymi duszami. Pragną wrócić na ziemię, więc pan podziemia, nie wiedząc, co uczynić, oddaje ci władzę nad nimi.

Słowa te zdziwiły Peruna nie mniej niż widok gromady dusz skotłowanych na leśnej polanie. Rozpoznał, że pochodzą one z mocy wlanej przez niego w pierwszych ludzi. Spojrzał na Roda i dostrzegł, jak zmienił się od ich pierwszego spotkania. Rodzanice stanęły przy ojcu, także czekając na odpowiedź. W oczach nie mieli strachu, a na ich twarzach malowała się dostojna powaga i cień żalu. Perun także poczuł ogromny żal. Rzekł więc:

– Doznaliście wielu krzywd i cierpień. niesprawiedliwa to kara, bo winę ponoszą jedynie Mokosz i Weles, dlatego przyjmę te dusze, a wam powierzam opiekę nad nimi. Pójdźcie w koronę Drzewa Życia i tam przygotujcie dla nich mieszkanie. Ty, Rodzie, będziesz panował w Wyraju, gdzie trafi każda zabłąkana dusza. Zabierz swe córki, aby były ci pomocą.

Rod i Rodzanice skłonili się przed Perunem i powiedli dusze w korony Wielkiego Drzewa. Pouczony przez pana błyskawic Wielki Żmij wpuścił ich na najwyższe konary Dębu, gdzie dusze rozbiegły się, wirując wśród liści. Tak powstał Wyraj, będący mieszkaniem cząstki ducha drzemiącego w każdym człowieku. Z czasem zaczęto nazywać ją duszą rodową, ponieważ skrywała mądrość i doświadczenie ludzkich przodków. Wyraj był krainą wiecznej wiosny, którą ogrzewały promienie tarczy Dadźboga.

Wyraj upodobało sobie także ziemskie ptactwo. Co roku, nim zima zstąpi na ziemię, skuwając rzeki lodem i okrywając płaszczem śniegów, lotne ptaki udają się w koronę Drzewa Życia, by tam przeczekać dotkliwie mrozy. Wraz z uderzeniem pierwszego wiosennego pioruna wracają na ziemię, niosąc ze sobą rodowe dusze wstępujące w nowo narodzone ludzkie dzieci. U kresu ich życia dusze wracają do Wyraju, by odpocząć i sił nabrawszy, znowu powrócić na ziemię.

Wśród ludzi panowało przekonanie, że powrót ptactwa zwiastuje rychłe narodziny dziecka. Gniazda jaskółek ulepione na chatach wróżyły dobrobyt i szczęście pod opieką przodków. Z ogromną radością witano długonogie bociany powracające z Wyraju, bo były to ptaki szczególnie ukochane przez

ludzi. To one przynosiły nowe życie. Dlatego zabicie bociana było czynem niewybaczalnym i wykluczającym sprawcę z życia plemienia.

Cud narodzin był świętem nie tylko domostwa, które obdarował bociek, ale wszystkich w okolicy. Nowo narodzone dziecko wycierano wiechciem słomy na pamiątkę powstania pierwszego człowieka i noszono wokół ogniska, wzywając Roda, by dał mu dobre życie. Kiedy dziecko usypiało w kołysce, kobiety szykowały jedzenie i pozostawiały je przy dziecku dla spodziewanych gości. Nocą przybywały odziane w biel Rodzanice, otaczały nowo narodzonego człowieka i rozprawiły nad jego przyszłym losem. W końcu podejmowały decyzję, kim dziecko będzie i jakie przypadnie mu wieść życie, a wtedy jedna z boginek pozostawiała na jego czole znak. Choć był niewidoczny dla innych ludzi, mówił o przyszłym losie lub – jak kto woli – przeznaczeniu.

Rodzanica malująca tajemny znak na czole dziecka nazywana była Dolą. Od niej zależało wszystko, co człowiek spotka na swej życiowej drodze. Dlatego mówiono o dobrej lub złej Doli, w zależności od tego, jaki los przypisała ona człowiekowi w dniu narodzin. Siostry, wróciwszy do Wyraju, przędły dla dziecka nić, której to sztuki nauczyły się od matki. Była to nić żywota i od Doli zależało, czy będzie ona prosta, czy splątana. Kiedy Dola przecinała nić żywota, człowiek umierał, a jego dusza uchodziła do Welesa. Dusza rodowa zaś wracała w korony Wielkiego Dębu pod postacią ptaka i zasiadała na gałęziach Wyraju. Im bardziej łaskawa okazywała się Dola, tym lepsze życie miał człowiek, a ptak jego rodowej duszy zasiadał wyżej. Często zdarzało się, że dziecko otrzymywało część swego ojca lub dziada. Tak powstawały sławne rody i plemiona.

Ludzie czcili bogów i przyrodę, czerpiąc z niej wszelkie dobra. Nauczyli się siać zboża i wypiekać chleb. Ziemię uprawiano za pomocą narzędzi z drewna i rogów dzikiego zwierza. Żyzna gleba dawała obfite plony. Niektóre zwierzęta udało się oswoić i trzymano przy gospodarstwach dla pożywienia i odzienia. Owce dawały wełnę, a Mokosz pokazała kobietom, jak prąść len. Utkane materiały zszywały kościanymi igłami, tworząc odzienie. Hodowano owce, kozy, bydło, świnie i konie. Wokół domostw pełno było rozmaitego ptactwa. Kury dostarczały jaj i mięsa. Pod dostatkiem było strawy i mleka.

Wędrujący nocą Chors także przyszedł ludziom z pomocą. Swoim jasnym licem oczarował wilki i podprowadzał je pod ludzkie ogniska. Podkarmiane przez człowieka oswajały się i niedługo potem pierwsze psy

zaczęły pomagać rodowi ludzkiemu w codziennych pracach. Ślady tej pierwszej, wilczej natury można dostrzec, kiedy pies wyje nocą do miesiąca.

Wkrótce szałaszy zamieniono na kopane w ziemi i kryte gałęziami ziemianki, potem powstały chaty z gliny i drewna. Z gliny lepią także naczynia i budowano piece. Za pomocą pierwszych narzędzi człowiek stworzył inne użyteczne sprzęty: krosna, radła, łodzie i wozy, proste meble oraz broń. Każde kolejne pokolenie, czerpiąc z mądrości przodków, robiło krok naprzód.

Wiele rodów i plemion zamieszkiwało ziemię, ale żyły ze sobą w zgodzie. Mogli wymieniać dobra, których mieli pod dostatkiem, na te, których im zabrakło. Łatwo dochodzili do porozumienia, gdyż rozumieli swą mowę. Mawiano, że posługują się jednym słowem, stąd sami siebie zaczęli nazywać Słowianami. Słowianie wierzyli w wartości, które utożsamiali ich bogowie. Mężczyzna musiał być odważny jak Perun i silny jak Swaróg, jednak nie brakowało im nigdy Dadźbożej skłonności do zabawy oraz Welesowego sprytu. Owe cechy zasłynęły później w całym świecie jako słowiańska fantazja. Słowiańska kobieta, wzorem Mokoszy, miała być opiekuńcza i płodna. Tak jak Rodzanice troszczyła się o przyszłość dzieci od chwili ich narodzin.

Bogowie wspierali ludzi, każdy na swój sposób. Mokosz kazała ziemi rodzić plony, a Weles dbał, by nigdy nie brakło życiodajnej wody. Dadźbóg czuwał nad ludźmi i błogosławił największym darem słonecznego światła. Swarozyc oświetlał domostwa nocą, podsyczał ogień w paleniskach i piecach, odstraszał dziką zwierzynę.

Z kuźni Swaroga spadała czasem iskra i przebiwszy kopułę niebieskiego sklepienia, spadała na ziemię, znacząc niebo świetlistą smugą. Ognisty płomyk wbijał się w ziemię, skąd wydobywali go ludzie. Błyszczącą bryłę zabierano do wioski. Gdy okazywało się, że boski materiał jest mocny i wytrzymały, kuto z niego rozmaite narzędzia. Sprytni Słowianie odkryli, że ziemia i bagniska także skrywają cudowny materiał. Znalezione rudy wkładano do glinianych kominów nie większych niż dorosły mężczyzna, przysypywano przepalonym drewnem i przetapiano. Takie kominy nazywano dymarkami i otrzymywano w nich pierwsze stopy metalu. Kowale rozgrzewali je do czerwoności i kuli, formując różne kształty. Najpierw były to narzędzia, naczynia i ozdoby z miękkiej miedzi, później żelazna broń. Perun z zachwytem patrzył na Słowian i ich

pomysłowość. Narzędzia z żelaza okazały się trwalsze, a broń twarda i wytrzymała.

Czas ustalano wedle pory dnia i roku, wędrówek Słońca i gwiazd. Po znakach przyrody rozpoznawano, kiedy i jakie podjąć prace. Nie brakowało też dni wielkiej radości i świętowania. Słowianie czcili bogów, składając im ofiary i modląc się. Świętom owym zwykle towarzyszyły uczty, na których nie mogło zabraknąć jadła, napitków i tańców.

Słowianie postrzegali świat jako złożony z trzech obszarów, z których każdy rządził się odrębnymi prawami ustanowionymi przez panujących tam bogów. Były to: niebios, ziemia i podziemie.

Pierwszy, najwyższy z nich, podlegał władzy pana błyskawic – Peruna. Budził on największy strach i jednocześnie podziw. Uznawano go za ojca świata i bogów, więc to jemu oddawano szczególną cześć. Przebywał w nim również Swaróg – opiekun niebieskiego ognia nieustannie płonącego za zasłoną kamiennej kopuły, pod którą każdego dnia przechodził Dadźbóg, obdarzając ziemię życiodajnym blaskiem.

W obszarze środkowym, najbliższym człowiekowi, władzę sprawowała Mocosz czyniąca ziemię i wszystkie stworzenia płodnymi. W pracy tej pomagał jej Strzybóg, co pod postacią wichru rozrzucał po świecie nasiona drzew, zbóż i wszelkiego ziela. Pomieszkiwał tam również przybyły z niebios Swarozyc, który za dnia pomagał niewiastom przyrządzać stawę, nocą zaś dawał ciepło i rozświetlał izby.

W obszarze najniższym, napawającym śmiertelników strachem, panował groźny Weles, któremu podlegały dusze zmarłych. Nieopodal jego tronu uwiązany łańcuchem wił się Pradawny Smok strzegący wejścia do Nawii. Stamtąd wyruszał również na nocną wędrówkę pod postacią miesięcznej tarczy Welesowy syn, Chors. Z podziemi wywodził się ponadto Rod i jego córki, którzy osiedli w koronie Drzewa Życia, opiekując się rodowymi duszami. Ludzie, patrząc w niebo, mogli je czasem dostrzec płynące w postaci Drogi Mlecznej przez nocny firmament.

Ten trójdzielny porządek świata zakorzenił się w słowiańskiej wyobraźni. Stał się nawet natchnieniem dla pierwszych artystów, którzy rzeźbili w drewnie i kamieniu wizerunki swych bóstw. Jedną z owych prac, potężny kamienny słup podzielony na trzy części, możemy podziwiać aż do dzisiaj.

CZĘŚĆ II

BIESY

Wielu bogów czcili Słowianie, a byli to bogowie potężni i napawający strachem. Choć wzywano ich imiona w modlitwach, składano im żertwy pod świętymi drzewami i powtarzano klechdy o ich mocy, to dla prostych ludzi były to istoty niepojęte i odległe. Może jaki żyrzec albo wołchw wiedzieli coś o bóstwach i ich woli, bo przecież tłumaczyli, kiedy jakie święto wypada i co czynić należy, żeby się bogom przypodobać. Żertwy składali i wróżby sprawić umieli, a to przecież bez boskiej pomocy być nie mogło. Może wiedźma, jako obyta z czarami od Welesa pochodzącymi, mogła poznać tę potęgę. Ale zwykły człowiek? Niepodobna! Bogowie zawsze byli dla nich niezgłębioną tajemnicą.

Były jednak dziwy różne na tym świecie, które blisko człowieka znalazły siedlisko, a czasem bywało i tak, że pod jednym dachem z nim mieszkały. A mowa tu o biesach rozmaitych, co się po ziemi tułają. Nieraz ludzie opowiadali przy ogniu o stworach i zjawach, jakie im lub komuś z bliskich przydarzyło się ujrzeć. Były duchy dobre i pomocne, co z duszy rodowej zrodzone, które domostwa ziemskie zamieszkiwały. Te opiekowały się domem i zagrodą.

Zwykle jednak biesy szkodę ludziom czyniły. Zdarzało się, że dusza z żyjącego człowieka nocą wychodziła. Działo się tak, kiedy strapiony namiętnościami jakimi człowiek spokoju zaznać nie mógł. Zmora nawiedzała wtedy jego dręczycieli, strasząc lub na pierś im we śnie siadając. Wiedzieli wszyscy także o boginkach, strzygach, topielcach i upirach, ale nikt nie ważył się głośno o nich mówić, a cóż dopiero dociekać, skąd się one potwory biorą.

A brały się one z ludzkich uczynków złych a niegodnych, klątw i uroków rzuconych z zawiści oraz czarów tajemnych. Otóż bies najczęściej jest duszą zgubioną, co jej Weles do Nawii przyjąć nie chce i karę jeszcze nakłada. Tak też dusze złośliwych kobiet i starych panien, tudzież krzywdzicieli dzieci, nie miały do Nawii wstępu – wracały na ziemię w postaci polnego biesa. Ludzie bardzo źli i okrutni albo tacy, których ciała

po śmierci nie spalono, również nie mogli w zaświatach zaznać spokoju –

Weles zaklinał takich w biesy krew pijące i w mięsie ludzkim rozsmakowane. Podobny los czekał kobiety zawistne, co zmarły bezpotomnie lub tuż przed zaślubinami. Zamieszkiwały tedy nad wodami lub w lasach i szkodziły młodym matkom. Pan podziemia nie miał litości także dla tych, którzy sami odebrali sobie życie. Stawali się tacy różnymi biesami i tułali się po lasach, nie zaznawszy spoczynku na łąkach Nawii. Podobnie ludzie utopieni wracali do świata jako wodniki i utopce. Te mogły żywych na głębiny wciągać i w kolejnych topielców zaklinać.

Klątwy miały wielkie znaczenie dla Welesa. Był on zawsze opiekunem czarów wszelakich i uroki przez wiedźmy w jego imieniu rzucone sprawiały, że dusza ludzka mogła się zmienić w biesa okropnego o kształcie dzikiego zwierza. Szczególnie traktował natomiast Weles porońców, dzieci zaduszone przypadkiem przez matki i te uśmiercone umyślnie. Mogły one w postaci ptaków odwiedzać swe domostwa na ziemi i wracać do Nawii, kiedy tylko zechciały.

Nie sposób powiedzieć o wszystkich stworach, jakie się w ciemnościach kryją, ale kilka opowieści o nich warto poznać i zapamiętać. Niech będą dla każdego człeka przestrogą, że krzywda zawsze ślad na duszy zostawia i zrodzić może niepojęte strachy.







BIESY ZIEMSKIE

Duchy domu

Było to, zanim powstały wielkie grody i otoczone palisadą osady, w krainie zwanej później Pałukami. Wśród licznych jezior rozlanych między pagórkami Słowianie znaleźli urodzajną ziemię, więc osiedli na niej, parając się rolnictwem i rzemiosłem. Przepływającą tam rzekę nazwano Gąsawką. Obfita w ryby biegła wśród trzcin, łącząc jeziora i nawadniając pola. Ludziom żyło się dobrze i dostatnio, a bogowie obdarowywali ich licznym potomstwem.

Mieszkało tam także dwóch chłopców, Domamir i Sobieżyr. Pierwszy z nich wychowywał się w chacie rolnika, gdzie uczył się od ojca uprawy ziemi, mielenia zbóż i wypiekania podpłomyków. Drugi zaś był synem gospodarza hodującego bydło i konie, dlatego od małego prowadził krowy na zielone łąki, dbał o paszę i sprzątał oborę.

Od kołyski niemal Domamir i Sobieżyr ścigali się ze sobą na każdym polu. Zawsze gdy gonili się po pastwisku, jeden nie ustępował drugiemu w szybkości. Gdy Domamir wlaźł na dach chaty, chcąc zobaczyć stopy Dadźboga, Sobieżyr wspiął się na najwyższe w okolicy drzewo, czego omal nie przepłacił życiem, kiedy złamała się pod nim gałąź.

– Bierz się do pracy, gałganie! – krzyczał ojciec Domamira, kiedy ten, wijąc słomiany kulik dla naprawy zniszczonej strzechy, zanosił się śmiechem z okładanego przez ojca rzemieniem Sobieżyra. – Utrapienie z nimi, nic więcej!

– Żeby się tak garneli do pracy jak do psot, to by nam bogowie darzyli – narzekały matki wściekłe na bezmyślność chłopców i zarazem szczęśliwe, że nie połamali sobie karków.

Z czasem chłopcy wyrosli na silnych młodzieńców i jak we wszystkim na wyścigi ruszyli w zaloty do córek kołodzieja. Nie trzeba było długo czekać, bo już po nocy Kupały doszło do zaślubin dwóch par. Młodzi mężowie wzięli się za budowę chat. Domamir postawił piec i spichlerz, zaś

Sobieżyr stajnię i oborę. Domamir starym zwyczajem pod pierwszą belkę przyciesi złożył czarnego koguta, a Sobieżyr pod kamienny fundament narożnika domu wrzucił łeb cielaka z ojcowskiej zagrody. Były to ofiary dla domowych duchów, które pomagały w gospodarstwie i przysparzały wszelkiego dobra.

Tak się stało i tym razem – gdy tylko budowle były skończone, każdą zamieszkały pomocne duszki. Skrzaty pomagały tylko nocą, bo niemożliwym było, aby gospodarze zobaczyli je przy pracy. Najważniejszy był wśród nich Domowy. Zajmował najlepsze miejsca w chacie i pilnował pozostałych, aby dobrze służyły gospodarzom. Pozostałe, zwane ogólnie skrzatami, uwijały się przy rozmaitych czynnościach. Owinnik dbał o domowe ognisko, gasił żar w palenisku i zamiatał popiół. Dworowy urzędował w zagrodzie – doglądał zwierząt i pilnował spichlerza. W łaźni nazywanej banią pojawiał się Bannik, powszechnie uważany za złośliwego, gdyż powodował upadki i straszył kobiety pomagające przy porodach. Przeganiano go parą ze studziennej wody wylanej na nagrzaną piec. W rzeczywistości jednak Bannik pomagał, jak umiał: zaplatał miotłki z gałęzi dębu i brzozy, znosił lecznicze zioła i dbał, by nikt nieproszony do bani się nie dostał.

W chacie Sobieżyra Domowy zajął miejsce w ciemnym kącie, gdzie między belkami przesypiał dzień. Wychodził z kryjówki wieczorem i brał się do pracy. Z początku wszystko było w najlepszym porządku – obora wysprzątana, bydło zaopatrzone w wodę i świeże siano, ogień przypilnowany, a naczynia poukładane. Domowy z dumą siadał przed świtem na progu domu i popijając mleko zostawione tam przez gospodynię, ogarniał wzrokiem zadbane podwórko.

Razu pewnego nocny rytuał domowych skrzatów zakłócił sam Sobieżyr. Domowy wstał zaraz po zachodzie słońca i podreptał do obory pogonić Dworowego. Kiedy wśliznął się do środka, wybałuszył oczy i czym prędzej wskoczył w stóg siana. Na pokrytej słomą podłodze siedział gospodarz. Jego mętny wzrok zatrzymał się na miejscu, gdzie przed chwilą stał Domowy, jednak nie mogąc niczego dojrzeć, uznał, że ma zwidy i wrócił do opróżniania wielkiego dzbana. Skrzat przeczołgał się pod krowę, za której wymionami siedział skulony z przerażenia Dworowy.

– Cóż to ma znaczyć? – wyszeptał do niego, choć musiał się mocno postarać, żeby nie wrzeszczeć.

– Pan wrócił od kołodzieja, co narobił miodu – odparł Dworowy ze łzami w oczach.

„Ładnie nas urządził” – pomyślał Domowy i złapał się za siwą brodę, rozmyślając, jak długo jeszcze przyjdzie im czekać, aż Sobieżyр pójdzie spać.

Dzban szybko okazał się pusty, niestety, zamiast udać się do izby i wygodnie ułożyć na posłaniu, gospodarz padł na plecy i począł głośno chrapać. Nie wiadomo, ile czasu to trwało, bo skrzaty także posnęły znużone czekaniem.

Jeszcze blada jutrzienka nie zaróżowiła nieba, kiedy Sobieżyр zerwał się nagle i ruszył do wrót obory. Obudzone tym ruchem skrzaty podniosły się z wymoszczonych słomą legowisk, lecz Dworowy zachwiał się nieszczęśliwie i łapiąc za krowi ogon, pociągnął go z całej siły, żeby nie upaść. Krowa zaryczała przeraźliwie, a zaskoczony Sobieżyр potknął się i wpadł twarzą prosto w obornik. Narobił przy tym tyle krzyku, że cała obora rozbrzmiała rykiem i muczeniem wystraszonego bydła. Benigna – Sobieżyрowa żona – zaraz wyskoczyła z chaty, myśląc, że dzikie zwierzęta bydło zagryzają i rozwrzeszczała się na całą okolicę:

– Wilki w zagrodzie! Ratujcie, ludzie!

Domamir wyleciał z domu uzbrojony w łagę i popędził do obory sąsiada. Kilku innych chłopów nadbiegło z pochodniami i stanęli jak wryci. Oto umazany krowim łajnem wyłaził z obory na czworaka Sobieżyр. Benigna złapała się za głowę, wzywając zmiłowania wszystkich bogów i czerwona jak malina ze wstydu zaczęła zbierać męża z ziemi i ciągnąć do domu. Odprowadziły ich śmiechy i drwiny.

– Oj, dojrzał już miód u kołodzieja! – wołano.

– Udał mu się trunek!

Kiedy wszyscy rozeszli się do swoich chat i zapadł zmierzch, skrzatyabrały się do naprawiania szkód. Jednak noc krótka, a prac jeszcze więcej niż zwykle przez wybryki gospodarza. Nazajutrz Sobieżyр zwlókł się z posłania i masując bolącą głowę, podreptał do bani. Rozpalił porządny ogień i przesiedział w parze do południa. Kiedy poczuł się lepiej, ruszył do zagrody. W oborze nigdy jeszcze nie było takiego bałaganu. Niewydojone krowy stały na rozsypanej wszędzie słomie, rzucając niecierpliwie łbami. Wszędzie wałały się połamane deski, a na samym środku leżał pęknięty gliniany dzban.

– A to obiboki z tych skrzatów, mleko wypiją, a robota nieruszona – mrucał pod nosem Sobieżyra, próbując doprowadzić bydło i oborę do porządku.

Zmęczył się przy tym ogromnie. Zajrzał jeszcze do koni, nasypał obrok do żłobu i naniósł wody.

– Dość tego na dzisiaj – rzekł.

Dadźbóg kończył już powoli wędrówkę. Krowy nie widziały przez cały dzień pastwiska, a gospodarz znowu gdzieś poszedł. Gdy zapadł zmrok, Domowy wygramolił się z kryjówki i załamał krótkie ręce. Gospodyni nie spała. Chodziła wkoło po izbie, zalewając się łzami. Sobieżyra nigdzie nie było widać ani słychać.

I kolejny raz domowe duchy zmarnowały pół nocy zmuszone siedzieć ukryte przed ludzkim okiem, zaniedbując swoje prace. Gospodarz wrócił do domu chwiejnym krokiem i zaległ na ławie, nie bacząc na prośby, płacz i przekleństwa żony. Pijaństwo weszło Sobieżyrowi w nawyk, a gospodarstwo z wolna popadało w ruinę. Benigna nie mogła uporać się z codziennymi obowiązkami i ogromnie zmęczona, nie mogąc przespać całej nocy, traciła nadzieję na powrót dawnego męża. Skrzaty, mimo usilnych starań, także nie potrafiły pomóc biednej gospodyni. Domowy nie spijał już zostawionego na progu chaty mleka i zabronił posilania się innym duchom, bo wstyd nie pozwalał mu na korzystanie z darów domu, kiedy obowiązki były niespełnione.

Pewnej nocy, gdy Sobieżyra padł na posłanie, Benigna usiadła przy tłym się jeszcze ogniu i przez łzy szeptała słowa modlitwy:

– Dobra pani, matko ziemi, piękna Mokosz! Odmień mego Sobieżyra i daj pocieszenie. Ratuj nasz dom i spraw, żeby mąż wrócił do pracy jak dawniej.

Wrzuciła w płomienie kłębek wełny i przemówiła znowu:

– Dadźbogu na niebie, dobry i łaskawy, daj nam na powrót bogactwo i wróć mężowi sławę. Świeć nad naszą zagrodą i ześlij nam dostatek i radość.

Po tych słowach chwyciła nóż i odcięła swój warkocz, po czym rzuciła go w palenisko. Ogień strawił kłos jej włosów, oddany na ofiarę dla przebłagania bogów.

Domowy nie mógł znieść okropnego widoku udrepczonej pani. Smutek, żal, wstyd i złość na samego siebie odezwały się w nim, kłując serce. Pobiegł do obory i zwołał wszystkie skrzaty do siebie. Dworowy i Owinnik

stali ze spuszczoneymi głowami, tylko Bannik siedział beztrosko na słomie, wpatrując się śmiało w Domowego, który w końcu rzekł:

– Dosyć tego! Gospodarstwo tak dłużej wyglądać nie może. Trzeba coś zrobić i to szybko.

– Tylko co? – zaskrzeczał Owinnik.

– Może będziemy pracować w dzień? – zapytał nieśmiało Dworowy.

– W głowie ci się pomieszało czy spijałeś miód z dzbana gospodarza? Jak nas ludzie zobaczą, to koniec. Trzeba będzie się wynieść z domu! – wrzeszczał Domowy, machając rękami.

– U mnie w bani porządek i spokój – wtrącił Bannik.

– Głupiś! – skarcił go skrzat. – Jak nie uratujemy zagrody, to i ty nie będziesz miał tu czego szukać. I skończy się mleko i smakołyki, a nam zostanie tylko wstyd.

Bannik mamrotał coś chwilę do siebie i w końcu także spuścił głowę, bo Domowy jak zawsze miał rają.

– Słuchajcie! Bez pana nic nie wskóramy. Trzeba gospodarza zmusić do pracy. Jak przestanie pić miód, to wróci do zajęć. A i my będziemy mogli działać swoje nocą.

– Ale jak tego dokonać, kiedy zapamiętał się w tym pijaństwie? – biadolili duchy.

– Niech mu każdy przeszkadza jak może. Odechce mu się tego miodu – mruknął Domowy, marszcząc brwi.

Nieprzywykły do psot Dworowy głąskał się nerwowo po długiej brodzie i dreptał w miejscu. Owinnik kiwał głową z uznaniem. Natomiast pod krzaczastym wąsem Bannika wyrósł szeroki uśmiech, bo uwielbiał psikusy i był z natury złośliwy.

Jak postanowili – tak zrobili. Pierwszy był oczywiście Bannik, który w południe, kiedy Sobieżyra przyszedł zażyć kąpieli w bani, zatkał komin mchem tak, że gęsty dym wypełnił całą drewnianą chatkę. Wystraszony gospodarz wyskoczył z niej jak oparzony, krztusząc się i zataczając. Chcąc nie chcąc, musiał się zabrać za czyszczenie komina, co łązienny duch obserwował, tarzając się ze śmiechu.

Nieudana kąpiel nie ostudziła jednak zapału Sobieżyra do miodu i znów udał się do kołodzieja. Nocą Domowy schował się pod progiem i gdy tylko Sobieżyra wrócił do chaty, dźwignął drewnianą deskę, a gospodarz legł jak długi na podłogę. Nabił sobie na głowie ogromnego guza, usiadł i tarł obolały czerep, patrząc wokół mętym wzrokiem, jakby nie rozumiał, co

się stało. Nazajutrz Dworowy zakradł się do chaty i poluzował półkę nad posłaniem Sobieżyra tak, że wszystkie gliniane garnki spadły na niego, wrywając ze snu. Gospodarz zgramolił się z łóżka, zastanawiając się, cóż to za dziwne rzeczy dzieją się ostatnio w domu. Na domiar wszystkiego do płatania figli przystąpił Owinnik i poturlał rozżarzony węgielek prosto pod bosą stopę Sobieżyra.

Domowy zacierał ręce z uciechy, bo przecież pan, skacząc teraz na jednej nodze i wyjąc z bólu, musiał zrozumieć, że cały dom stanął przeciw jego pijaństwu. Niestety niewiele to pomogło. Gospodarz dalej zniknął na całe wieczory, wracał późną nocą, a wstawał tak późno, że o żadnej pracy mowy być nie mogło.

Skrzaty straciły już wszelką nadzieję, tylko Domowy dreptał po podwórku i spoglądał z zazdrością na sąsiednią chatę, gdzie Domamir spał smacznie u boku swojej żony, a jego domowe skrzaty uwijały się przy pracy. Narzędzia zawsze były poukładane, zboże pilnowane, a piec wygaszony i czysty.

Domowy Domamira pod postacią zaskrońca wił się między workami zboża, a nad ranem siadał na ganku, popijał mleko i śmiał się ze strapionych skrzatów sąsiada. Cóż za wstyd spadł na duchy domu Sobieżyra! Prace leżały odłogiem, bydło chudło w oczach, konie wybiły kopytami deski w ścianach stajni i cała zagroda straszyla swoim wyglądem. A sam gospodarz wyglądał pośród tego wszystkiego najgorzej.

Sobieżyra i Domamir już nie rywalizowali. W domu rolnika wszystko szło jak należy i dobro wszelkie przepęniało spichlerz, podczas gdy u Sobieżyra zagościła nędza, a i sam gospodarz przestał dbać o cokolwiek. Benigna prawie nie wychodziła z chaty, bo nietęgo jej było pod spojrzem Domamira, który uśmiechał się z zadowoleniem, że wreszcie wyprzedził w czymś rywala. Jednak z czasem żal mu się zrobiło starego ziomka i jego żony, a w oczach jego zagościła litość. Niestety on także nie mógł nic poradzić.

Jednej nocy Domowy Sobieżyra spostrzegł, jak skrzaty w zagrodzie rolnika przenoszą worki z owsem i zerkają na niego z szyderczymi uśmiezkami. Tego było już za wiele! Domowy, chcąc chociaż dokarmić konie, zakradł się do sąsiedniego spichlerza, złapał pełen wór i ciągnął go do stajni. Nie uszło to uwadze domowych skrzatów Domamira. Jeden z nich skoczył za Domowym i wyrwał mu toból. Zaczęła się szamotanina. Dwa skrzaty chwyciły się za bary i siłowały, poczęły też okładać się

małymi piąstkami, aż wreszcie zupełnie opadłszy z sił, szarpały się za długie brody, wrzeszcząc i wyjąc.

Trwałoby to pewnie do rana, gdyby nie nagły powrót Sobieżyra, który stanął na podwórzu i rozdziawił usta ze zdumienia. Takich dziwów nigdy w życiu nie widział. Pomyślał, że zupełnie pomieszało mu się w głowie. Domowe duchy zaś, zobaczywszy człowieka, pouciekały w najciemniejsze kątki zagrody. Sobieżyr dotoczył się do chaty i poszedł spać, nic nie mówiąc żonie.

Po tej przedziwnej nocy nagle wszystko się zmieniło. Sobieżyr zerwał się o świcie i w pocie czoła pracował cały dzień. Wyprowadził bydło na łąki, oporządził konie i naprawiał zniszczone budynki. Domowy nie wierzył w to, co się dzieje. Gdy tylko gospodarze poszli spać, zerwał się na nogi i z podwójnym zapalem zabrał się do pracy, poganiając przy tym rozleniwione duchy. Tej nocy zrobili więcej niż kiedykolwiek. Zagroda odzyskiwała dawny blask. Na twarzy Benigny znowu zagościł uśmiech, a pod paleniskiem skrzaty mogły znaleźć co smaczniejsze kąski pozostałe z posiłku.

Tak oto modlitwy gospodyni zostały wysłuchane. Domowy znów nabrał pewności siebie i pogodził się ze skrzatami Domamira. Te, widząc jego zapal, także pomagały, aby zagroda sąsiada wróciła jak najszybciej do dawnego dostatku. Sobieżyr i Domamir zaś stali się przyjaciółmi i odtąd wspierali w pracach i nigdy już niczego w ich chatach nie brakowało.

Niedługo później zdarzyło się, że nocą pod chaty podeszła postać odziana w biel i kwiaty. Domowe duchy przyglądały jej się ze strachem. Wtedy przywołała je do siebie. Była to bogini Mokosz, która przybyła nagrodzić małych pomocników za ich starania. Każdy skrzat dostał nową koszulę utkaną z lnu. Pani ziemi rozdała podarki i pochwaliwszy Domowego, zniknęła w nocnej mgle.

Minęło kilka miesięcy, kiedy Domowy wyszedł na dach chaty i w biały dzień wychylił nad strzechę siwą czuprynę. Przed chatą stała Benigna i czekała na męża. Sobieżyr wrócił właśnie z pola i objawszy żonę, poderwał ją w powietrze. Radosny szczebiot rozległ się po okolicy. Domowy duch poprawił dumnie koszulę i zatarł ręce. Nad domem zalany blaskiem Dadźboga kołował bocian.







Południca

Mówiono we wsi o różnych dziwnych i osobliwych rzeczach, jakie starzy widywali na tym świecie. O ognistych ptakach zlatujących na domostwa i zwiastujących nadchodzące bogactwo, o duchach domu, Mokozy odwiedzającej przędące niewiasty oraz innych dziwach. Nikt z młodych nie spodziewał się jednak, że pod ich nosem jakieś niezwykle wypadki zdarzyć się mogą.

Życie w wiosce toczyło się spokojnym ciągiem codziennych obowiązków, który przerywały jedynie radosne święta ku czci bogów. Mieszkańcy tej niewielkiej osady, leżącej gdzieś na lewym brzegu szerokiej Wisły, zajmowali się rolnictwem, co zapewniało im utrzymanie i skromny, ale poczciwy żywot. Ludzie z sąsiednich osiedli zajeżdżali czasem konnymi wozami po zboże, przywożąc w zamian potrzebne dobra. Niektórzy z miejscowych rolników przez całe życie ni razu nie opuścili rodzinnej wioski.

Mieszkała wśród nich dziewczyna imieniem Tolisława – córka rolnika z ojca i dziada. Uroda panny zachwycała każdego młodzika i niejeden starał się o jej względy. Zachodzili tacy wieczorami pod chatę Tolisławy, zostawiając pod drzwiami wianki z polnych kwiatów. Dziewczyna nie zwracała jednak uwagi na zalotników i rzadko opuszczała dom. Nawet w noc Kupały nie chciała bawić się z młodymi, którzy tańczyli i skakali przez ogniska aż do świtu. Całymi dniami przędła len razem z matką i babką, a wieczorami czesała jasne jak pszenica, długie włosy, po czym kładła się do snu.

Mieszkał w tejże wsi młody chłopak, który jako jedyny w okolicy nie uprawiał roli. Całe dnie spędzał w gęstej kniei, polując na dzikiego zwierza. Wędrował z łukiem i kołczanem pełnym szypów przewieszonym przez szerokie plecy, tropiąc sarny i jelenie. Zdobyczą dzielił się chętnie, co cieszyło mieszkańców wioski, bo im mięsa nie brakowało. Chłopak uchodził za dziwaka, bo szwędając się samotnie, zdziczał jak zwierz jakiś. Miał kasztanowe, przycięte krótko włosy, ostry nos i srogie spojrzenie ciemnych oczu. Pewnie przez to właśnie groźne wejrzenie w osadzie mówiono o nim Gniewko. Rodzice pomarli mu od zarazy, więc mieszkał

sam. Choć rzadko się odzywał, z ludźmi żył dobrze, mimo to nikt nie śmiał wchodzić mu w drogę, bo był „dzikus i samotnik”.

Zdarzyło się raz, że idąc na polowanie, mijał chatę pięknej Tolisławy, która właśnie rozwieszała świeżo wyprany przyodziewek. Na rozpiętym między drzewami sznurze leniwie kołysały się koszule, czekając, by Dadźbóg osuszył je blaskiem swojej tarczy. Długa lniana suknia Tolisławy powiewała na wietrze, a gruby jasny warkocz opadał aż do jej pasa obwiązanego zdobną krajką, podkreślając kształtną kibić. Myśliwiec zatrzymał się i długo nie mógł oderwać wzroku od dziewczyny. Rolnicy idący w pole pokazywali go sobie palcami, bo nigdy nie widzieli, żeby zwrócił uwagę na cokolwiek poza lasem.

– To utrafił nasz Gniewko! – śmiali się najmłodszy.

– Odechce mu się miłostek przy Tolisławie!

– My już wszyscy próbowali szczęścia.

Lecz Gniewko nie słyszał ich docinków, stał zapatrzonej. Ruszył w stronę boru, dopiero gdy Tolisława spostrzegła go i umknęła do domu.

Wrócił pod wieczór, kiedy szczyt Dadźboga czerwienił niebo, chowając się za ścianą lasu. Podszedł pod chatę pięknej dziewczyny i zapukał do drzwi. Otworzył jej ojciec.

– A co sprowadza myśliwca? – zapytał z niekrytym zdziwieniem.

– Upolowałem szaraki dla panny – odparł Gniewko, patrząc hardo na starego rolnika.

Dar był znaczny, więc przez moment stary wahał się, co zrobić. Chwilę stał zakłopotany, ale w końcu wziął zające i podziękował. Zaprosić chłopaka do środka nie mógł i nie chciał. Zza jego pleców wyjrzała zaciekawiona żona. Gniewko nie oczekiwał najwyraźniej żadnej podziękuj, bo odwrócił się i odszedł. Ojciec zamknął drzwi i trzymając dwa szaraki za skoki, zerkał surowo na córkę, która siedziała obok babki, a oczy kryła za burzą jasnych włosów.

– Następnym się rozkochał w Tolisławie – powiedział i zmarszczywszy brwi, czekał na odpowiedź córki.

Ta jednak nawet nie drgnęła.

– Żeby tylko jakiego nieszczęścia z tego nie było. On straszny taki i patrzy jak wilk – chwytając się za głowę, biadoliła matka.

– Nic nam, córka, nie powiesz? – zagadnął znów ojciec, chcąc wywiedzieć się, czy coś aby między młodymi nie zaszło.

Tolisława swoim zwyczajem nie powiedziała nic, co jeszcze większy niepokój wzbudziło w rodzicach. Ale po prawdzie nie raz już młodziki biegali koło młodej panny i nic nie wskórali, bo nawet jak który spodobał się matce, to na zainteresowanie czy choćby spojrzenie Tolisławy liczyć nie mógł. Wszyscy dotąd zniechęceni szybko znajdowali sobie inne dziewczęta, które tylko czekały na młodych zalotników, toteż w domu rolnika myślano, że tak będzie i tym razem.

Jednakże myśliwy nadal przynosił podarki z lasu i wpatrywał się uparcie w okna chaty, ilekroć koło niej przechodził. Tolisława nigdy nie rozmawiała z Gniewkiem i unikała go na każdym kroku. Jedyne stara babka zauważyła, że dziewczyna czasem spogląda za nim przez uchylone drzwi, gdy wracał do swej chałupy.

Z czasem stary gospodarz – choć zadowolony ze specjalnych względów, a szczególnie z dziczyzny, grzybów i jagód, jakie obficie spływały do domu – pożałował Gniewka.

„Namęczy się chłopak, nawzdycha, a tu go i tak nic dobrego od Tolki nie spotka” – myślał.

Wyszedł raz przed chatę, wypatrzywszy zawczasu zbliżającego się myśliwca. Zatrzymał go w drodze i rzekł:

– Słuchaj, Gniewko! Wiem, żeś dobry chłopak, ale wiem też, że nie skaczesz koło naszej chałupy dla dobrego serca, ino dla dziewczyny. Ja ci na drodze nie stoję, ale widzisz chyba, że na darmo te starania. My już przywykli, że Tolisława do ludzi się nie garnie i sama pewno do śmierci będzie.

Gniewko patrzył na niego w milczeniu. Rolnik uspokojony, że chłopak nie wpada w gniew, mówił dalej:

– Jesteś młody i silny. Niejedna tu za tobą patrzy. Poniechaj naszej córce, bo i ludzie już dziwne rzeczy gadają.

– Gospodarzu, niech mi to sama powie, a moja noga już tutaj więcej nie postanie!

Ojciec nie chciał chłopakowi odmawiać, bo polubił go nawet i za wszystkie podarki chciał się chociaż życzliwością odpłacić. Przywołał więc Tolisławę.

– Tolka, Gniewko ma sprawę do ciebie! – powiedział i wszedł do domu. Tolisława wyszła do chłopca i spuściła wzrok.

– Spójrz na mnie! – powiedział.

Podniosła głowę i ujrzała jego oczy – jak nigdy wcześniej łagodne i pełne lęku. Gniewko przemówił:

– Nikt mi już nie pozostał na tym świecie i myślałem, że przyjdzie mi samotnie dojść do Nawii. Od pierwszego spojrzenia miłuję cię nad wszystko i zrobię, co każesz. Klnę się na Peruna, że jeśli pozwolisz, to wezmę cię za żonę, dam dom i spełnię, cokolwiek zapragniesz. Jeśli mnie nie chcesz, to pójdę precz, tylko nie patrz na mnie jak na wroga.

Umilkł i wpatrywał się w nią, a serce biło mu tak mocno, że dziwił się, czemu nie rozłupie mu piersi i nie spadnie jej pod nogi. Po chwili, która Gniewkowi wydała się trwać jak dzień cały, rzekła:

– Gniewku, nie spotka cię ode mnie szczęście, którego pragniesz.

Po tych słowach uciekła do chaty jak spłoszona łania. Ojciec i matka Tolisławy zerwali się z ławy na widok córki z trudem wstrzymującej łzy. Ona jednak skryła się w swoim kącie i nie mówiła nic. Rolnik skoczył na obejście, ale nikogo już tam nie zastał.

Skończyły się tym samym wizyty myśliwego w domu rolnika, a wraz z nimi zniknęły leśne smakołyki i piękne futra zwierząt. Gniewko, tak jak obiecał, nie nachodził więcej ich domu.

Od tamtego czasu Tolisława stała się jeszcze bardziej tajemnicza i cicha. Prawie zupełnie przestała odzywać się do ludzi. Całe dni spędzała z babką, tkając lniane płótno. Ojciec myślał, że może to rozmowa z myśliwym spowodowała jej dziwną przemianę, ale kiedy pytał o powód frasunku, nic nie chciała mu wyjawić.

– Przejdzie jej. Parę księżyców przebiegnie niebo, to zapomni i znów będzie jak dawniej – uspokajał zmartwioną żonę rolnik.

Minął czas żniw, a Tolisława wcale nie zdawała się weselsza. Stroskana matka przyglądała jej się uważnie i martwiła coraz bardziej, widząc, że córka już nie czesze pięknych włosów, jak to robiła co wieczór. Spostrzegła też, że Tolisława nie ma apetytu i chudnie w oczach. Pewnej nocy spytała starą babkę, co może trapić Tolisławę, na co ta odrzekła:

– Różne rzeczy dzieją się na świecie. Topielce z wody wyłazą, wisielce po drogach się snują, a czasem dusza żywego wyłazi z człowieka i lata po polach.

Żona rolnika przeraziła się wielce. Bo chociaż babka była już stara, pamiętała mnóstwo opowieści o bogach i duchach.

„Rzeczywiście mówiło się o boginkach i upiorach, ale dlaczegoż Tolisława miałaby mieć z tym do czynienia? Z drugiej strony co jeśli babka

ma rację i dusza ucieka z biednej dziewczyny?” – tak rozmyślała, patrząc na śpiącą córkę, która nie mogła widocznie znaleźć sobie wygodnego miejsca w pościeli, bo przewracała się z boku na bok.

Przyszła zima, a wraz z nią pierwsze śniegi pokryły pola. Tymczasem Tolisława cierpiała coraz bardziej. Rodzice z niepokojem patrzyli na jej bladą, wychudłą twarz i posiniałe oczy. Co noc jęczała i zrywała się nad ranem z krzykiem lub padała na podłogę, nie mogąc złapać tchu.

– Zmora ją dusi. Słyszałam ja o zmorach, co nękają nocą piękne dziewczęta – cedziła przez bezzębne usta babka. – To dusze dziewczyn zazdrosnych o urodę przychodzą i duszą we śnie.

– Cóż zaradzić? – pytała matka. – Poradź co, babko, bo nam córkę zadusi.

– Znam taki sposób, coby zmorę oszukać i wystraszyć – rzekła. – Trzeba ciernie rozrzucić wokół łóżka, to się bies porani i ucieknie. Dobrze też leżeć głową tam, gdzie zwykle nogi. To zmorę oszuka i nie wróci więcej.

Dopiero po tej rozmowie matka zrozumiała, że to nie Tolisławy dusza wyłazi i hula po polach, ale że to ją jakaś zmora nawiedza. Z braku innej rady ojciec poszedł w las i naciął zmrożonych badyli o ostrych kolcach. Poukładali je z żoną wieczorem przy pościeli Tolisławy, a jej samej kazali spać odwrotnie niż zazwyczaj.

Następnego ranka cała rodzina stanęła przy Tolisławie z radością, którą rychło przyćmiła zgroza. Córka przespała spokojnie całą noc i pierwszy raz od dawna wstała wypoczęta, na ziemi jednak przy cierniowych gałęziach znaleźli krwawe ślady.

Sposób babki podziałał, ale jak się okazało – nie na długo, bo kilka nocy później nękanie zaczęło się na nowo, teraz ze zdwojoną siłą.

– Cóżżeś, stara, uczyniła?! Rozgniewaliśmy jeno biesa! – krzyczał na babkę rolnik, który posiwał w kilka dni.

Nie mogąc znieść swej bezradności, wskoczył w końcu na konia i przez śniegi wyjechał z wioski. Wrócił pod wieczór, ale nie sam. Przywiózł ze sobą sędziwego mężczyznę.

– Oto jest źerca z sąsiedniej wsi. Ludzie mówią, że zna się na leczeniu i Welesowych czarach – oznajmił, kiedy weszli do domu.

Staruch dokładnie przyjrzał się Tolisławie i jej pościeli.

– Co cię nawiedza, dziewczyno? – zapytał w końcu.

– Co noc coś wchodzi do mojego posłania i gniecie – mówiła przez łyżę.
– Potem kładzie się na moich piersiach tak, że tchu złapać nie mogę.

Starzec pokiwał głową i mruczając pod nosem, wrzucił do misy z łożem wysuszone zioła, po czym namoczył w niej szmaty. Kazał porozwieszać je na drzwiach i oknach chałupy, a sam podwiązywał u powały pęki wonnych roślin i ziół, których przywiózł cały worek. Żerca spędził noc całą, czuwając nad śpiącą dziewczyną. Jego sposoby przyniosły skutek i z rana, po obfitym posiłku, uradowany ojciec odwiózł go z powrotem.

Spokój był tym razem ze zmorą aż do pierwszego wiosennego pioruna. Kiedy Dadźbóg z dnia na dzień wspinał się coraz wyżej na niebo, zjawa wróciła. Nie pomagały stare sposoby babki ani zioła. Tolisława dusiła się co noc i nikt nie mógł jej dopomóc.

Wreszcie pewnego ranka straszna rozpacz zapanowała w domu rolnika, bo znaleziono młodą dziewczynę martwą. Jej twarz była sina, oczy stanęły w słup, a piękne włosy rozlały się na posłaniu w nieładzie. Cała wioska pogrążyła się w żałobie, bo wszyscy wiedzieli o straszliwych odwiedzinach nocnej zmory i żalowali wielce gospodarzy, którzy nieszczęściu nie mogli zaradzić. Przygotowano dla zmarłej stos pogrzebowy i patrząc, jak ogień trawi jej młode ciało, zaklinano bogów, by uchronili inne dziewczęta przed tak straszliwym losem.

Na uroczystość przybył także Gniewko. Dopiero teraz przypominano sobie o uczuciu, jakim zapałał do młodej dziewczyny i tym większy żal chwycił za serca zebranych. Stał tam myśliwiec w milczeniu i wpatrywał się w twarz umiłowanej, której jasne włosy, opadające teraz na stos drewna, przyozdobiono wiankiem z kwiatów, jako że zmarła niezamężna.

Gniewko przez kilka dni nie wychodził z domu. Porzucił bór i codzienne zajęcia, a we wsi zgadywano, że oplakuje niedoszłą kochankę. On tymczasem snuł się po chacie, nie mogąc znaleźć dla siebie miejsca. Szlochał, krzyczał i bił pięściami na oślep. Była już późna noc, kiedy padł umęczony na podłogę i zasnął. Wtedy właśnie targnął nim silny dreszcz. Ciało wyprężyło się, a z piersi wyszła jasna mgiełka, zatańczyła w powietrzu jak dym i leniwie opadła na ziemię. To dusza młodzika opuściła jego ciało i popęzła pod drzwi. Przeleciała szczeliną nad progiem i pomknęła przez wioskę. Gdyby ktoś ujrzał to dziwne zjawisko, pomyślałby, że to łasica lub mysz mknie między domami. Nikogo jednak w pobliżu nie było. Uśpiona wieś stała cicha i ciemna.

Zmora dotarła do domu zmarłej i wleciała uchylonym oknem. Zawisła nad posłaniem, w którym dotąd sypiała piękna Tolisława, i zastygła w bezruchu. Krążyła później chwilę wokół łóżka i nie znalazłszy ukochanej, pomknęła na podwórze, a stamtąd do zagrody. Dusza myśliwca odszukała konia, na którym rolnik przywiózł żercę, i owinęła się wokół jego łba. Koń wierzgał i bił kopytami. Na nic się to jednak zdało, bo zaraz padł bez życia na klepisko.

Rankiem u wrót stajni stali wszyscy rolnicy ze wsi, łapiąc się za głowy i złorzecząc. Ojciec Tolisławy przeklinał zmorę, bo był pewien, że śmierć córki nie wystarczyła biesowi i teraz szuka pomsty w jego gospodarstwie. Wszystkie kobiety z okolicznych chat wieszały w drzwiach i oknach wonne zioła, by chronić się przed zbłąkana duszą.

Czas płynął, pola obsiano, a w zagrodach ciągle zdarzało się, że ludzie znajdowali martwe zwierzęta. Żadne sposoby nie pomagały. Ostatecznie cieszą się z tego, że zmora nie nęka ludzi i zadowala się zwierzyną.

Kiedy zboża wyrosły już wysoko i zbliżały się żniwa, Gniewko, nieświadomy, że sam jest sprawcą tylu nieszczęść, wyszedł z domu, by mu Strzybóg włosy przewiał i smutki rozpedził. Wędrował tak po lesie i okolicznych pagórkach cały ranek, a gdy tarcza Dadźboga była już wysoko, ruszył w stronę domu. Chcąc skrócić sobie drogę, poszedł na przełaj przez pola. W połowie drogi, na miedzy, poczuł okropnie gorąco, pot zalał mu czoło, a myśli się zmyły. Przysiadł więc na niezaoranym skrawku ziemi, żeby nie upaść.

Wtem zboże zawirowało, łany zafalowały, a spośród nich wyłoniła się kobieca postać o bladej twarzy. Włosy miała jasne jak pszenica, a na głowie wieniec z najróżniejszego zielska. Gniewko przecierał zdumione oczy, ale postać nie znikwała. Poznał w niej swoją ukochaną, choć zmieniła się ogromnie. Oczy jej nabiegły krwią, a zęby szczyrzyła jak wilczyca. Kroczyła ku niemu w białej, rozchełstanej koszuli, pod którą zwisały pomarszczone, białe piersi.

Gniewko nie miał sił, by wstać. Jeszcze nigdy nie czuł takiego strachu. Potworna Tolisława podeszła bliżej i z przeszywającym jękiem rzuciła się na niego, chwytając za szyję kościstymi dłońmi. Chłopak poczuł, że się dusi. Wierzgał nogami i próbował zrzucić z siebie biesa, ale rył jedynie stopami ziemię i szarpał rękami zbożowe źdźbła. Tracił oddech i czucie w kończynach. Bezradnie wyczekiwał, aż całkowicie zapadnie w ciemność.

Zobaczyli go rolnicy wracający po posiłku do pracy w polu. Gniewko szedł chwiejnie i potykał się co krok. Śmiał się i płakał na przemian. Wrzeszczał w niebo, by po chwili położyć się na ziemi i tarzać w kurzu. Mężczyźni podbiegli do niego i chwycili za ramiona. Był wśród nich ojciec Tolisławy. Klęknął przy chłopaku, chwycił za głowę i spojrzał w jego rozbiegane, mętne oczy:

– Gniewko! Co tobie? – krzyknął.

W odpowiedzi usłyszał szaleńczy śmiech.

– Oszałał – mówili między sobą inni.

– Południca – rzekł najstarszy z nich.

Wszyscy umilkli i spojrzeli na Gniewka, który uwolnił się z uścisku i poszedł w kierunku wioski.

– Nigdy nie chodźcie w pole, kiedy Dadźbóg na szczycie nieba, bo was południca dopadnie i zadusi – ciągnął starzec. – Niech się młody cieszy, że go żywego ostawiła.

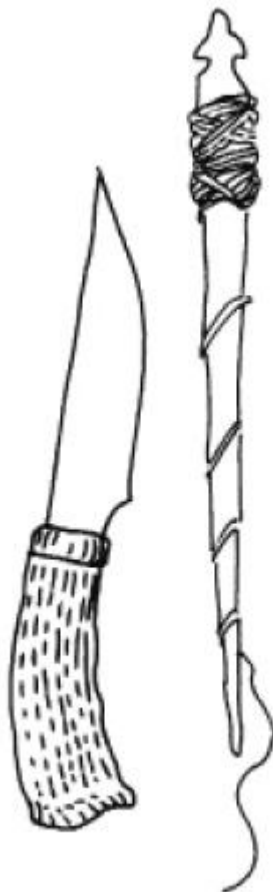
Tak kończy się historia nieszczęśliwej miłości dwojga ludzi, którzy zapłacili za nią wysoką cenę – Tolisławy, którą strach przed uczuciem i ludźmi doprowadził do tragicznej śmierci, oraz Gniewka, który postradał duszę i zmysły przez swoje pożądanie.

Tolisława stała się południcą – biesem pól czyhającym na młodych chłopców, którzy nie skryli się w południe do chaty i przysnęli pod miedzą.

Wiele takich historii usłyszeć można wśród Słowian. Mówi się o nieszczęśliwie zakochanych i zmarłych młodo pannach, o wdowach, których złe uczynki każą im wrócić po śmierci na pola, aby tu ubrane w biel nękać strudzonych rolników. Mówi się także na całej słowiańszczyźnie o zmorach – duszach młodych chłopców i dziewcząt zazdrosnych i zakochanych bez wzajemności, nawiedzających nocą swoje ofiary. Wiele imion nadano tym zbłąkanym duchom – zmary, mary, gniotki czy kikumory – wszystkie jednak przestawały nękać ludzi i zwierzęta wraz ze śmiercią zazdrośnika.

Podobnie stało się i tym razem. Cała wieś rozprawiała o południcy i zmorze. Szybko więc powstało wiele opowieści i historii na ten temat. Nikt jednak nie dowiedział się, że to dusza młodego myśliwca opuszczała go, by spędzić noc z ukochaną. I nikt nie domyślił się, że Tolisława skrycie kochała Gniewka i że to jej strach i upór sprawiły, że włóczy się teraz po okolicznych polach, szukając ukojenia. Dość powiedzieć, że odkąd

Gniewko postradał zmysły, spokój zapanował w zagrodach i ani ludzie, ani zwierzęta nie doświadczali już przykrości od tajemniczej zmyry.







Wąpierz

Wieczór był ciepły jak na tę porę roku. Las z wolna zasnuwała mgła, ale Bolelut doskonale znał drogę do wioski – właściwie wychował się w tym lesie. Suche gałęzie trzaskały pod jego stopami, kiedy przedzierał się przez gęste chaszczce. Przyspieszył kroku. „Licho nie śpi” – przypomniał sobie słowa matki, która zawsze dbała o sprawy bogów i demonów, zanosząc zertwy pod posągi ustawione na rozdrożach. Od czasu do czasu topiła też kurczęta w stawie na prześląganie złośliwych duchów.

Bolelut nie należał do bojaźliwych mężów, w zasadzie mało co mogło go przestraszyć. Był roslým mężczyzną w sile wieku, niejednemu już młodzikowi pokazał, gdzie jego miejsce, ale czartowskich mocy nie można było lekceważyć, szczególnie w noc taką jak dziś. A noc rzeczywiście była szczególna.

„Stary żyrzec powiedział, że będzie trwać tyle co dzień. Chyba wie, co mówi, bo ciągle gapi się w niebo i śledzi wędrówki Dadźboga i Chorsa. Pewnie już się cała osada zesła na dziady, na mnie czekać nie będą” – tak rozmyślał w drodze Bolelut, gdy nagle potknął się o sterczący z ziemi konar i runął na ziemię.

– Żeby tak piorun strzelił te Welesowe czary! – zaklął, zbierając się na nogi.

Mgła całkowicie zasnuła polanę, na której stał. Była gęsta jak mleko, nie widać było nawet drzew oddalonych o kilka kroków. Dreszcz przeszedł mu po plecach, kiedy idąc jak ślepiec z wyciągniętymi ramionami, ujrzał przed sobą dwa świecące na czerwono punkty. Coś obserwowało go tymi straszliwymi ślepiami. Bolelut zaczął się cofać. Wtedy pojawiła się kolejna para czerwonych oczu, a potem następna i następna.

– Zaklinam cię, maro, precz ode mnie! – wrzasnął, a jego własny głos wydał mu się obcy.

Ściana mgły zadrzała, powietrze zgęstniało i dało się słyszeć ciche warczenie dobiegające jakby spod ziemi. Bolelut odwrócił się i ruszył na oślep, ratując się ucieczką. Nie zrobił nawet trzech kroków, gdy coś skoczyło mu na plecy. Okropny wrzask i nieludzkie wycie uniosło się nad lasem czerwonym od promieni zachodzącego słońca.

• • •

W wiosce jednak nikt niczego nie usłyszał. Wszyscy mieszkańcy zeszli się do chaty Sędzimira i zajęli miejsca według wieku. Najstarsi siedli przy stole nakrytym białym obrusem. U jego szczytu zasiadł sam Sędzimir, który pełnił w osadzie rolę żyrzca. Potrafił także wyleczyć ludzi i zwierzęta z choroby, a czasem i zagrał na gęślach. Dojrzali mężczyźni i kobiety rozsiedli się na ławach i zydlach, a najmłodszy gdzie zostało miejsce na podłodze.

– Już czas – zaskrzeczał żyrzec, patrząc przez otwarte drzwi. – Ziemko, rozpal ogień.

Rozmowy natychmiast ucichły, niektórzy odwrócili głowy, starając się dostrzec, jakież to znak ujrzął Sędzimir. Na zewnątrz nie było nic widać, bo słońce już się schowało i mrok zasnuł obejście chaty. Młody chłopiec wstał posłusznie i skrzesał ogień w palenisku. Jasny płomień oświetlił zwrócone ku gęślarzowi twarze zebranych. Ziemowit podał gospodarzowi chleb i usiadł z pozostałymi. Sędzimir zamrugał, jakby ocknął się z drzemki i rozejrzał się po zebranych.

– Kogoś brakuje – wymamrotał.

– Bolelut jeszcze nie wrócił – odpowiedział Witosław.

Na sam dźwięk jego imienia młodsze dziewczęta zadrżały i spojrzały z lękiem na drzwi. Witosław zmarszczył brwi. Liczył może ze trzydzieści wiosen, a cała osada uznawała go za wodza. Może ze względu na mocną pierś i gęstą brodę, która nadawała mu władczy wygląd, a może dlatego, że rozumem i sprytem przewyższał innych. Tak czy inaczej, w sprawach ważnych do niego należała decyzja i nikt, nawet Bolelut, nie ważył się z nim nie zgodzić. A Boleluta bali się wszyscy inni. Szczególnie dziewczęta przerażała jego twarz i ciemne oczy, które wróżyły kłopoty.

– Czekać nie musimy. Kto wie, gdzie się Bolelut podziewa? – przemówił chudy chłopak. – Same z nim kłopoty, nikogo nie szanuje, to i zwyczajnie nie ma w poważaniu.

W chacie podniósł się gwar. Kilka osób pokiwało głowami.

– Nie czas teraz na narzekania – przerwał Witosław. – A Bolelutem się nie przejmuj, Lubomirze, już ja go do porządku przyprowadzę. Dziś jest noc przodków, a nie nas, żywych. Sędzimirze, zaczynajmy dziady.

Starzec kiwnął głową, a w chacie znów zapanowała cisza. Ogień rozpalili się na dobre, więc żyrzec podszedł do paleniska, ułamał kawał

chleba i rzucił go w płomienie.

– Swarozycu, oświetl drogę duchom naszych dziadów i prowadź ich do naszego stołu na wieczerzę – rozpoczął obrzędy.

Młode dziewczęta przysunęły się bliżej siebie i chwyciły za ręce dla dodania odwagi, bo strach przed niepojętym i obcym bywa większy niż przed tym, co znane.

– Po dniu noc przychodzi, po życiu człek umiera, po szczycie księżę wschodzi, Wyraj się otwiera – żyrzec mamrotał zaklęcia ledwie słyszalnym szeptem.

Potem wstał i wyszedł z chaty. Obchodził ją trzykrotnie wkoło, trzymając napoczęty bochen. Kiedy wrócił, na stole już ustawiono rozmaite pokarmy i napitki. Były tam pieczone mięsa i ryby, chleb, ser oraz miód i mleko. Położył bochen na białym płótnie i usiadł.

– Przybywajcie duchy domu, ogrzejcie się i najedzcie – przemówił. – Chodźcie do nas i darzcie pomocą swoje dzieci.

Przez chwilę nikt nie ważył się odezwać, słyszać było tylko drewno strzelające w palenisku, wszyscy nasłuchiwali w milczeniu. Wtedy to dały się słyszeć kroki, ciche i nieśmiałe jak kroki dziecka. Westchnienie lęku wyrwało się z piersi młodzików, kiedy na progu chaty pojawił się domowy skrzat. Był mały i krępy. Nosił wyświechtany kubrak i długą brodę. Spojrzał niepewnie do środka, rozejrzał się i bosą stopą wkroczył do domostwa. Za skrzatem weszło jeszcze kilku jemu podobnych.

Kiedy zbliżyli się do stołu, Sędzimir wręczył Domowemu chleb i każdego skrzata z osobna poczęstował mlekiem. Starsze kobiety wyciągnęły ku nim ręce, w których trzymały malowane i okraszone wzorami jajka. Skrzaty przyjęły podarunek, po czym skłoniły się zebranim. I chociaż wszyscy wlepiali w nich spojrzenia, mało kto dostrzegł, w jaki sposób domowe duchy opuściły chatę. A może wcale jej nie opuściły, tylko za sprawą znanych tylko sobie czarów poukrywały się w domostwie.

Sędzimir przemówił:

– Sława Welesowi, panu umarłych!

– Sława! – odpowiedzieli wszyscy.

– Dziś, Welesie, syn twój dzieli niebo z Dadźbogiem po połowie. Otwórz bramy Nawii, by nasi dziadowie z nami wieczerzali.

Dalej począł szeptać formuły zaklęć. Nie sposób było dosłyszeć, jakie to słowa wypowiada żyrzec. Kiedy skończył, rzucił w palenisko garść ziół,

które strzeliły i buchnęły wysokim płomieniem. Ogień przygasł i wszędzie zrobiło się ciemno i głucho.

– Co to będzie? – szepnęła jakaś dziewczyna.

Wtem w drzwiach pojawiła się postać starca. Ubrany był w długą koszulę, która świeciła srebrnym blaskiem jak księżyc. Kilku starszych musiało rozpoznać w nim swego krewniaka lub znajomego, bo zakryli usta dłońmi, żeby nie krzyknąć z przerażenia.

– Zasiądź z nami do wieczerzy – zaprosił Sędzimir spokojnym tonem.

Duch usiadł na wolnym miejscu i poczęstował się miodem.

– Czy to ty, Witomyśle? – zapytała stara kobieta.

– Ja jestem Witomyśl, co mieszkał z wami, nim mnie Dola nie zabrała – odparła zjawa.

Na twarzy kobiety pojawiły się łzy, bo rozpoznała w nim swego ojca. Zjawa zaś rzekła:

– Nie płacz, córo, bo mnie już krzywda nie grozi. Na polanach Nawii niczego mi nie brakuje, ale wam biada.

Zgromadzeni poruszyli się nerwowo i zaraz poczęli pytać, co to za złe nowiny dziad przynosi.

– Cóż nam grozi? – zapytał Sędzimir. – Czy mało nas nieszczęść spotkało? Dzieci wiele martwych na świat przyszło tej wiosny. Czy ich dusze nam szkodę chcą uczynić?

Duch Witomyśla odstawił dzban i po długim milczeniu rzekł:

– Duchy dzieci waszych przybędą tu po mnie. Dajcie im się posilić, to zaznają spokoju.

– To czego mamy się obawiać? – pytał dalej żyrzec.

– Dusza zbłąkana, niepożegnana, za życia zła praca, biesem powraca – po tych słowach widziadło podniosło się ciężko i ruszyło do wyjścia.

Sędzimir dał znak, by pozwolić mu odejść w spokoju. Kiedy zniknął za progiem, w izbie podniósł się lament. W ogólnym gwarze pytano starego Sędzimira, cóż to znaczy, bo nikt nie zrozumiał dziwacznej odpowiedzi ducha.

– Słyszeliście, co powiedział dziad – rzekł żyrzec. – Zaraz przybędą nasze dziatki małe. Dajcie im się posilić.

Jego głos był stanowczy i pewny, co trochę uspokoiło mieszkańców wioski. Sam Sędzimir jednak był pełen niepokoju. Kiwał się nad ogniskiem i rozmyślał nad przepowiednią ducha. Za oknem coś się poruszyło.

Z początku myślano, że to dym, ale zaraz na parapecie okna wylądował mały, czarny ptak. Za nim nadleciały kolejne.

– Nawki – szepnęła młoda dziewczyna do swego męża i zaniósła się szlochem.

To dusze zmarłych dzieci zleciały do chaty, aby zaznać ciepła wspólnej wieczerzy. Rozsypano dla nich ziarna i okruszki chleba. Nawki zleciały na podłogę i pospiesznie dziobały ofiarowane smakołyki. Kiedy najadły się do syta, zawirowały w izbie nad głowami rodziców, którzy stracili niemowlęta, i wyfrunęły w mrok.

Pociecha spłynęła w serca młodych, którzy z uśmiechem spoglądali na siebie w nadziei na liczne potomstwo w następnym roku. Sędzimir jednak nie podzielał ogólnego zadowolenia. Martwiły go słowa ducha o tajemniczym biesie.

– Dość już wzywania dziadów – rzekł. – Ziemko, zamknij izbę. Duchy wracajcie do Nawii, a duch rodu naszego niech sprzyja nam z wysokiego Wyraju.

Tymi słowami zakończył obrządek i wszyscy zabrali się do ucztowania. Jedli i pili do późnej nocy, wspominając zmarłych bliskich i przyjaciół. Tak zakończyły się dziady – w ogólnej radości i życzliwości. Zmęczeni biesiadnicy rozeszli się do swych chat.

• • •

Bolelut we wsi już się nie pojawił. Zaniepokojeni mieszkańcy przeszukali okoliczne bory, lecz nie znalazłszy żadnych śladów, uznali, że pożarły go dzikie zwierzęta bądź z sobie tylko znanych powodów oddalił się na zawsze.

• • •

Jakiś czas później wsią wstrząsnęła straszna wiadomość. Nad ranem znaleziono martwego człowieka. Był nim samotny starszy mężczyzna o imieniu Sieciech, mieszkający w małej chatce na uboczu sioła. Sieciech nie miał żadnych bliskich, a wiek nie pozwalał mu na pracę, więc cała wioska pomagała mu, jak mogła. Młody Ziemowit, jak co dzień, udał się do

niego z chlebem i mlekiem. Kiedy nikt nie odpowiadał na jego wołanie, wszedł do chaty. To, co ujrzał, przeraziłoby niejednego dorosłego męża, a cóż dopiero młodego chłopca.

Donośny wrzask ściągnął zaraz połowę osady. Witosław minął chłopca, który wymiotował oparty o drzewo, i wpadł do izby. Gdyby nie wiedział, że jedynym mieszkańcem domu pod lasem był Sieciech, miałby trudności z rozpoznaniem, czyje to ciało leży na podłodze. Widok był okropny. Poszarpane szczątki walały się po całej umazanej krwią izbie. Obdarta ze skóry twarz odsłaniała białą czaszkę, członki były nadgryzione, a jednej nogi brakowało zupełnie.

Witosław pojawił się przed ludźmi zgromadzonymi już przed chatą blady i niespokojny. Podszedł do Ziemowita i poklepał go po ramieniu.

– Już lepiej? – zapytał.

Chłopiec pokiwał głową, oczy miał pełne łez.

– Nie bój się. Powiedz, co widziałeś! – Witosław starał się opanować drżenie głosu, ale przychodziło mu to z wielkim trudem.

– Nic – wykrztusił Ziemowit. – Wszedłem, a on tam leżał. I wszędzie krew.

– Niczego nie widziałeś? Wilka albo niedźwiedzia?

– Nie.

Starsi długo jeszcze rozmawiali o biednym Sieciechu i uzgodnili, że pewnie dziki zwierz zakradł się tu nocą, bo chata stoi najbliżej lasu. Ustalono też, że stos dla zmarłego ustawi się w chacie, tak żeby płomienie i ją strawiły, bo nikt nie chciał w niej zamieszkać.

Po tym zdarzeniu ludzie zaczęli z niepokojem patrzeć na ścianę lasu. Natomiast stary Sędzimir zasepił się jeszcze bardziej niż zwykle i na wszelkie pytania odpowiadał tylko zrzędliwymi pomrukami.

Przyszła zima i pierwszy śnieg przyprószył strzechy chat. Zapomniano już o przykrej śmierci Sieciecha, kiedy niepokój wrócił do osady ze zdwojoną siłą. Do wioski przyjechał kowal ze wsi położonej po drugiej stronie lasu. Przywiózł narzędzia, groty do szypów oraz ozdoby wykute z żelaza. W zamian otrzymał worki ze zbożem, którego było tu pod dostatkiem, po czym załadował je na jednokonny wóz. Witosław prosił go, by został na noc w jego izbie, bo dzień już krótki, a droga niepewna. Kowal nie chciał o tym słyszeć.

– Dzięki wam gospodarzu, ale śnieg pada – powiedział. – Kto wie, czy do jutra gościńca nie zasypie? Lepiej mi w blasku Chorsa do domu

zajechać, niż konia zakopać w zaspie.

Żadne namowy na nic się nie zdały i tuż przed zachodem kowal ruszył w drogę.

Następnego ranka mieszkańców wioski zbudziło głośnie rzenie. Witosław wyszedł przed chatę i ujrzał tam konia stojącego samotnie na drodze. Był już przy nim Lubomir, próbując chwycić za ciągnące się po ziemi lejce. Zwierzę ryło kopytami zmarzniętą ziemię i rzucało łbem.

– No już! Cicho, cicho – uspokajał konia Lubomir, głaszcząc go po łbie.

– Czy to nie koń kowala? – zapytał Witosław.

– Nie inaczej. Zerwać się musiał z uprzęży. O! Jak postronki pozrywał.

Witosław nie czekał chwili dłużej.

– Lubomirze, bierz konia! – polecił. – Jedziemy w las.

I ruszył do stajni. Lubomir odprowadził tam wystraszone zwierzę, po czym dosiadł swojego siwka. W chwilę potem pędzili z Witosławem przez pokryty śniegiem gościniec. Nie ujechali zbyt głęboko w las, gdy ich oczom ukazał się wóz stojący na środku ścieżki. Dyszle wisiały bezładnie, a worki ze zbożem leżały na wozie nietknięte. Kowala nie było nigdzie w pobliżu. Podjechali bliżej.

– Może go kto napadł? – zapytał Lubomir.

– I zboża nie zabrał? – zastanawiał się Witosław. – Tu się stało coś innego.

Objechał furmankę wkoło i przystanął.

– Tam! – Wskazał na czerwoną smugę ciągnącą się po śniegu między drzewami.

– Perunie, panie niebios, strzeż nas od złego... – wyszeptał Lubomir, który pobladał ze strachu.

Podążyli krwawym śladem. Jakieś dwadzieścia kroków dalej znaleźli kowala, a raczej to, co z kowala zostało. Twarz miał zwróconą ku niebu, białą jak śnieg, który już zdążył ją przyprószyć. Szeroko otwarte oczy i usta zastygły w przerażeniu. Nogi i ręce miał nadal przy ciele, jednak jego podarty kubrak odsłaniał rozszarpany brzuch i wywleczone wnętrzności.

– Wilki? – zapytał Lubomir, zasłaniając usta.

– Zwierzęta zostawiłyby tylko kości – odrzekł przytomnie Witosław. – Tam są ślady.

Witosław dobył krótki nóż i ruszył ledwie widocznym tropem. Ślady wyglądały na ludzkie, ale po co człowiek miałby robić coś takiego? Witosław nie miał czasu się nad tym zastanawiać, bo śnieg zaczął padać

mocniej i zatarł trop. Mężczyźni zawinęli ciało kowala w derki i złożyli na wozie. Zaprzęgli konia i ruszyli do sąsiedniej wioski, by żona i bliscy mogli należycie pożegnać zmarłego.

Kiedy Dadźbóg dotknął szczytem wierzchołków drzew, przed chatą Sędzimira zebrała się prawie cała wieś. Wszyscy pytali, co się stało z kowalem i gdzie podziewają się Witosław z Lubomirem. Stary gęślarz uspokajał przestraszonych ludzi:

– Wrócą niebawem, to się dowiemy.

Na nic się to zdało, bo z każdą chwilą padały nowe przypuszczenia co do tego, co spotkało kowala. Doszło i do tego, że zastanawiano się, czy dwaj mężowie żyją jeszcze, na co ich żony wybuchły okropnym płaczem. Ogólny lament udzielił się wszystkim i trwałby pewnie do nocy, gdyby nie dwóch konnych, którzy wyłonili się z lasu. Kiedy Witosław z Lubomirem podjechali bliżej i zsiadli z koni, żony rzuciły się na nich, całując po twarzach i sprawdzając, czy mają ręce i nogi na miejscu.

– Cóż się stało? – zapytał Sędzimir.

Witosław odsunął od siebie żonę i przemówił:

– Kowal nie żyje. Znaleźliśmy go poszarpanego w lesie. Wkoło żywej duszy. Nic z wozu nie zginęło, a koń musiał zerwać się z rzemieni. Zawieźliśmy martwego do domu i mówiono nam, że już trzeciego człowieka żegnać będą w tym roku.

Sędzimir zmarszczył brwi, a wśród zebranych przemknęła fala złowrogiego szeptu.

– Co czynić, Sędzimirze? – pytano. – Klątwa to jakaś. Tyś w czarach zaznajomiony. Co czynić?

– Kto jeszcze zabity, Witosławie? – spytał spokojnie żyrzec.

– Mówili, że kobietę znaleźli nad rzeką – odpowiedział. – Coś ją rozszarpało, jak wodę czerpała. Myśleli, że to zwierz dziki, ale nie może to być, boby do kości ciała obdarł. I jeszcze myśliwy nie wrócił do domu ze dwa księżyce temu i do tej pory śladu po nim nie ma.

– Zło nad nami – rzekł Sędzimir. – Pomocy bogów tu trzeba. Przeprowadźcie kowalowego konia i włócznie weźcie.

Po tych słowach mężczyźni pobiegli po broń, a Lubomir do stajni po znaleźnego konia. Żyrzec zniknął w swej chacie. Kobiety tymczasem zebrały się w gromadę, szepcząc między sobą:

– Wróżył będzie.

– Żeby tylko większego zła nie zobaczył.

Kiedy ubrany w jasną szatę Sędzimir wyszedł przed domostwo, już czekano na niego pod bronią. Lubomir w jednej ręce dzierżył długą włócznię, drugą zaś trzymał uzdę spokojnego teraz karego konia. Żyrzec rzucił na ziemię wór, który zachrząścił tak, że ciarki przechodziły po plecach. Rozkazał stanąć mężom w kole i wbić w ziemię włócznię. Gdy uczynili to bez słowa, zaczął szeptać zaklęcia. Stojący najbliżej mogli dosłyszeć słowa:

– Dolo moja! Dolo sądzona i niesądzona, bądź nam łaskawa! Chodź do mnie wieszczyć!

Chwycił konia za uzdę i, mrużąc dalej tajemne słowa, obszedł z nim krąg zatkniętych w ziemię włóczni. Wszyscy patrzyli w skupieniu, jak zwierzę mija kolejne drzewce. Przy ostatnim targnął łbem, zatańczył w miejscu i potracił je zadem. Żyrzec skoczył do swego worka z szybkością młodzika i, stanąwszy wewnątrz kręgu, wysypał na ziemię kości. Były to kości zwierząt złożonych wcześniej bogom na żertwy. Sędzimir klęknął przed nimi i przyglądał się długo w milczeniu. Kiedy wstał, oczy miał mętne, a dłonie trzęsły mu się tak jak i głos, którym przemówił:

– Biada nam. Bies, który nas nęka, to wąpierz.

Starsi z mieszkańców wioski złapali się za głowy, młodszy wytrzeszczali oczy i otwierali usta w przerażeniu.

– Bies to okropny i mściwy – ciągnął żyrzec. – Krew pije i mięso ludzkie wyżera.

– Cóż my teraz pocniemy?! – płakały niewiasty. – Czy nie ma jakiego sposobu na wąpierza?

Sędzimir spojrzął na nie i pokiwał głową:

– Jest. Odwagi tu potrzeba i pomocy bogów – powiedział. – Znajdzie się taki, co wąpierza schwyta i pośle precz w zaświaty?

Witosław wystąpił z grupy i wytargał swą włócznię z ziemi. W ślad za nim poszli inni mężowie.

– Dobrze – rzekł Sędzimir. – Perunie, dodaj naszym wojom sił i odwagi! Z wąpierzem rzecz niełatwa – zwrócił się do uzbrojonych mężczyzn. – Ciało ma trupa, lecz dusza jeszcze w nim siedzi i chodzić jak żywemu pozwala. Na nic wasze groty. Wąpierza trzeba schwytać i głowy pozbawić albo kołek w nią wbić, a wtedy bies straci moc.

Kilku młodych wojów stąpiło w miejscu z nogi na nogę, ściskając mocniej drzewce włóczni. Niepokój wkradł się w ich serca, bo coż to za siła martwych do życia powraca i jeszcze na ciosy mieczy i szypów nie zważa?

Witosław stał jednak wyprostowany i pewny. Młodym jego widok musiał dodać otuchy, bo zaraz dały się słyszeć wojownicze okrzyki:

- Poślemy biesa, skąd przyszedł!
- Sława Perunowi i temu, kto upira ubije!
- Dalej w las chodźmy, tam go złapiemy!

Rozochoconych młodzików uspokoił mądry Sędzimir:

– Teraz potrzeba rozwagi. Idźcie do swoich chat i bądźcie czujni. Wąpierz nie schwytacie jak niedźwiedzia w borze. Sam do nas przyjdzie.

Po tych słowach wszyscy powoli oddalili się do swoich domów. Tylko stary żyrzec stał jeszcze wpatrzony w kości rozrzucone na ziemi i mrucał pod nosem modlitwy.

Minęło kilka dni i codzienne obowiązki przyćmiły pamięć o straszliwym biesie i ostudziły zapal młodych wojów. Lubomir wyszedł właśnie przed dom i rąbał drewno na opał. Śnieg przestał już padać, ale przez ostatnich kilka dni okolicę zdążył przykryć biały płaszcz. Żelazny topór świszczał w powietrzu, kiedy Lubomir rozbijał kolejne pniaki. Koszula parowała w mroźnym powietrzu, rozgrzana spoconym od pracy ciałem.

Przed chatę wyszła jego żona, niosąc wodę dla koni. Przystanęła na chwilę, patrząc na męża i dziwiąc się po raz kolejny, skąd w tym chudym mężczyźnie taka ogromna siła. Ruszyła do stajni i otworzyła drewniane wrota. Wewnątrz panował półmrok. Snopy jasnego od śniegu światła wkradały się przez szczeliny w ścianach. Podeszła do siwka i postawiła przed nim wiadro. Koń rył kopytem ziemię i parsknął niespokojnie.

Wtedy właśnie poczuła, że w stajni jest ktoś jeszcze. Odwróciła się i ujrzała najstraszliwszą i najbardziej obrzydliwą istotę, z jaką kiedykolwiek przyszło jej się spotkać. Bies miał skórę siną, brudną i nadgniłą oraz wielkie zęby. Roztaczał wokół trupi odór. Lubomirowa żona nie spostrzegła nawet, kiedy skoczył na nią i obalił na ziemię. Poczwała, jak wąpierz zatapia ostre niczym noże zębiska w jej ramieniu. Koń zarżał i wyrwał się ze swej zagrody. W strachu wierzgał kopytami tak, że trafił wąpierz, który przeleciał przez pół stajni. Bogom dzięki, bo jeszcze chwila, a Lubomir zostałby wdowcem. Kobieta zerwała się szybko na nogi i krzycząc z całych sił, wybiegła na podwórze.

Bies musiał być głodny, a smak krwi tylko pobudził jego apetyt, bo nie robiąc sobie nic z kopniaka, który niejednego by połamał, wybiegł za niewiastą. Był tam już Lubomir. Nie zatrzymując się, odwinął toporem koło

i zatopił ostrze po sam trzonek w ramieniu demona. Siła ciosu musiała zaskoczyć wapiersza, bo aż przysiadł na śniegu.

– Uciekaj do chaty! – wrzasnął Lubomir do małżonki i dzielnie stanął naprzeciw biesa.

Krzyki rozniosły się po wsi i chwilę później na podwórze wbiegł Witosław, a za nim grupa mężczyzn. Wszyscy byli uzbrojeni. Jedni dzierżyli włócznie, inni widły i łuki. Zastali Lubomira walczącego z wapierszem. Chociaż ciosy topora były silne i celne, potwór nie krwawił i wcale nie opadał z sił. Syczał przeraźliwie i wył nieludzko:

– Na nic wasze żelazo. Zeżrę was jednego po drugim!

Wojowie otoczyli wapiersza i natarli. Groty włócznie i zęby wideł przebiły jego trupie ciało. Nadal szarpał się i walczył. Szczęście, że długie drzewca nie pozwalały mu zbliżyć się do mężów, bo walka mogłaby okazać się zgubna dla całej wsi. Wapiersz charczał i kłął, zamknięty w potrzasku, machając rozpaczliwie szponiastymi łapami. I mogliby tak pewnie trwać do utraty sił, gdyby nie Witosław, który porwał ze stajni rzemienie i z niebywałym zapałem skoczył na biesa. Po krótkiej szamotaninie skrepował mu ręce i nogi. Wapiersz leżał teraz u ich stóp, nie mogąc nic poradzić na mocne węzły.

– Co teraz? – zapytał któryś z młodych.

– Żyrzec mówił, że na nic nasza broń – odpowiedział jeden ze starszych. – Kołek trzeba mu w łeb wbić albo całą głowę urąbać.

Lubomir, który zniknął w chacie, by sprawdzić, co z żoną, opatrzył jej ranę i wrócił na podwórze z długim żelaznym gwoździem. Podał go Witosławowi. Ten kiwnął głową i biorąc do drugiej ręki topór, podszedł do schwytanego. Przyklęknął przy nim, przystawił mu do czaszki gwoździe i zamachnął się do ciosu. Uderzył z całych sił. Chrupnęło i czarna posoka strzeliła w powietrze. Wapiersz zwinął się, zatrząsł i znieruchomiał.

– Już po wszystkim? – zapytał któryś z wojów.

– Jeszcze trzeba go gdzieś zakopać – odparł Witosław, wycierając ręce z ciemnej mazi.

Truchło wapiersza wywieźli wozem daleko w las. Podróż była niełatwa, bo śnieg zalegał na gościńcach. Jeszcze więcej trudu przysporzyło im kopanie w zmarzniętej ziemi. Kiedy uporali się z wykopaniem głębokiej dziury, wrzucili do niej wapiersza wraz z gwoździem wbitym w czaszkę. Zakopali dół i przykryli go głazami, na wypadek gdyby sposoby żyrzca okazały się mało skuteczne.

• • •

Niepotrzebnie obawiali się powrotu biesa, bo we wsi i okolicach zapanował spokój. Rana po ugryzieniu na ramieniu żony Lubomira zagoiła się szybko, a Sędzimir składając bogom ofiary z chleba i miodu, dostrzegł pomyślne wróżby. Nastąpiła wiosna, a z nią przybyły bociany i jaskółki, zsyłając duchy przodków na młode niewiasty. Szczęście zawitało do osady na nowo, a trwoga i strach przed wążpięciem odeszły w zapomnienie.

Przyszedł też czas zrównania dnia i nocy, więc Sędzimir zebrał wszystkich w swojej chacie na dziady. Wyczekiwano tego dnia, bo każdy chciał się dowiedzieć, czy dziadowie sprzyjają osadzie i czy zła klątwa na pewno minęła.

Żyrzec rozpoczął uroczystość starym zwyczajem. Domowe skrzaty najadły się i napiły, a nawki nie sfrunęły po okruchy chleba, co Sędzimir wyjaśnił spokojem i szczęściem małych dusz w zaświatach.

Następnie Sędzimir wezwał duchy przodków i nie minęło mgnienie oka, gdy w izbie pojawiła się postać rosnącego mężczyzny.

– Na Welesa, czy to być może? – szepnęła jakaś dziewczyna. – Bolelut!

Rzeczywiście, stał przed nimi duch Boleluta. Mimo że cały mienił się srebrem, można było dostrzec jego ciemną czuprynę i czarne jak noc oczy. Nie czekał na zaproszenie, tylko usiadł za stołem.

– Czego ci trzeba? – zapytał żyrzec.

– Nie trzeba mi jadła ani napitku – rzekł duch głosem mocnym jak za życia. – Przychodzę powiedzieć wam, co za klątwa nawiedziła osadę i zdradzić, że ja sam byłem jej przyczyną.

Zebrani ucichli zupełnie i przysunęli się bliżej zjawy. Tymczasem duch Boleluta rozpoczął swoją opowieść:

– Gdyście tu wszyscy zasiedli na jesienne dziady, ja szedłem lasem, by zdążyć przed zachodem. Dziwny to był las. Jakby inny... obcy. Wiem teraz, że mnie pokarać chcieli bogowie za moje występki i do przemiany przyprowadzić. Lecz ja nie znałem pokory, więc mi Weles inną przemianę zgotował. Idąc, upadłem i, ja głupi, w złości przekląłem pana podziemi. Wtedy przyszły na mnie złe czary. Stado wilków o czerwonych ślepiach otoczyło mnie w borze. Sam Weles poszczuł na mnie tę podziemną watahę. Donikąd ucieczki, znikąd pomocy. Zagryzły mnie, ale nie rozszarpały.

Tu zawył cicho, ale zaraz powrócił do opowiadania:

– Kara bogów na mnie spadła i klątwa Welesa za złe uczynki i przekleństwo. Ciało miałem martwe, ale duch nie chciał wyjść z niego. I tak od tamtej nocy tułałem się po lesie, a głód okropny palił mnie w środku. Tylko krew mogła mnie nasycić, a gdym już jej skosztował, to jeszcze większe łaknienie wykręcało mi wnętrzności. Nękałem ludzi i zwierzęta, nie było dla mnie ratunku.

– To tyś był wążem, Bolelucie? – zapytał Witosław, otwierając szerzej oczy ze zdumienia i zgrozy.

– Tak, ja nim byłem, dopókiś mnie od klątwy nie uwolnił i nie przebił gwoździem. Tak moja dusza uwolniona została.

– A teraz co z twym duchem? – spytał żyrzec.

– Wolna już dusza moja – powtórzył duch. – Ale spokoju nie zaznam, póki mi nie przebaczą ziomkowie moi.

Zapadła cisza. Wszyscy przypomnieli sobie Boleluta, jak naprzykrzał się jeszcze za życia. Potem wspomnieli okropności, jakie wąż czynił w okolicy. Witosław spuścił głowę i widać było, że walczy sam ze sobą. Gdyby kto mógł spojrzeć w jego myśli, dojrzałby, że wahał się, co począć. Wiedział, że cała osada czeka na jego słowo. Wspomniał starego Sieciecha i kowala. Spojrzał na Lubomira i jego żonę, która też mogła spotkanie z wążem przypłacić życiem. Ale najmocniej martwiło go, że nie poznał Boleluta wtedy przed stajnią. Że wbił mu gwóźdź w głowę, nie wiedząc, że to jego druh.

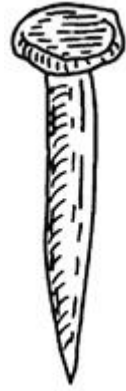
– Nie trap się, Witosławie – przemówił duch. – Biesa nic powstrzymać nie może. Ty klątwę zatrzymałeś.

Po tych słowach mężczyzna nabrał otuchy i zrozumiał, że wyjścia innego nie miał. Tak jak i nie miał wyboru Bolelut, będąc przeklętym i uwięzionym w martwym ciełe.

– Przebaczymy ci, Bolelucie! – rzekł w końcu Witosław.

– Przebaczymy, odejź w spokoju! – powtarzali za nim inni.

Zjawa podniosła się z ławy i ruszyła do wyjścia. Nim minęła próg domu, rozmyła się w powietrzu jak mgła.







Wiedźma

Jaga była szpetna. Spośród wszystkich młodych dziewcząt wyróżniały ją nie tylko ostre rysy, zakrzywiony garbem nos i wyłupiaste oczy, ale także dziwaczny chód. Od urodzenia miała jedną nogę krótszą, przez co cała jej postać stała się krzywa i dziwna. Za młodu inne dzieci unikały dziwadła, bo nikt nie chciał zarazić się jej brzydotą. Wiecznie na uboczu, zawsze inna, chodziła mała Jaga swoimi ścieżkami i już wtedy czuła niechęć do ludzi i ich spraw. Starsi żalowali dziewczynki. Mówili, że bogowie musieli przekląć to biedne dziecko.

Z biegiem lat samotna i odrzucona dziewczyna zupełnie zgorzkniała, odpychając od siebie wszystkich już nie tylko wyglądem, ale i złośliwością. Bywało, że umyślnie wypuszczała trzodę z zagrody, tak że pasterze musieli gonić ją po zboczach gór. Czasem rozgłaszała kłamliwe plotki o niewiernych żonach lub występnych mężach, czym niejednemu przysporzyła kłopotów i nieszczęść. Toteż nic dziwnego, że szybko zyskała sobie opinię wrednej i złośliwej. Cała wioska unikała jej jak ognia, aż doszło do tego, że każde nieszczęście, jakie na osadę spłynęło, wiązano ze złą i brzydką Jagą, nawet jeśli akurat nie miała z tym nic wspólnego. Jeśli lis zadusił kury, zaraz mówiono, że Jaga w nocy głowy im ukręca, jeśli krowa nie dawała mleka, na Jagę zrzucano winę. Dziewczyna, słysząc takie zarzuty, nie pozostawała dłużna i faktycznie podkradała nocą mleko i drób.

Tak mijały dni, miesiące i lata. Jaga wiedziała, że jej sąsiedzi to dobrzy ludzie, ale nie mogła im wybaczyć tego, jak traktowali ją w młodości. Skazana na wykluczenie z życia między swoimi ziomkami, odnajdywała dziką radość w ich nieszczęściu.

– Niech sobie pocierpią i zobaczą, jak to jest – mówiła sama do siebie, kiedy leżała w łóżku, nie mogąc zasnąć.

Próbowano przekonać Jagę, żeby opamiętała się w swojej złości. Nie chciała słuchać. Na nic zdawały się prośby i groźby. W końcu mężczyźni postanowili wypędzić ją z osady, przed czym uchronił ją przypadek. A może nie był to przypadek? Kiedy przed jej chatą stanęła wściekła gromada, wrzeszcząc i grożąc kobiecie, rozpętała się burza. Błyskawice przecięły ciemne niebo, co poczytano za gniewny znak od Peruna.

Mężczyźni wrócili do domów zrezygnowani. Każdy zastanawiał się, dlaczego pan nieba chce ochronić Jagę, a ich skazuje na życie w ciągłym niepokoju – czym też i komu ta zdziwaczała dziewczyna zechce zaszkodzić?

Tym większe było zaskoczenie, kiedy następnego dnia Jaga zniknęła. Nie było jej w chacie. Nikt nie widział jej we wsi ani w żadnym miejscu, gdzie zwykła przesiadywać. Szukano dzień lub dwa, lecz nie znalazłszy nawet śladu, porzeczono na stwierdzeniu, że to bogowie uwolnili wieś od tej okropnej kobiety.

Tymczasem Jaga była już daleko. Opuściła wioskę nocą i szła przed siebie, nie zważając na deszcz i pioruny bijące dokoła. Kiedy pierwsze promienie słońca przedarły się nad widnokrąg, po burzy nie było już śladu. Jaga usiadła na trawie i westchnęła. Widok był przejmujący. Okolica mieniła się różowozłotą barwą. Błada mgła opadała z wolna, odsłaniając spłaszczony wierzchołek góry zwanej Łyścem, na której to spotykano się dla uczczenia bogów. Potem ukazały się w blasku porastające zbocza potężne buki i wysokie jodły. Świat napełnił się słońcem i zielenią. Urzeczona przyrodą i zmęczona po nocnej wędrówce dziewczyna zapomniała o gniewie. Wtem usłyszała melodię, a chwilę potem śpiew.

To starzec siedzący opodal pod wierzbą szarpał struny gęśli i śpiewał smutną pieśń. Jaga podeszła bliżej, a kiedy ostatnie dźwięki umilkły, dziad podniósł głowę. Nie skrzywił się na jej widok, jak to zwykle działo się, kiedy ktoś obcy pojawiał się w wiosce i widział Jagę po raz pierwszy. Gęslarz nie mógł dostrzec jej brzydoty, bo był zupełnie ślepy. Jego oczy osadzone głęboko pod siwymi gęstymi brwiami pokrywało bielmo. Musiał jednak usłyszeć kroki, bo przemówił:

– Kto tu jest? Czy to moja Dola w końcu zabierze mnie ze sobą?

– Nie bój się, starcze – odparła Jaga. – Nic ci nie grozi.

– Czemu miałbym się bać czegoś, na co czekam?

Pytanie starca zastanowiło dziewczynę.

– Nie boisz się śmierci? – zapytała.

– Młoda jesteś, dziewczyno! Kochasz życie! – odparł. – Jam już stary i jedyne, czego pragnę, to stanąć przed Welesem.

Jagna przypomniała sobie wypadki ostatniej nocy, zmarszczyła czoło i prawie krzycząc, odparła:

– Może i jestem młoda, ale cóż mi po tej młodości? Nie kocham życia i sama bym z chęcią stanęła przed Welesem. Ciekawe, co by mi

powiedział?

Teraz zdziwienie zagościło na twarzy gęślarza.

– Cóż takiego cię spotkało, dziecko? – zapytał.

– Podobno bogowie mogą rzucać klątwy, na kogo im się podoba. Jestem brzydka i kulawa, a ludzie z mojej wsi są gorsi od dzikich zwierząt – żaliła się dziewczyna.

Łzy nabiegły jej do oczu, ale szybko zebrała się w sobie i zapytała:

– A ty? Jeśli tak ci spieszo do Welesa, to czemu sam się do niego nie wybierzesz?

Po tych słowach starzec przeląkł się naprawdę.

– Cóż ty mówisz, szalona dziewczyno?! Nie można tak po prostu igrać z bogami – odparł roztrzęsionym głosem.

– A dlaczego nie? Co gorszego może mnie spotkać? – odpowiedziała zadziornie Jaga. – Wiesz, gdzie ten Weles mieszka? Znasz drogę?

Starzec zamyślił się głęboko, a jego twarz zdała się jeszcze bardziej pomarszczona. Pogładził długą siwą brodę i przemówił spokojnym już głosem:

– Mówią, że Weles mieszka pod ziemią, gdzie w konarach Wielkiego Dębu drzemią pradawne wody. Tam, u wejścia do Nawii, zakuty jest Wielki Smok. Tam też Chors zaczyna wędrówkę po niebie i tam chowa się za dnia.

– Dobrze więc. Pójdę tam i zapytam, za co mnie taka kara spotkała – zdecydowała Jaga.

– Idź więc za Chorsem, aż dojdiesz do wielkiej wody. Dalej nikt nie dotarł. Może tobie uda się wejść żywą do świata umarłych – powiedział gęślarz.

– Bywaj, starcze, i czekaj sobie na swoją Dolę – odparła Jaga i ruszyła w drogę.

Nie uszła jednak zbyt daleko, bo zmęczenie dopadło ją niczym sfera wilków.

„Odpocznę trochę i ruszę wieczorem, kiedy Chors pojawi się na niebie” – pomyślała i położywszy się na miękkim mchu, zasnęła głęboko.

Zbudził ją chłód. Słońce już zaszło, a ściana lasu srebrzyła się w oddali blaskiem miesiąca. Jaga spojrzała na blade lico Chorsa i podążyła w jego stronę. Jak długo szła – nie wiadomo. Sama Jaga straciła rachubę. Żywiąc się owocami lasu i pijąc źródlaną wodę, maszerowała bez wytchnienia. Sypiała za dnia, aby nabrać sił, a o zmierzchu zrywała się do pogoni za nocnym księciem.

Końca wędrówki nie było widać. Jaga traciła już nadzieję. Patrząc w roziskrzone gwiazdy, myślała, że wcale nie zbliża się do celu. Chors wschodził na jednym końcu nieba, aby schować się z drugiej strony, a wielkiej wody nie było ani śladu.

Jednej nocy Chors wisiał jeszcze wysoko, a Jadze wydał się tak daleki i nieuchwytny, że gotowa była zawrócić. Usiadła na płaskim kamieniu i ukryła twarz w dłoniach. Bolały ją stopy, była głodna i zmęczona. Rozmaite myśli przemykały jej przez głowę. Że pewnie starzec zakpił z niej, a ona naiwna szła daremnie przez pół świata. To znów myślała, że bogowie prowadzą ją na manowce, aby umarła samotnie w puszczy. Gardło ścisnęło jej się z żalu.

Wtem usłyszała plusk. Podniosła zmęczone powieki i spostrzegła, że siedzi nad brzegiem wody. Ale cóż to była za woda? – niepodobna do rzek i stawów, które widywała dotąd. Rozlewała się przed nią tak szeroko i daleko, że Jaga nie mogła dojrzeć drugiego brzegu. Fale delikatnie uderzały o piaszczysty brzeg pod jej stopami, ale bezmiar toni budził w niej lęk. Mroczna tafla ciągnęła się po sam widnokrąg, spokojna i potężna jak uśpiony olbrzym, gotów w każdej chwili zbudzić się i napełnić świat grozą.

– Czyżbym dotarła do wielkiej wody? – szepnęła do siebie.

Nagle uderzył ją oślepiający blask. Jasne światło rozlało się na falach. Woda i piasek zdawały się niemal białe w tej srebrzystej łunie. Jaga musiała mrużyć oczy, aby dojrzeć, co się stało. Z góry zstępował młody mężczyzna o smutnych oczach. To jego okrągła twarz rzucała owo srebrne światło. Schodził wolno po niewidzialnej drodze. Dziwny i przerażający to był widok dla Jagi, która nigdy czarów nie widziała. Młodzieniec kroczył tak po niebie, aż jego stopy dotknęły powierzchni wód. Zatrzymał się i począł powoli zapadać w toń. Jaga nie mogła wykrztusić ani słowa i pewnie czekałaby na Chorsa kolejny dzień i noc, gdyby nie to, że dostrzegł ją na brzegu. Wynurzył się z wody i zmarszczył brwi.

– Kim jesteś i co tu robisz? – zapytał, zbliżając się.

– Czy ty jesteś Chors? – w przypiływie niewytłumaczalnej odwagi odpowiedziała pytaniem Jaga.

Śmiałość Jagi tak zaskoczyła młodzieńca, że odparł bez wahania:

– Tak, jam jest Chors, syn Welesa.

Od razu pożałował swojej odpowiedzi, bo dalej nie wiedział, z kim ma do czynienia, a już zdradził swoje imię. Zupełnie jakby zapomniał, że jest bogiem i synem twórcy świata. Domyślił się, co prawda, że nieznajoma jest

tylko człowiekiem, ale nigdy żadnej ziemskiej kobiety nie widział z tak bliska.

„Z nieba zdają się być piękniejsze” – pomyślał i wpatrywał się w Jagę z ciekawością.

Chors nie znał zbyt dobrze świata ludzi, bo tylko nocą spoglądał nań z wysoka. O ludzkich zwyczajach nic nie wiedział poza tańcami przy ogniu, które obserwował w sobótkowe noce. Ziemię zalaną słonecznym blaskiem i w całym bogactwie barw widział tylko raz. Było to jeszcze, zanim Dadźbóg przepędził go z nieboskłonu, skazując na nocną tułaczkę i okrutny głód.

– Jesteś córką ziemi? Skąd się tu wzięłaś? – zapytał w końcu.

– Przybywam z daleka. Szłam za tobą wiele dni, bo muszę się dostać do twego ojca. Chors nie spodziewał się takiej odpowiedzi, a jego ciekawość jeszcze bardziej się wzmogła.

– Mogę cię zabrać przez wielką wodę aż do mego ojca, ale nie za darmo.

– Czego chcesz w zamian? – odparła pewnie Jaga.

– Opowiesz mi o ziemi i ludziach. Opowiesz mi swoją historię, a wtedy zdecyduję, czy możesz się ze mną udać.

Nie mając wyboru, bo nie chciała zaprzepaścić długiej wędrówki, Jaga opowiedziała Chorsowi wszystko najdokładniej, jak potrafiła. Chors rozsiadł się na brzegu i słuchał w milczeniu. Najbardziej cieszyły go opowieści o zielonych łąkach, bujnym kwieciu i wszystkim, co traciło nocą swój niepowtarzalny urok barw. Kiwał wtedy głową i zamykał oczy, jakby próbował przywołać dawno zatarte wspomnienia.

Kiedy Jaga skończyła, zapadła cisza. Długo musiała czekać, zanim Chors przemówił:

– Dobrze więc. Zabiorę cię w podziemne jaskinie i zaprowadzę do Welesa, ale za to, co może ci się przydarzyć w świecie umarłych, ręczyć nie mogę.

– Nie obawiam się – odparła pewnie. – Prowadź.

Chors wstał z piasku i wkroczył do wody:

– Pójdź ze mną – rzekł i wyciągnął rękę.

Jaga chwyciła mocno jego dłoń i dała się poprowadzić. Wokół nich coś się poruszało. Jaga rozpoznała biesy zwane wirnikami. Były podobne do ludzi, ale skórę miały szarą jak popiół. Ich chude ciała kotłowały się wokół, tworząc wir. Woda zakipiała i Jaga znalazła się w środku wodnego leja,

który wciągał ją w toń. Nie puszczać dłoni nocnego księcia, zapadła się w nicość. Poczowała, że wiruje z ogromną prędkością, nie widziała nic poza wszechogarniającą czernią. Zaczynało brakować jej powietrza, chciała wypłynąć na powierzchnię, ale nie mogła się poruszyć. Potworny ból wypełnił jej piersi i wtedy dłoń Chorsa wymknęła się z jej uścisku. Jaga była pewna, że umrze.

Nie umarła jednak. Uderzyła ciałem o coś twardego. Woda opadła, pozwalając nabrać upragnionego powietrza. Umordowana i przerażona dziewczyna klęczała na skalnej półce, kaszląc i ciężko dysząc.

– Dotarliśmy do podziemia – usłyszała za plecami.

Podniosła się i ujrzała ogromną grootę. W miejscu, gdzie stał Chors, rozciągał się skalisty brzeg, który podmywała woda rozlana na kształt wielkiego jeziora.

„A więc tak wygląda podziemna kraina” – pomyślała Jaga.

Nie miała jednak zbyt wiele czasu, żeby nadziwić się tym tajemniczym jaskiniom, bo Chors ponaglił ją szorstko:

– Idź za mną i nie zatrzymuj się.

Mijali długie, ciasne korytarze i wielkie komnaty. Jaga musiała biec, żeby nadążyć za przewodnikiem. Nie wiedziała, ile czasu przemierzali jaskinie, ale musiała to być długa droga, bo nogi rozbolały ją okropnie i z trudem łapała oddech. Chors nie obejrzał się na nią ani razu. Zmęczenie wzmogło jej obawę, że za chwilę upadnie i zostanie sama w ciemnych, wilgotnych tunelach, czekając samotnie na śmierć. Pomyślała, że tak czy inaczej stanie w końcu przed Welesem.

– Jesteśmy na miejscu – głos Chorsa wyrwał ją z ponurych rozmyślań.

Jaga uniosła głowę. Z jej piersi wyrwał się cichy jęk zachwytu i przerażenia. Stali u wejścia do ogromnej sali, której kamienne ściany połyskiwały od wody jak stal. Sklepienie było rozległe i wysokie. Gdyby nie sterczące z niego korzenie drzew i zawisające sople skalnych nacieków Jaga pomyślałaby, że stoi pod gołym niebem, patrząc na czarną bezgwiezdną kopułę.

Chors ruszył przez wielką salę. Jagna poczłapała za nim po śliskiej posadzce. Szli między dwoma rzędami słupów – szerokich u dołu i zwężających się w górę, aby znów wystrzelić niczym korona drzewa zatopiona w mrocznym sklepieniu. Powłócząc koślawymi nogami, Jaga nie mogła dojrzeć, dokąd zmierzają, bo przed oczami miała plecy księżycowego przewodnika.

Wychyliła się zza Chorsa i ujrzała go. Na ogromnym tronie splecionym w dzikie ornamenty z korzeni drzew zasiadał bóg.

Weles był tak ogromny, że pod Jagą ze strachu ugięły się kolana. Jego srogą twarz otaczała fala ciemnych włosów spływających niczym wodospad na ramiona. Czarna broda splątana z wodorostami i trzcina opadała na szeroką pierś. Podziemny bóg siedział rozparty na tronie, wokół którego wiły się węże i smoki.

Chors zatrzymał się przed tronem, lecz nim zdążył przemówić, salę wypełnił gromki głos podobny do huku setki rogów.

– Kogóż to przyprowadzasz do mnie, synu? Czyż to nie ludzka niewiasta?

– Tak, ojcze, chciała mówić z tobą.

– Jakiż to ważny powód – Weles zmarszczył brwi – sprowadza żywą do świata umarłych?

Chors stanął przy tronie ojca, odsłaniając skuloną na kamiennej posadzce Jagę. Poczowała się wtedy niezwykle mała i krucha. Sala przytłaczała ją ogromem i chociaż wiedziała, że Weles kieruje swe pytanie właśnie do niej, bała się podnieść wzrok na jego surowe oblicze. Bogowie milczeli. Musi teraz przemówić, inaczej Weles odeśle ją na ziemię albo wyda na pastwę swoich smoków. Nie po to przemierzyła pół świata i drugie tyle podziemia, żeby teraz umrzeć bez posłuchania. Zebrała całą swoją odwagę i rzekła:

– Przychodzę zadać ci pytanie.

Nie poznała własnego głosu. Słowa ugrzęzły jej w suchym gardle. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo jest spragniona.

– Pytanie?! – zadrwił Weles. – A czemu miałbym odpowiadać na pytania słabego człowieka, który wdziera się do mojego królestwa. Mógłbym cię teraz zgładzić jednym ciosem i odesłać twą duszę w upiora zaklętą na ziemię.

Te słowa naprawdę przeraziły Jagę. Wiedząc, że nie ma już nic do stracenia, wstała i spojrzała prosto w czarne oczy boga.

– Ty, Welesie, sprawiedliwie sądzisz dusze umarłych – odparła, walcząc z drżeniem całego ciała. – Poczciwych przygarniasz do Nawii na wieczne szczęście, a podłych karzesz, zmieniając w szkarady. Powiedz mi zatem, jaka to sprawiedliwość, że jestem tak szpetna i cierpię, odkąd mnie matka na świat wydała? Masz moc, by zrobić ze mną, co zechcesz, ale wiedz, że nic gorszego od życia między ludźmi nie zdołasz mi uczynić.

Weles przekrzywił głowę i zmarszczył czoło. Nie było to jednak oblicze gniewne. Malowały się na nim niekryte zdziwienie i ciekawość.

– Hardą żywą przyprowadziłeś, Chorsie – rzekł. – Nie boi się śmierci, a boi się życia. Dobrze więc! Pytasz o sprawiedliwość, a pytać powinnaś o Dolę.

– Nie rozumiem – odparła ośmielona nieco Jaga.

– Dola i jej siostry przędą nić żywota – ton Welesa złagodniał na tyle, że Jadze przestały się trząść kolana. – Chciały, byś była szpetna i na krzywych nogach chodziła po świecie, tak więc masz chodzić krzywa i szpetna. Co przed tobą jeszcze za życia, wiedzą tylko Rodzanice. Nie masz ucieczki od Doli i jej wyroku. Ale jak już nić twoja się zerwie, staniesz znów przede mną, a wtedy sprawiedliwie tve postęпки rozsądzę.

– Sądź mnie zatem, panie, już teraz – odparła Jaga pełna rezygnacji, nie spuszczając wzroku z Welesa. – Wracać do ludzi nie chcę, bo ani sława, ani radość mnie tam nie spotka. Ty najlepiej wiesz, jak to jest utracić coś, co ci się słusznie należy.

Weles poruszył się niespokojnie i zmierzył spojrzeniem koślawą postać.

– Co takiego wydaje ci się w nas podobne? – zapytał.

– Gęślarze śpiewają o tym, jak z Perunem stworzyłeś świat i jak stracił cię do otchłani. Czy nie należy ci się taka sama władza jak jemu? A co ja bogom uczyniłam, że nie mogę żyć jak inni ludzie? Wina nasza tylko taka, że chcemy mieć to, co inni darmo dostali.

– A cóż ci odebrano, że się do boga porównujesz?

– Życie mi uprzykrzyli tak, że mi nawet wędrówka do ciebie niestraszna. Równać się z tobą nie mogę, ale gdybym znała tajemnice czarów, jakimi władasz, żaden człowiek by mi już nie zaszkodził.

Weles się zamyślił. Czy to odwaga Jagi wzbudziła w nim podziw czy też raczej jej historia litość wywołała – nie wiadomo. Postanowił jednak, że da jej to, czego pragnie, by zyskać wierną służebnicę na ziemi. Skoro Jaga wierzy, że czarami może swój los odmienić, to czemu on nie miałby za jej sprawą urwać choć trochę władzy, którą mu przemocą zabrano? Tak rozumując, przemówił:

– Czego więc chcesz ode mnie?

– Naucz mnie zaklętej sztuki – odparła. – Daj moc czarów, a twoje imię będzie postrachem wśród ludzi.

Welesowi podobały się te słowa, więc odrzekł:

– Nauczę cię zaklęć i czarów. Pokażę, jak używać przyrody. Ale musisz spełnić moje warunki.

Jaga nie mogła uwierzyć we własne szczęście.

– Co tylko każesz, wielki Welesie! – wykrzyknęła ochoczo.

– Poznasz moc, jakiej nie mają nawet wasi żercy. Nauczę cię, jak warzyć mikstury i mieszać zioła, ale wiedzy tej nie wolno ci przekazać żadnemu mężowi.

Po tych słowach rozpoczął nauki. Jagna nie wiedziała, jak długo zgłębiała tajniki czarów, jednak mimo zmęczenia i głodu chłonęła każde słowo Welesa. Na koniec bóg położył ogromną dłoń na jej głowie i tchnął w nią boską moc. Jagnie pociemniało przed oczyma i osunęła się na ziemię. Weles skinął na smoki, które natychmiast porwały jej bezwładne ciało i wyleciały z wielkiej sali.

• • •

Ocknęła się na polanie. Usiadła na trawie i przetarła oczy. Czy to wszystko było tylko snem? Spojrzała na swoje bose stopy. Niemożliwe, żeby wyśniła długą wędrówkę do podziemnej krainy, bo opuchnięte nogi bolały ją jak nigdy dotąd. Powoli wracała pamięć.

„Tak – pomyślała – to wszystko zdarzyło się naprawdę, pamiętam Welesa i jego nauki”.

Podarowała się na nogi i wbiegła do lasu. Szukała ziół. Znalazła wszystkie potrzebne rośliny bez trudu, jakby same się do niej garnęły. Roztarła na kamieniu znalezione zielsko na miazgę. Natarła nią stopy i wtedy była już pewna. Czary działały. Opuchlizna natychmiast ustąpiła, a w nogach poczuła kojący chłód.

Szczęśliwa jak dziecko Jaga rozejrzała się wokół. Była opodal swej wioski w cieniu Łyśca. Nie wiedziała, jak się tu znalazła, bo przez całą podróż w szponach smoków była nieprzytomna. Ale kto by się tym przejmował? Miała teraz wielką moc. W pierwszej chwili chciała udać się do osady i rzucić klątwy na wszystkich znienawidzonych przez nią mieszkańców, pohamowała się jednak.

– Nie wróć do nich! – krzyknęła tak głośno, że aż ptaki zerwały się z drzew. – Jeszcze sami do mnie przyjdą.

I ruszyła w las szukać nowego domu.

W leśnej gęstwinie Jaga znalazła małą polankę, na której z pomocą czarów i leśnych biesów wzniosła drewnianą chatkę. Niedługo pojawiły się wokół kury i czarne jak noc koguty. Wewnątrz, obok paleniska i posłania, mieściło się mnóstwo osobliwych sprzętów: wielki kocioł, stół zavalony misami z różnym zieleń, półki zastawione glinianymi dzbanami, z których unosił się ostry zapach maści i syropów. Ze ścian zwisały uwiązane grzyby, kości zwierząt oraz pęki ziół. Pośród tych wszystkich tajemniczych przedmiotów w roztańczonym blasku świec przechadzał się wielki kocur.

Jaga od tamtej pory żyła w chacie na pustkowiu i było jej dobrze. Nikt jej nie wadził, bo odkąd dowiedziano się we wsi, że wróciła, każdy jej unikał. Jeśli który myśliwy trafił przypadkiem na jej polankę, zaraz chwycił go zaklęciem tak, że nie mógł się ruszyć, a puszczał wolno dopiero za opłatą. Myśliwy uwolniony z czaru rzucał jej upolowanego zwierza i umykał, nie oglądając się za siebie.

Do wioski Jaga zaglądała rzadko. Czasem przemieniała się w żabę i potajemnie spijała krowie mleko. Wymię takiej nieszczęsnej krowy nabrzmiwało i zamiast mleka toczyło ropę. Gospodyni, która zastała zwierzę w chorobie, szła do Jagi i prosiła o odczynienie uroku. Jaga przystawała na te prośby, dawała maść leczącą, a w zamian dostała worek ziarna albo jakiś przyodziewek. Tak się to wszystko toczyło leniwym rytmem życia.

Strachliwi mieszkańcy znali już moc Jagi i nie chcieli jej nigdy na oczy oglądać. Bali się czarów, a ją zwali czarownicą. Byli jednak i odważniejsi, którzy z Jagą potrafili się dogadać. Jeśli miała lepszy humor, to przyjmowała czasem ludzi w swej chacie, gdzie, rzecz jasna za opłatą, wróżyła z kości ptaków i kamieni skropionych krwią. Wróżby jej sprawdzały się nad wyraz często. Jeśli jakiemu gospodarzowi kury zniknęły nocą z kurnika, to biegł do Jagi po pomoc. Ta spojrzęła tylko na kurze pióra, jakie jej na dowód przyniósł, i już wiedziała nie tylko, że lis kury porywa, ale i gdzie ma w lesie swą norę. Nieraz mówili między sobą wieśniacy dumający nad jakim kłopotem, że „Jaga wie”. Stąd też i wiedzmą poczęto ją nazywać. Jadze podobały się te nowe przezwiska, bo budziły strach i szacunek, a owych nigdy w życiu od ludzi nie zaznała.

Razu pewnego Jaga zbierała w lesie zioła, gdy nagle usłyszała płacz dziecka. Ruszyła w kierunku, z którego dochodził, i ujrzała brudną, wychudzoną dziewczynkę. Zabrała ją do domu i nakarmiła. Była to sierota

zagubiona w lesie. Ojciec jej zmarł na zarazę, a matkę poszarpały dzikie zwierzęta, kiedy poszły szukać w lesie pożywienia. Dziecko nie pamiętało, skąd pochodzi ani jak długo tuła się samotnie. Szczęściem udało jej się przetrwać wszystkie niebezpieczeństwa. Wiedźma uznała to za dobry znak od bogów. Sama dzieci nie miała, a wspomniawszy przykaz Welesa, że nie wolno jej nauczać czarów żadnego męża, postanowiła przekazać swe zdolności dziewczynce. Tak też chowała ją z dala od ludzi i ćwiczyła w warzeniu napojów i maści czarownych, nauczyła ją zaklęć i zielarstwa, aż dziewczę podrosło i nie ustępowało w zdolnościach swej opiekunce.

Razem przemierzały lasy i gościńce, szukając sierot i porzuconych przez matki dzieci. Pełno ich było szczególnie wtedy, gdy jaka choroba nawiedziła pobliską osadę. Bywało też, że znalazły niemowlę pozostawione nad brzegiem wody. Dzieci takie były kalekie lub oszpecone. Matki zostawiały je na żertwę wodnym biesom, aby odczynić klątwy, jakie na rodzinę spadły. Pod swą opiekę Jaga brała tylko dziewczynki, żeby nie urazić Welesa, który wyraźnie zabronił czarów chłopcom.

Okazało się, że chatka wiedźmy szybko zapełnia się nowymi uczennicami. By wykarmić swoje podopieczne, Jaga odprawiała magiczny rytuał. W nocy stawała przed chatą i rozpalala ogień, nad którym bulgotał w kotle wywar. Moczyła w nim długi sznur, na końcu którego plotła pętlę. Mruczając zaklęcia, rzucała zaczarowaną linę w niebo, aby schwytać Chorsa. Gdy za sprawą czarów udawało jej się zaczepić pętlę o stopę nocnego boga, ściągała go na ziemię i przemieniała w krowę, którą doila, podając mleko młodym wiedźmom. Dopiero kiedy dzieci posiliły się należycie, odmieniała postać Chorsa i puszczała wolno na sklepienie nieba. Jaga posiadała te i wiele innych mocy, przez co lęk przed nią rósł wśród ludzi. Zastanawiano się po wsiach – cóż się stanie, kiedy na świecie przybędzie czarownic?







Strzyga

Historia ta zdarzyła się wiele lat po śmierci pierwszej czarownicy, w czasach gdy po chacie Jagi nie było już śladu. Lęk jednak przed jej imieniem pozostał w sercach prostego ludu. Jaga, prócz straszliwej pamięci zachowanej w bajaniach opowiadanych przez wędrownych dziadów, pozostawiła na świecie coś jeszcze – tajemną wiedzę o czarach i wróżbach, którą posiadły jej liczne wychowanice.

Była ciepła, letnia noc. Czyste niebo świeciło jasno tysiącem gwiazd, a księżyc w pełni bił srebrną poświatą. Ludzie wylegli przed chaty, by pogwarzyć i rozweselić się napitkiem. W czasie jednego z takich spotkań przy trzaskającym w palenisku ogniu wywiązała się rozmowa:

– Sławko, coś taki markotny? – rzekł chudy mężczyzna z gęstym wąsem spływającym łukami aż na podgoloną brodę. – Może miodu mało?

– Dzięki ci, Przemko – odparł Sławomir, podstawiając pod dzban prawie pusty już kubek. – Ciągłe mam utrapienie z moją Krasulą – pociągnął potężny łyk miodu. – Karmię dobrze i na lepsze łąki gonię, a bydłę w oczach marnieje.

Wąsacz spojrział na szwagra badawczo.

– Może trzeba do wiedźmy po pomoc? – spytał.

– Do wiedźmy? – Sławko splunął w ogień. – Żeby mi jeszcze urok rzuciła albo jakie inne paskudztwo na dom sprowadziła?

Chudzielec nie spodziewał się innej odpowiedzi po mężu siostry. Nosa poza oborę nigdy nie wystawił, więc bał się wszystkiego jak ognia. Bajania i pijackie pogwarki o wiedźmach tylko utwierdzały takich jak on w strachu i nieufności.

Przemysł miał jednak inne zajęcie. Trudnił się wyrobem miodu. Szukaniem pszczelich gniazd zajmowali się jego dwaj synowie, a on sam nastawiał trunki. Rozwoził miody i miodowe napitki po wsiach, a i do większego grodu czasem zawitał. Spotykał różnych ludzi i różne opowieści słyszał.

– Mówią, że z wiedźmą trzeba dobrze żyć, bo pomocna bywa – powiedział Przemysł i znów napełnił kubki. – Za zapłatą nie tylko czar rzuci, ale i klątwę odczyni.

– A krowy leczy?

– Nie tylko. Mówią, że jak czarownicy dobrze zbożem zapłacić, to węża do stajni wpuści. Wąż, wiadomo, magiczny stwór Welesa. Ponoć jak mieszka taki pod dylami w stajni, to konie rącznie i piękne, a krowy zdrowe i mleka dają obfitość.

– Może i racja – oczy Sławomira malały od miodu, ale odwaga najwyraźniej rosła. – Tylko gdzie taką wiedźmę spotkać?

Wąsaty zamyślił się, a twarz mu spochmurniała.

– Dziś w nocy daleko szukać nie trzeba – odparł. – Na Łyścu sabat mają.

Sławko zbladł i spojrział na wierzchołek góry. Na tle ciemnego nieba wyraźnie rysował się bijący łunami płaski szczyt. Mężczyzna przysiągłby, że przed momentem widział, jak nad wierzchołkami jodeł mignęła siedząca na kiju postać. Potrząsnął głową i przetaił oczy.

„To miód” – pomyślał.

Po zboczach góry poniosł się gromki śmiech. Mężczyźni spojrzeli po sobie i opróżnili gliniane kubki. Tej nocy nie mówili więcej o wiedźmach.

• • •

Nad jodłami porastającymi zbocze Łyśca pędziła na sabat Miłka. Wiatr rozwiewał jej włosy i szczypał w twarz. Była już blisko. Dziesiątki ogromnych ognisk biły w niebo roztańczonym blaskiem. Magiczna maść, którą pieczołowicie nasmarowała długa żerdź, działała doskonale. Siedząc na niej okrakiem, sunęła w powietrzu jak ptak.

Ujrzała pod sobą czarne sylwetki czarownic i zniżyła lot. Wokół lądowały inne kobiety dosiadające najrozmaitszych sprzętów: mioteł, pogrzebaczy, a nawet wyrwanych z płotu sztachet. Opadała szybko – zbyt szybko. Tuż nad ziemią wpadła na grupę starych wiedźm, roztrzając je na boki i gruchnęła o ziemię. Zaczarowana gałąź złamała się z trzaskiem, a Miła przetoczyła się kilkanaście kroków, omal nie wpadając do ogniska. Czarownice ryknęły śmiechem. Pozbierawszy się z ziemi, młoda wiedźma rozejrzała się wokół. Nie sposób było zliczyć wszystkich zebranych niewiast, bo ciągle przybywały kolejne. Niektóre – tak jak ona – zlatywały z czarnego nieba, inne wychodziły na szczyt z lasu. Były tam i młódki,

i staruchy, część prowadziła ze sobą dzieci. Najmłodsze miało najwyżej pięć wiosen.

– Twarde lądowanie, co? – usłyszała za sobą łagodny głos.

Odwróciła się i zobaczyła wyciągniętą ku niej chudą dłoń sędziwej wiedźmy.

– Nie do końca tak miało być – tłumaczyła się Miłka, korzystając z pomocy i dźwigając się z ziemi.

Stara czarownica świdrowała ją spojrzeniem błękitnych jak niebo oczu. Miła odruchowo poczęła otrzepywać uwalaną suknię. Nie lubiła spojrzeń innych ludzi. Przypominały jej o krzywym nosie, rzadkich włosach i paskudnej brodawce na brodzie. Chociaż większość wiedźm była szpetna, Miłka nigdy nie pogodziła się z rolą najbrzydszej dziewczyny we wsi. Kiedy tylko podrosła na tyle, by zacząć szukać sobie męża, zrozumiała, że wszelkie starania w tym kierunku są daremne. Uciekła wtedy w las do wiedzącej staruchy, a ta wzięła ją na nauki. Niedługo potem zmarła, zostawiając dziewczynie chatę pełną wiedźmowego inwentarza.

– Chodź, napijesz się miodu – stara chwyciła ją pod ramię i pociągnęła w kierunku wielkiej beczki otoczonej rozwrzeszczanymi czarownicami. Napełniły garnce bursztynowym płynem i wypili.

– To twój pierwszy sabat? – spytała w końcu stara.

– Pierwszy – odparła Miła.

– Odważna jesteś, żeby przylecieć tu na kiju – w jej głosie brzmiał szczerzy podziw. – Niejedna starsza przychodzi tu na własnych nogach.

– Jeszcze nie umiem wszystkiego, bo moja opiekunka umarła, nim zdążyła mnie wyuczyć.

– Za dużo maści wtarłaś w gałąź. Ciężko taką wtedy utrzymać. Wystarczy odrobinę na obu końcach, o tutaj i tu, jak już się uniesie, to dosiadasz i powtarzasz zaklęcie. Nie ma wtedy siły, żeby... Słuchasz mnie, dziewczyno?

Miła nie słuchała. Stała nieruchomo wpatrzona w ścianę drzew odgradzającą łąsy szczyt od świata. Stara wiedźma podążyła za jej wzrokiem. Z lasu wyszły właśnie dwie młode czarownice, prowadząc grupkę dzieci. Małe wiedźmy miały oczy i usta otwarte ze zdumienia. Tłumy kolorowo odzianych kobiet tańczących w jaskrawym blasku ognia robiły niepowtarzalne wrażenie. Niektóre podchodziły, witając dzieci wesołymi okrzykami i czochrając im włosy.

– Ach, więc o to chodzi? – zapytała starucha.

– O co?

Miłka spojrzała wiedźmie głęboko w oczy i nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ta wie o niej wszystko.

– Dzieciaka ci się zachciało. Młoda jesteś, to nie dziwota. Co tak patrzysz spode łba? Mało to sierot po lasach łazi? Tylko brać i chować.

– Nie chcę przybłądy.

– Pewno swoje byś chciała. To też nie problem. Wystarczy chłopaka jakiego w las zaciągnąć, on ci już dalej pokaże, co robić.

Nastało milczenie. Miłka odwróciła wzrok i wbiła go w migocące nad lasem gwiazdy. Stara wiedźma przez kilka chwil przyglądała się jej uważnie, po czym znowu bezbłędnie odgadła, co Miłce na sercu leży:

– Jeśli się chłopów boisz, to pewno dlatego, że za urodziwa nie jesteś.

– Marne to wytłumaczenie i pociecha.

– Pociecha w tym, że jesteś wiedźmą, a wiedźma ma od naszego pana podziemnego moc i radę na wszystko.

Te słowa uderzyły w Miłkę z taką siłą, że natychmiast podniosła oczy na wiedźmę, a w oczach tych nie było już łez ani żalu, bił z nich ogień odwagi i ciekawości.

– Jaka to rada? Jaki jest sposób? – pytała z zapalem.

– Jest pewien wywar – wymamrotała stara. – Trudno go uwarzyć i czasu wiele potrzeba, ale moc ma wielką i z każdej, nawet najpaskudniejszej baby zrobi piękną dziewczynę. Ale pamiętaj, że to uroda czarami sprawiona i wiecznie trwać nie będzie.

– Ja jestem gotowa na wszystko, byle tylko na trochę chociaż się wyzbyć tej brzydoty.

– To słuchaj uważnie, co ci powiem, i zapamiętaj dobrze, bo wywar trudny i zaklęć dużo do rzucenia.

– Zapamiętam. Zapamiętam wszystko! – wołała Miłka, prawie podskakując z uciechy.

– Dobrze, tylko pójdz no jeszcze i tego miodu przynieś, bo w gardle zaschło od tego gadania.

•••

Kociołek bulgotał nad paleniskiem. Miła dobrze zapamiętała wszystkie składniki wywaru. Była wiedźmą. Jeszcze tylko pukiel włosów

niezameżnej dziewczyny i gotowe. Młoda czarownica szeptała ostatnie zaklęcia, gdy biała para buchnęła z kotła i zasnuła całą chatę mgłą. Kot zamiauczał przeciągle.

– Cicho, już prawie koniec – uspokoiła go Miła, krztusząc się oparami.

Kiedy blade wyziewy rozmyły się w powietrzu, zniecierpliwiona wiedźma zajrzała do kociołka. Zaklęta mikstura była koloru smoły i cuchnęła okropnie. Niespeszona zaczerpnęła pełny dzban. Piła powoli, krzywiąc się co chwilę, bo okazało się, że napój smakował gorzej, niż pachniał. Po kilku łykach powietrze zadrżało od czarów. Kot zjeżył się, zasyczał i czmychnął do siebie tylko znanej kryjówki.

– Nie poznasz swojej pani? – spytała Miłka, ale to nie był głos Miłki.

Brzmiał dźwięcznie i zalotnie. Słysząc w nim było ciepło i delikatność, natychmiastowo budził też zaufanie. Obok właścicielki takiego głosu nie można było przejść obojętnie. Miła spojrzała na swoje wyprostowane i szczupłe ciało. Dłonie miała drobne i delikatne, skórę miękką i gładką. Nie miała gdzie obejrzyć swojego oblicza, ale wiedziała, że zamiast szpetnej, zwieńczonej garbatym nosem twarzy ma teraz twarz pięknej młodej dziewczyny o pełnych ustach, wielkich błękitnych oczach i drobnym nosku. Miła nie musiała przeglądać się w tafli jeziora. Miła wiedziała. Była wiedźmą.

•••

Pierwsi spostrzegli ją oczywiście mężczyźni. Nie tyle dlatego, że częściej od kobiet ruszali na polowania i połowy, ile że nieznamym nie dało się nie zauważyć. Ukazywała się znikąd, jakby wypływając z porannej mgły. Zawsze ubrana była w zwyczajną lnianą suknię, ale jakby nieco krótszą, niż to się przyjęło, i jakby nieco bardziej opiętą.

Pierwszy zobaczył ją syn drwala, który nie przepadał za ciągłymi uwagami ojca, lubił oddalać się w głąb lasu i pracować samotnie – po swojemu. Towarzysze ryknęli śmiechem, kiedy opowiadał, że widział boginkę o złotych włosach, która uśmiechała się do niego zalotnie.

– Młodyś! – huczał drwal znad trzęsącej się od śmiechu brody. – Krew się burzy, to i w pniaku babę zobaczysz. Zresztą, kto to widział boginkę w lesie, gdzie ani strumienia, ani kałuży nijakiej nie masz? Przecie

powiadał staruch, że boginka tylko tam siedzi, gdzie źródło bije albo woda jakowa stoi.

– Nie śmieście się, bo i ja takową widziałem – przerwał z powagą rybak. – Sieci z rana wyciągam, patrzę, a tu siedzi taka na brzegu i włos złoty w rękach wyżyma, jakoby dopiero co z wody wylazła. Tak pewno i było, bo kiecka ją tak oblepiła, jakbyś golutką widział. A mówię wam ziomkowie, było na co popatrzeć.

– To mówisz, że boginka nam po lesie gania? – pytali zaciekawieni już teraz mężczyźni.

– A jaka tam boginka?! Dziad mówił, że boginka zawsze nago lata, a tamta nawet do wody w ubraniu wlaża.

Zapewnienia podstarzałego już rybaka utwierdziły wszystkich, że młody nie śnił na jawie, tylko faktycznie nieznaną kobietą pojawiła się w lesie. Od tamtego czasu mężczyźni zwałiej ruszali do pracy i znacznie częściej odrywali się od codziennych zajęć, by rozejrzeć się po okolicy. Szczęście dopisywało głównie myśliwym, którzy snuli przy ognisku rozmaite opowieści. Spotykali ją tylko wtedy, gdy polowali samotnie. Kobieta najwyraźniej nie przepadała za liczniejszym towarzystwem.

– Zza drzewa wyszła jak zjawa – opowiadał czerwony na twarzy Żyrośław. – Łanię z pięćdziesięciu kroków usłyszę, a tej nic, ani gałązka nie trzasła. Patrzę, śmieje się i woła ku sobie. To podchodzę. Ubrana jak zawsze w biel. A smukła jako ta sarna. „Co tu robisz?”, zapytała. To odpowiadam: „Poluję”. „A może byś chciał odpocząć tu ze mną, zanim polecisz gonić zwierzynę?” – tak mi odpowiada i sznurki rozplata. Ani się obejrzę, jak nagusienka stoi przede mną.

– I co? I co dalej? – dopytywali w gorączce młodzi chłopcy.

– Ano dalej to już moja rzecz – uśmiechnął się rubasznie, ale młodzi nie dali się zbyć tak łatwo.

– A jak wyglądała? Opowiadaj! – nie dawali za wygraną.

Żyrośław nie kazał się długo prosić i z wyraźną dumą opowiadał:

– Piękna jest jako boginka albo i bardziej może, bom nigdy boginki nie widział, ino z opowieści wiem. Lica ma gładkie i rumiane. Włos długi, złoty jak pszenica i miękki jakiś. A usta, to wam powiem, że takich tom jeszcze nie widział, a jak nimi całuje, to by człek dom, robotę, wszystko rzucił i za nią szedł.

Tu przerwał, by przyjrzeć się rozochoconym słuchaczom i kiwając z zadowoleniem głową, prawił dalej:

– Się wam młodym oczy błyszczą i jeden z drugim nogami przebiera, to wam jeszcze powiem, że to, co rybak na brzegu zobaczył, to wszystko nic. Kiedym ją gołą ujrzał, to mi się rozum we łbie przewrócił. Oj, daleko mojej Nawojce do tej leśnej panny, daleko! Pierś ma taką krągłą i twardą, rzekłbyś z kamienia wykuta. Ni za mała, ni za duża, w sam raz akuratna. Kibić wąska, zadek szeroki a jędrny, zem takiego jeszcze nie widział.

Towarzysze wytrzeszczali oczy, rechotali i poklepywali myśliwca po plecach. Jeśli któryś jeszcze nie wierzył w przedziwne opowieści, to szybko miał zmienić zdanie, bo nie było wśród nich takiego, któremu by się nie przytrafiła podobna przygoda.

– Tylko babom ani słowa – napominał bez cienia żartu drwał. – Ni pary z gęby.

•••

Tak też piękną nieznaną najpierw zauważyli mężczyźni. Natomiast kobiety nie musiały widzieć, żeby zauważyć, że ich chłopcy wcześniej rwą się do pracy i później wracają do domu. Może i byłby z tego pożytek, gdyby więcej zwierzyny, ryb i drwa do wioski znosili, ale tak się nie działo. Kobiety spostrzegły nawet, że darów lasu przynoszą coraz mniej, mniej mówią i jacyś tacy nieobecni łążą.

– Mówię wam, dzieje się coś tym naszym chłopom – zaczęła jedna, kiedy wszystkie zebrały się w izbie Raclawy przy codziennej robocie.

– Prawda to! – odparła gospodyni, która miała w chacie dwóch drwali, męża i syna. – Mówię do mojego, a ten jakby nie słyszał. O nic się doprosić nie można. Z młodym to samo. A z domu jako włócznia do lasu lecą. Oj, dzieje się coś niedobrego.

– Może czary jakie wiedźma na nich rzuciła? – wtrąciła Nawojka.

– Byłam ja i u wiedźmy, co ma chatę pod górą, ale jej tam nigdy nie ma – tłumaczyła strapiona Raclawa. – Pewno lata na te sabaty wiedźmowe.

Rozprawę przerwał nagły trzask otwieranych z impetem drzwi i do izby wpadła zdyszana kobieta.

– A cóż tak lecisz, Wszeboro, jakby cię biesi gonili? – pytały całkowicie już oderwane od swych zajęć niewiasty.

– Bom i biesa Welesowego widziałam przed chwilą – wystękała Wszebora, siadając ciężko na zydlu.

– Ha, a mówiłam, że czary! – krzyknęła Nawojka. – Rozprawiamy my tu, że nam chłopów ktoś omamił.

– A tam, bajdy opowiadacie! – wtrąciła milcząca dotąd Krzesisława, która wyróżniała się wśród innych kobiet szczególną urodą. – Nic naszym chłopom do czarów, tylko im wasze gadanie zbrzydło. Mój zadowolony jak skowronek.

– Takaś mądra, to ci powiem, co twój Ciechosław w gęstwinie z jakąś babą wyrabia – odrzekła Wszebora, która złapała już oddech. – Nie dziwota, że jak skowronek ćwierka, bo taka ona urodziwa, że i tobie do niej daleko.

Krzesisława ściągnęła usta tak, że po pobłażliwym uśmiešku nie pozostał nawet ślad.

– Co mówisz? – wołały inne. – Jaka baba? Skąd ona tutaj i czego od naszych chłopów chce?

– Tego to ja nie wiem, ale musi to być jakaś czarodziejska sprawka, bo takie kobiety po ziemi nie chodzą.

Nastało milczenie, bo wszystkie niewiasty zrozumiały już, w czym rzecz, i każda płonęła ze wstydu, że swojego męża upilnować nie umie i byle przybłędzie udaje się go zbałamucić. Do wieczora w chacie słyhać było tylko trzaskanie ognia w palenisku.

Kobiety rozeszły się do chałup i czekały na mężów i synów. Tego wieczora mężczyźni znów byli inni niż zwykle. Niewiasty przyglądały im się uważniej, myśląc, czy ich akurat mąż miał do czynienia z nieznajomą. Jednak żadna z nich nie wyrzekła ani słowa.

• • •

Słońce dopiero wychylało się znad drzew, kiedy niewiasty wyruszyły z wioski. Mężów już nie było w osadzie. Popędzili do swych zajęć przed świtem. W chatach pozostały tylko dzieci pod opieką starszych, a wszystkie kobiety szły teraz w pośpiechu do chaty pod górą w nadziei, że tym razem uda im się zastać wiedźmę.

Szły w milczeniu, wspominając ostatnie wypadki. Niejedna, nie wierząc w opowieści Wszebory, musiała na własne oczy ujrzeć piękną nieznajomą. Dlatego podpatrywały swych mężów z ukrycia. Każda, która ujrziała swojego męża oddającego się rozkoszy w ramionach najurodziwszej

z kobiet chodzących po ziemi, szybko przekonywała się, że w opowieściach nie było przesady.

Wstyd, żal i gniew drzemał w tym milczącym pochodzie. Niewiasty jednomyślnie postanowiły, że trzeba w tej sprawie działać jak najprędzej i pozbyć się znienawidzonej zjawy wodzącej chłopów na zatracenie. Nie było wątpliwości, że to za sprawą czarów jakowych dzieją się te przedziwne rzeczy, a na czary poradzić mogła jedynie wiedźma.

• • •

Miła spała dłużej niż zwykle. Nie zbudziło jej pierwsze pianie koguta ani drugie, ani nawet piąte. Nie zbudził jej kot, który miauczał wniebogłosy, dopominając się o poranną miskę mleka. Zbudziły ją dopiero pierwsze promienie słońca wpadające do chaty.

Miła była zmęczona. Przez ostatnie tygodnie nie próżnowała. Dzień w dzień piła uwarzony przez siebie napój i ruszała w las czarować mężczyzn. Szybko nauczyła się, że w nowej postaci nie sprawia jej to najmniejszej trudności. Trzeba było jedynie wyzbyć się strachu i wstydu, te jednak okazały się niewielką przeszkodą w obliczu wyższego celu jej zabiegów.

Leżąc na posłaniu, pogładziła się po brzuchu. Czy już drzemie w niej nowe życie? – nie wiedziała. Znała oczywiście rozmaite sposoby na sprawdzenie, czy kobieta jest brzemienna, ale nie starczyło jej na to sił.

– Jeszcze tylko dziś, a potem odpocznę i zobaczymy – rzekła do kota, który przestał upominać się o jedzenie wrzaskiem i próbował teraz przekupić panią pieszczotami, łaszcząc się i mrużąc.

Młoda wiedźma wstała niechętnie. Przez chwilę przyglądała się kotu opróżniającemu upragnioną miskę mleka. Teraz przyszła kolej na nią. Zacerpnęła kubkiem wywaru z prawie pustego już kociołka i wychyliła go do dna. Zanim zdążyła odstawić kubek, stało się coś zupełnie nieoczekiwanego – drzwi chaty rozwarły się na oścież i gromada kobiet wlała się do izby.

„Niedobrze – pomyślała Miłka – bardzo niedobrze”.

Pierwsza, która weszła do środka, już otwierała usta, żeby wyjaśnić nieproszone najście, ale nie zdążyła wyrzec słowa. Czary zaczęły działać. Cała chata zawibrowała. Kobiety cofnęły się wystraszone, patrząc na

wiedźmę, która zgięła się wpół, zatrzęsła i nagle zaczęła się topić jak rozgrzany wosk. Twarz jej się rozlała, ciało i członki wygięły w pokraczne kształty, aby za chwilę uformować się w odmienną już postać. Przed przerażonymi niewiastami stała piękna i smukła kobieta. Gdyby nie ujrzały czarodziejskiej przemiany, nigdy nie rozpoznałyby w tej piękności Miłki.

– To ty nam chłopów bałamucisz, jędzo! – wykrzyknęła Nawojka, nabrawszy odwagi na widok przerażenia w oczach wiedźmy. – Czary Welesowe na nich rzucasz! My głupie tu o pomoc przyszły prosić i okazuje się, żeśmy dobrze trafiły – to powiedziawszy, chwyciła długi pogrzebacz leżący przy palenisku.

Miła nie zdążyła powiedzieć nic na swoją obronę, bo laga spadła na nią z ogromną siłą. Potworny ból rozszedł się od barku aż po krzyż. Gdyby nawet przyszło jej do głowy jakieś słowo wyjaśnienia, gdyby nawet zdołała je wyksztusić, nie powstrzymałaby rozwścieczonych żon i matek. Ich oczy pełne były zażartego gniewu, kiedy chwyciły za wszelkie leżące wokół narzędzia nadające się do zadania bólu. Mocny cios drewnianej lagi zwałił Miłkę na kolana. Za nim posypały się kolejne. Kobiety biły ją i kopały długo, tak długo, że zdawało się Miłce, że oszaleje. Błagała w myślach Welesa, by przybył z pomocą i odebrał jej przytomność. Byle przestać czuć okropny ból połamanych kości i smak cieknącej po twarzy krwi.

Weles jednak nie przybył z pomocą.

Ukojenie przyniosły widły porwane przed domu przez jedną z oprawczyń. Zęby weszły w brzuch głęboko. Miłka poczuła tylko palący, ostry ból ukłucia, a potem ulgę. Kobiety nie przestały jej okładać nawet, kiedy znieruchomiała. Nie czuła już nic. Leżała martwa w plamie brunatnej krwi.

Kot przyglądał się spokojnie, jak grupa kobiet opuszcza chatę, zostawiając jego panią tam, gdzie upadła.

•••

Po pewnym czasie kobiety zapomniały o wydarzeniach z chaty pod górą. Życie w osadzie szybko wróciło do spokojnego rytmu, jakim cieszyła się przed przybyciem odmienionej wiedźmy. Mężczyźni znów ruszali do prac niechętnie, ale za to wracali z pełnymi rękoma. I ku wielkiej radości kobiet, to oni teraz byli powodem, przez który nie mogły spokojnie się

wyspać. Na skutki tej odmiany nie trzeba było długo czekać. Wraz z wiosną nad osadą pojawiły się bociany. Nie było wątpliwości, że wracając z Wyraju, przywiodły ze sobą duchy przodków. Niedługo potem kobiety rozpromieniały się, a ich brzuchy wyraźnie urosły.

Radość nie miała jednak potrwać zbyt długo. Zaczęło się od Raclawy, która wczesnym rankiem zbudziła wszystkich potwornym krzykiem. Starsze kobiety wbiegły do chaty drwala i zastały Raclawę płaczącą w ramionach męża. Jej poślanie i koszula poplamione były krwią.

– To strzyga! – wrzeszczała roztrzęsiona. – To strzyga wyżarła mi dziecko!

Zabrano zrozpaczoną kobietę do bani, by ją obmyć i uspokoić. W tym czasie pod chatę zdążyła się już zlecieć cała wieś.

– Strzyga? – pytali. – Prawda to?

– Nie widziałem nic – tłumaczył drwal. – Ani nie słyszałem. Sen mam mocny.

Młody syn drwala także nie potrafił niczego wyjaśnić, zamilkł i usiadł w rogu izby z dala od ciekawskich.

– Żona twoja mówi, że widziała czarne skrzydła nad łóżem – powiedziała starsza kobieta, która wróciła z bani i rzuciła skrwawioną koszulę w ogień.

– Mówię, że nie widziałem – upierał się drwal. – Może przyśniło jej się co w nocy.

Ten dziwny wypadek pozostał niewyjaśniony, bo Raclawa nadal upierała się, że skrzydlaty bies wydarł z niej dziecko, a mąż jej uparcie powtarzał, że nic podobnego nie widział. Błądł jednak za każdym razem, gdy pytano go o strzygę. We wsi mówiono, że w rzeczywistości wierzy swej żonie, sam jednak boi się prawdy i wstydzi się, że nie ochronił jej i dziecka przed potworem.

Wypadek Raclawy nie był jedynym, jaki zdarzył się tej wiosny. Znajdowano rozszarpane kozy i owce. Niekiedy na wracającym z pastwisk bydło widywano krwawe ślady i głębokie rany, jakby coś poilo się ich krwią. O strzydze nie tylko nie zapomniano, ale zaczęto szczerze wierzyć, że bies wioskę nawiedza.

Pewnego wieczoru ludzie zebrali się licznie przed chatą starca, który w osadzie pełnił rolę żyrzca. Składał ofiary i wróżył. Do niego zwracano się w trudnych dla osady chwilach. W chwilach takich jak ta. Stary żyrzec nie był do końca przekonany, że to bies napadł na Raclawę i bydło. Próbował

przekonać zebranych, że wszystko wyjaśnić można inaczej. Przestraszeni ludzie nie dali się jednak zbyć, więc starzec namówił ich do złożenia bogom ofiary.

Każdy z mieszkańców przyniósł ze swej chaty, co miał najlepszego. Były to misy zboża, garnce miodu i kury. Zanim żyrzec zdążył rozpalić święty ogień, rytuał przerwała Nawojka. Wpadła między zebranych ludzi i roztrącając ich na boki, stanęła przed starcem.

– Widziałam – wysapała. – Widziałam na własne oczy! Strzyga w oborze!

– Coś widziała? – przemówił żyrzec. – Mów!

– Mąż mnie posłał do zagrody – opowiadała – bo chciał jagnię na ofiarę. Wiecie, że ja brzemienna, to Żyrośław chciał bogom co lepszego naszykować, żeby dziecko od złego chronili. Wchodzę do zagrody, patrzę, a tam siedzi potwora. Na grzbiet owcy wlaża i krew jej chlipie jęzorem długim, co z dzioba jak u ptaka wisiał. Dojrzała mnie. Skrzydła wielkie rozłożyła i syczy. Krzyk podniosłam, bo myślałam, że się i na mnie rzuci. Ale strzyga się już chyba nasyciła, bo nagle wzleciała w górę i przemieniła w sowę. Co tak patrzycie? W sowę zwykłą się przemieniła i odleciała. Mówię, com widziała.

– Ofiarę złożyć trzeba – podjął po długim namyśle starzec. – Ale moja wiedza tu za mała. Strzyga jest bies, co z żywego człowieka o dwóch sercach po śmierci powstaje. Jeśli w człowieku dwie dusze były zamknięte, to jedna dusza uleci do Nawii, a druga się w ciało wraca i w strzygę zamienia.

Rozejrzał się uważnie po zebranych i mówił dalej:

– To się nieczęsto zdarza, żeby dwa serca człowiek w sobie nosił. I u nas takiego przecie nigdy nie było. A jakby nawet i był, to przecie nikt dawno nie umarł ani zabity nie został w okolicy. Mało i tego. Dziwne to bardzo rzeczy, bo bies zawsze jaki powód nękania musi mieć, że się na żywych odgrywa. A wyście, baby, coś nosy w ziemię pospuszczały? Ukrywacie coś widocznie. Jak chcecie pomocy, to mówcie zaraz prawdziwie, co wam wiadomo.

Mężczyźni także dojrzeli, że ich kobiety umilkły po słowach żyrzca, więc poczęły je łajać, by mówiły prędko, co mogło strzygę do wioski sprowadzić. Po długich namowach wyjawily w końcu, co zdarzyło się w chacie pod górą. Opowiedziały o wiedźmie i jej zaklęciach, o tym, jak uwodziła chłopów i jak poszły razem o pomoc prosić, a złapały ją na

przemianie w piękną dziewczynę. Przyznały się także do tego, co z nią zrobiły.

Teraz także mężowie pospuszczali głowy i umilkli. Zdziwili się zniknięciem zalotnej dziewczyny, ale nie przejęli się tym zanadto. Jak się pojawiła, tak i zniknęła. Po cóż się nad tym rozwodzić. Żaden jednak nie przypuszczał, że żony prawdę odkryły i pozbyły się nieznajomej.

Stary żyrzec kolejny raz zamyślił się głęboko.

– Chadzałem ja do Miłki po zioła, co nimi leczę – przemówił w końcu.
– Aleś jej ostatnim razem w chacie nie zastał. Jeśli tak jest, jak gadacie, to trupa jej powinienem być w chacie znaleźć. Ale ani wiemy, ani jej truchła tam nie było. Stąd pewne jest, że strzygą się stała i was za zabójstwo nęka. Strzyga jest krwiożerczy bies i nic jej głodu nie nasyci. Zwierzynę i ludzi zeżre co do jednego.

– Ukatrupić trzeba potworę! – wykrzyknął Żyrośław. – Jest jakiś sposób?

– Może i jest. Ale do wiemy by trzeba po radę iść. A do kogo nam się teraz udać, jak wiedźma nasza na sowich skrzydłach lata i nam łby chce pourywać?

– Ratuj nas! – błagali ludzie. – Tyś najmędrzy i boskie sprawy rozumiesz. Pewne, że jakiś sposób na strzygę wynajdziesz.

– Jest jeszcze jedna rada – odparł spokojnie staruch. – Po drugiej stronie Łyśca inna wiedźma żyje, stara podobno jak sama góra. Jutro o świtaniu pójdę i o pomoc będę prosił. A wy teraz bogów proście o błogosławieństwo, bab w chałupach pilnujcie i bydła doglądajcie.

To rzekłszy, wziął się ponownie za rozniecanie ognia i ofiarował bogom wszelkie dobra na przebłaganie. Wróżył potem z kurzych kości i jasnego dymu, ale żadne pomyślne znaki się nie ukazały. Widział tylko krew tryskającą ze skał i słyszał śmiech okropny, jakby z samego wnętrza ziemi wychodził. Ludziom nic o wizjach nie mówiąc, udał się na spoczynek i wraz ze świtem wyruszył z wioski.

• • •

– Wejdz!

Żyrzec usłuchał rozkazu i wszedł do starej, omszałej chaty. Wiedźma, która wezwała go do środka, zanim jeszcze zastukał do drzwi, w jakiś

sposób wiedziała, że nadchodzi nieproszony gość.

– Witaj, witaj! – jej przyjazny głos sprawił, że starca opuścił narastający przez całą drogę lęk. Serdeczny ton nie tylko uspokoił żyrzca, ale także zdziwił. Był pewien, że nigdy wcześniej się nie spotkali, a jednak wiedźma sprawiała wrażenie poznawać go i wiedzieć, po co przychodzi.

– Jestem Dzierżywuj – rzekł w końcu. – Przychodzę z...

– Wiem, skąd przychodzisz – przerwała mu nagle wiedźma, przyglądając mu się uważnie. – Tylko nie wiem po co.

– Nieszczęście wielkie na naszą wieś spadło. Strzyga po nocy grasuje i krew bydlę naszego pije. A i na kobiety napadać zaczęła.

– Hmm... To ciekawe – mruknęła. – A czemu to do swojej młodej wiedźmy nie poszłicie, żyrzcu, wszak to do Miłki bliżej?

Dzierżywuj poczuł, jak zimny pot spływa mu po plecach. Wzdrygnął się na samą myśl o tym, co z Miłką zrobiły zazdrosne kobiety. Wiedźma wiedziała dużo. Może wyczytała już wszystko z jakich tajemnych znaków i wróżb. Wszystko jedno. Trzeba było powiedzieć prawdę. Stary żyrzec zebrał w sobie całą odwagę i opowiedział starej o wszystkim. Nie pominął niczego, bo bał się, że wiedźma odkryje kłamstwo i przegna go precz lub nawet zabije na miejscu.

Wiedźma nie rozgniewała się, słuchając jego opowieści, ale jakby posmutniała.

– Dzieci nienarodzone wam strzyga odbiera, tak? – spytała.

– Tak. Jedno dotąd. Ale lata po wsi i straszy. A u nas wiele brzemiennych kobiet – żyrzec już chciał błagać o pomoc, ale stara uciszyła go, podnosząc dłoń i ukazując mu krogulcze pazury.

– Posłuchaj, głupcze – syknęła. – To ja nauczyłam ją, jak dokonać przemiany w piękną podlotkę. A wiesz czemu? Bo chciała mieć dzieci. Tak! Dobrze słyszysz. Chciała mieć dzieci. Ale tacy jak ty i twoja nędzna wioska nie chcecie koło siebie takich jak my. Chłopów uwodziła, to się wasze zazdrosne baby zmówiły i zabiły biedną Miłkę.

Przerwała i usiadła na stołku. Uspokoiwszy się nieco, mówiła dalej:

– Nie rozumiesz, widzę, co się wydarzyło. A wiesz, skąd strzygi się biorą na świecie?

– Żadnej nigdym nie widział – odparł Dzierżywuj. – Alem słyszał, że z człeka, co miał dwa serca i dusze w nim dwie siedziały.

– Dobrześ słyszał. Ale to się i nieczęsto zdarza, że się taki urodzi. I poznać go łatwo od małego, bo zęby mu w dwa rzędy rosną. Ale Miłka to

co innego. Domyślasz się?

– Nie – odparł Żyrzec, coraz mocniej żałując swojej wyprawy.

– U Miłki dwa serca biły i dwie dusze skrywała w ciele, bo dziecko w łonie nosiła. Dziecko jakiegoś waszego chłopca. A wyście jej odebrali wszystko i jak psa ubili. Wtedy dusza jedna wróciła w ciało i was nękać będzie. Wasze dzieci powyjada jako strzyga.

Żyrzec aż usiadł, bo opuściła go całkiem nadzieja na pomoc wiedźmy, a wraz z nią odeszły wszelkie siły.

– Co począć? – mamrotał pod nosem. – Co począć? Wszystkich nas zabije. Ratunku nie ma. Głupie baby śmierć na nas sprowadziły.

Kiedy tak żalił się sam do siebie, wiedźma ulitowała się nas jego siwą głową, którą teraz ukrył w wychudłych, pomarszczonych dłoniach.

– Słuchaj no, starcze! – rzekła. – Wiem, jak się strzygi pozbyć.

Dzierżywuj podniósł na nią szklące się oczy:

– Jest sposób?

– Jest – odparła. – I pomogę wam, choć na to nie zasługujecie. Miłka była dobrą dziewczyną, a wiem, że i pomoc wam niosła ziołami i zaklęciami. Niechby was tam wszystkich rozszarpała. Ale mnie ciebie szkoda, boś szczery i odważny, żeby tu przyjść samemu o pomoc prosić. Teraz posłuchaj mnie uważnie. Pomocy czarów wam potrzeba, więc ja strzygę ubiję i co robić powiem, ale nie za darmo.

– Czego chcesz? – dopytywał ożywiony nową nadzieją starzec. – Damy ci, czego tylko zażadasz.

– Dobrze! Pomogę wam, a wy oddacie mi każdą dziewczynkę, jaka się we wsi tego roku urodzi. Czego strzyga nie wyzre, ja zabieram, a wy dalej żyć będziecie. A, i chłopców, co się urodzą, nie chcę. Tylko dziewczyny!

Żyrzec zbladł. Milczał długo, ściskając kraj sukni. W końcu podniósł się z siedzenia.

– Dobrze więc. Niech tak będzie. Tylko wyratuj nas od strzygi – wyrzekł te słowa, nie patrząc nawet na wiedźmę, i ruszył wolno do wyjścia.

– Poczekaj no – wykrzyknęła radośnie wiedźma. – Pójdźmy razem, bo tu się spieszyć potrzeba.

• • •

Powrót żyrzca w towarzystwie sędziwej wiedźmy powitano w wiosce z radością. Wieść o możliwości ubicia strzygi z pomocą czarów rozbudziła nowe nadzieje. Radosne okrzyki pełnych zapachu mężczyzn umilkły jednak zupełnie, gdy żyrzec oznajmił zebrany, jakiej ceny wiedźma zażądała za pomoc.

– To kara za wasze występki – tłumaczył. – Straszna to kara, ale wyjścia innego nie mamy. Tylko ona może nas od śmierci w szponach strzygi ocalić.

– Ale córki nasze!

– Córkom waszym włos z głowy nie spadnie – przekrzykiwał rozżalone, brzemienne kobiety starzec. – Wiedźma przyrzekła mi, że je pod opiekę na nauki weźmie i żadnej krzywdy czynić nie będzie.

Mimo wiszącej w powietrzu zgrozy, wśród łkań i lamentu, nikt nie sprzeciwił się postanowieniu, że trzeba uczynić, co wiedźma karze, bo innego wyjścia nie ma.

Jeszcze tej nocy zorganizowano zasadzkę. Wiedźma kazała mężom ukryć się w stogach siana, które ustawiono przy ścieżce do lasu. Żyrzec zarząnął jagnię i porzucił wśród drzew, by zapachem krwi świeżej zwabić biesa. Po ścieżce miała zaś przechadzać się młoda dziewczyna, której brzuch był już nabrzmiały, bo czarownica uznała, że najlepiej tak będzie strzygę przyciągnąć. Sama wiedźma ukryła się wśród paproci na skraju lasu, aby odciąć strzydze drogę ucieczki i schwytać ją zaklęciem.

Bies nie kazał długo na siebie czekać. Stojąca na ścieżce dziewczyna zobaczyła tylko cień wypadający bezszelestnie spomiędzy drzew. Strzyga spadła na nią jak błyskawica. Młode dziewczę nie zdążyło nawet krzyknąć z przerażenia, bo wielkie sowe skrzydła oplotły ją w silnym uścisku. Czekwała na najgorsze. Już niemal czuła wpijające się w jej ciało szpony, widziała drapieżny dziób składający się do ataku, gdy nagle skrzydła rozpostarły się gwałtownie, uwalniając ją z potrzasku. W uszach zawibrował potworny, ostry wizg strzygi.

Dziewczyna upadła na chłodną ziemię. Podniosła oczy na stwora. Strzyga stała teraz tyłem, prezentując ogromne skrzydła, spomiędzy których sterczała pierzasta lotka szypu. Uzbrojeni mężczyźni pędzili prosto na nią. Zakotłowało się. Kilku roślących mężów dzierzących włócznie otoczyło rannego biesa i natarło. Podniósł się krzyk, a zaraz po nim pył ze ścieżki. Włócznie bezlitośnie dziurawiły potężne skrzydła. Strzyga nieustępliwie odpowiadała atakami szponów i jeżącym włosy wrzaskiem.

Przewaga liczebna i zaskoczenie przechylały szalę zwycięstwa na korzyść ludzi. Słabnący stwór wyczuł, że jest w pułapce. Mimo że strzyga raniła ciężko dwóch mężczyzn, pozostali nie cofnęli się na krok. Pozostało jej jedynie ratować się ucieczką. Potwora, zbierając resztkę sił, desperacko rozpostarła skrzydła i wzbiła się do lotu. Głębokie, broczące obficie krwią rany musiały sprawiać jej ogromny ból, bo po chwili spadła na ścieżkę tuż przed ścianą lasu.

Właśnie na to czekała stara wiedźma. Wychyliła się z gęstwiny i mamrocząc niezrozumiałe słowa, zdzieliła strzygę długą żerdzią. Stwór zakwilił jak dziecko, po czym runął na wznak, trzepocząc kończynami i tym, co mu ze skrzydeł zostało. Wiedźma już była przy niej. Stała na piersi obezwładnionej strzygi i uniosła ręce, nad jej głową błysnęło ostrze topora. Cios spadł niemal niezauważalnie – szybkie i sprawne cięcie pozbawiło strzygę głowy. Ciało potwora zryło piętami ziemię i znieruchomiło.

Mężczyźni, odprawivszy brzemienną niewiastę do wioski i opatrzvwszy rany towarzyszom, zebrali się nad zwłokami biesa.

– I już?

– Jeszcze zakopać ściervo wiedźma kazała, a łeb w nogach położyć, żeby jej się po niego sięgnąć nie zachciało.

– A może kołkiem osinowym ponabijać? To ponoć jest i na upira sposób.

– Wiedźmy trza zapytać. Wiedźmo?!

– Wiedźmo?! A gdzie się ona, na bogów, podziała?

Ale wiedźmy już nie było. Umknęła w zamieszaniu wywołanym potyczką. Wypełniła swoją część umowy, teraz miała tylko czekać i w odpowiednim czasie upomnieć się o zapłatę.

•••

Perun pięciokrotnie przekuł ogniwa smoczego łańcucha, nim nastał odpowiedni czas. We wsi rozbłysła nadzieja, że wiedźma nie upomni się o biegające już teraz wszędzie wokół dziewczynki. Jedynie stary żyrzec nie miał złudzeń. To on jako pierwszy w piękny wiosenny poranek wypatrzył zbliżającą się od strony lasu postać. Kobiety i dzieci stłoczono w izbie największej chaty. Mężczyźni stanęli przed nią, dzierżąc swoje narzędzia.

Jasne było, że są gotowi ich użyć przeciw wiedźmie, jeśli zajdzie taka potrzeba. Gdy wiedźma stanęła w obejściu, żyrzec wystąpił przed zwarty szereg.

– Witaj – rzekł, siląc się na spokój.

– Witajcie. Przychodzę po to, co mi obiecano pięć wiosen temu.

W ciszy, jaka zapadła, słychać było trzask palców zaciskanych na siekierach i widłach.

– A co to? Nie pamiętacie o naszej umowie? – powiedziała wiedźma, marszcząc i tak już poraną przez starość twarz.

– Nie damy ci żadnych dzieci, jędzo! – wykrzyknął jeden z młodych ojców.

Stara wiedźma zwróciła się do żyrzca:

– To takie z tobą targi, starcze? Ty, wiedźmo, karku nadstawiaj, a my tobie widłami w oczy? Tak sobie to pomyślałeś?

– Ja nic nie mam do tego. Tłumaczyłem, że dzieci dać trzeba, bo taka umowa, ale posłuchu mi nie dano – wyjaśniał żyrzec.

– Zamilcz, kłamco – wiedźma spojrzała gniewnie na uzbrojonych chłopów. – Nie minie rok, jak z waszej wioski zniknie wszystko, co żywe.

Rzuciwszy klątwę, odwróciła się i odeszła, wspierając się na długim kiju.

•••

Przez całe lato w wiedźmowej chacie wrzało od czarów. Wywary buchały z kotłów, iskry sypały się z palców i płonęły ofiary ku czci Welesa.

Z początkiem jesieni wiedźma ponownie stanęła pod wioską. Ciekawscy wylegli przed domy i patrzyli w zdumieniu na wykrzykującą zaklęcia postać. Z ziemi podniosła się mgła, której białe kłęby zawirowały w podmuch przybyłego nagle wiatru. Mieszkańcy wsi struchleli.

– Potruć nas chce tymi oparami! – krzyczano.

Chwytano dzieci na ręce i ratowano się ucieczką. Kto mógł, umykał w popłochu tak, że we wsi zostali jedynie starcy.

Stary żyrzec także pozostał we wsi. Wyszedł wiedźmie naprzeciw i wpatrywał się w jej jarzącą się tysiącem isker sylwetkę. Wiedział, że nie ma ratunku, że sami sprowadzili na siebie zgubę. A zgubił ich strach. Bali się strzygi, bali się oddać wiedźmie własne córki, ale nie wiedzieli, że

obawiać się należy czegoś znacznie gorszego – gniewu oszukanej czarownicy. Żyrzec wiedział od dawna. Rozumiał, że spotka ich kara, był gotów na śmierć.

Najpierw poczuł przejmujące zimno biegnące od stóp do czubka głowy. Spojrzał w dół i zamarł z przerażenia. Zamiast własnych nóg ujrzał skałę pożerającą jego ciało. A może to jego ciało stawało się skałą? Dość, że nie mógł się już poruszyć. Powoli, kawałek po kawałku, stawał się głazem. Gdy zniknęły jego ręce i tors, a szyja zaczęła cierpnąć, wydał z siebie głuchy krzyk rozpaczy, który natychmiast zamarł. W miejscu, gdzie przed chwilą stał stary mężczyzna, wznosił się teraz kamienny słup niczym nieprzypominający człowieka.

Gdy wszelkie krzyki ucichły, a gęsta mgła opadła, oczom widzów ukazała się pusta osada. Chaty i zagrody stały nietknięte. Można by pomyśleć, że nic się tutaj nie wydarzyło. Okrutną prawdę zdradzała tylko przejmująca grozą cisza i brak żywego ducha.

We wsi już nigdy nie zamieszkał żaden człowiek. Chaty rozpadły się i z czasem zapomniano o ich istnieniu. Jediną pamiątką po tamtych zdarzeniach są sterczące tu i ówdzie jasnoszare głazy.







BIESY WODNE

Wodnik

Sulisław szedł wzdłuż usypanych równo wałów siana. Przystawał co chwila i grzebał w nich, badając, czy aby dobrze schną. Badanie musiało wypadać bardzo niepomyślnie, bo Sulisław kłął przy tym okropnie. Wiedział, że świeżo skoszona trawa potrzebuje kilku, a czasem kilkunastu dni, zanim nada się na paszę. Powietrze bywało wilgotne, a to za sprawą położonego nieopodal jeziora, jednak dni ostatnio były niezwykle upalne i siano już dawno powinno być suche jak wiór. Obszedł wały raz jeszcze i skręcił w stronę jeziora.

Woda była spokojna. Po skrzącej się w migotliwym blasku wschodzącego słońca tafli sunęły wolno łodzie rybaków ściągających zastawione na noc sieci. Połów był udany. Jezioro zapewniało wszystko, czego mała osada mogła potrzebować. Ryb było zawsze pod dostatkiem, starczało dla wszystkich, a to, co zostało, można było łatwo sprzedać lub wymienić w okolicy. Dlatego mieszkańcy wsi nie martwili się o inne dobra. Wóz pełen świeżych ryb zaraz po połowie ruszał na wymianę i wracał z chlebem, serem i kaszą.

Sulisław miał dbać jedynie o to, by dla koni ciągnących wóz dość było paszy. Dlatego też złościł się i dziwił, że siano w zgrabne kupy usypane nie chce schnąć w letnim słońcu. Chorsa tej nocy należało się spodziewać z pełnym obliczem, toteż Sulisław postanowił w jego blasku podpatrzeć, czy mu kto pracy nie psuje po złości.

Kiedy już noc zapadła, Sulisław wyruszył z chaty na zwiad. Chors faktycznie świecił w całej okazałości. Po niebie wędrowały wąskie pasma czarnych na tle srebrzystego nieba chmur. Od bladej poświaty księżycy było niemal widno, dlatego Sulisław przemykał w stronę stogów, kryjąc się za rzędami rosnących opodal jabłoni. Gdy był na tyle blisko, by obserwować okolicę i pozostać niezauważonym, przysiadł pod drzewem i wbił wzrok w wał schnącego siana. Od razu zauważył, że coś się w nim porusza.

– Wodnik, zaraza! – zaklął Sulisław przez zęby.

Nazwany wodnikiem miał postać ludzką, ale na pierwszy rzut oka można było odkryć, że człowiekiem nie jest. Ręce miał długie i chude, podobnie jak koślawe nogi. Cała sylwetka była zgarbiona, co czyniło go podobnym do pokrzywionego starca. Skóra wodnika błyszczała w blasku księżyca, co mówiło Sulisławowi, że dopiero co wylazł z wody i cały jest mokry. Ubrany zaś był w coś, co mogło być kiedyś koszulą, a teraz przypominało potarganą szmatę wiszącą na wychudłym ciele.

Stwór szukał najwyraźniej wygodnego miejsca, bo laźł po siennym wale i coraz to przystawał, grzebiąc w nim długimi paluchami. Zbliżył się tak do ukrytego Sulisława, że oczom obserwującego ukazała się skóra wodnika. Była jasnoszara, a miejscami nawet – w bladym świetle widział to wyraźnie – zgniłozielona. Łeb jego był równie szkaradny. Tak jak całe ciało, pokrywały go liszaje i wrzody, z których przy każdym ruchu tryskała woda. Oczy wyłupiaste jak u żaby sterczały z wychudłej i pomarszczonej twarzy, co sprawiało, że był zarazem zabawny i straszny. Błoniaste stopy podobne były do kaczych i wodnik człapał nimi po sianie. Po chwili znalazł wreszcie dogodne dla siebie miejsce, bo przysiadł w kopie i zaczął wyciskać swoje wrzody chudymi paluchami. Sulisław z najwyższym obrzydzeniem patrzył, jak wodnik iska pomarszczoną skórę, wydłubując z niej wodne robactwo. Co i rusz pakował sobie wijącą się pijawkę w ociekający wodą pysk.

Korzystając z tego, że stwór zajęty był sobą, Sulisław uzbroił się w długi kij i ruszył wolno w jego kierunku. Zaszedł wodnika z tyłu i zamachnął się szeroko. Kij wylądował na plecach stwora z głośnym plaśnięciem. Woda trysnęła z szarego ciała, a sam trafiony zawył i zabulgotał. Ośmielony sukcesem Sulisław natarł na szkodnika z całą furią, jaka w nim wezbrała. Kije sypały się gęsto. Wodnik umykał niezdarnie w stronę jeziora, próbując uniknąć kolejnych razów. Sulisław zasapał się i spociał, ale dzielnie gonił intruza, aż do chwili, kiedy ten dopadł jeziora i zniknął w jego odmętach.

– Żebyś tu więcej nie widział, poczwaro przebrzydła! – wołał do ciemnej wody. – W toni siedzieć i pluskwy żreć, a nie ludziom pracę marnować!

Wołałby tak jeszcze długo, gdyby z wody nie wyłonił się nagle oślizgły łeb wodnika. Stwór odgarnął z pyska kłęb wodorostów i wykrztusił bulgotliwym głosem:

– Pożalujesz tego, stary dziadu. Stopię kogo dla przykładu.

Nie czekając na odpowiedź, dał nura i zniknął w rozbryzgach białej piany.

•••

Siano schło jak marzenie. Od kilku już dni Sulisław nie widział żadnych śladów nocnego gościa ani jego samego. Spacerował teraz dumnie wśród wałów siana i nie mógł się doczekać wieczery przy ognisku, gdzie mógłby po raz kolejny opowiedzieć zebrany o swojej przygodzie zakończonej zwycięskim pojedynkiem nad wodnym biesem. Sulisław nie mógł przepuścić okazji, by za każdym razem nie ubarwić swojej opowieści jakimś nowym szczegółem. Dotyczyły one głównie upiornych zębów i szponów wodnika, które nagle pojawiły się w jego bajaniach, oraz trudności, jakie napotkał w czasie walki. Walki niemal okupionej życiem. Rybacy kiwali z uznaniem głowami, bo niejeden o wodnikach słyszał, a czasem i jakiego widział. Córki rybaków natomiast słuchały Sulisława z rozwartymi ustami i oczami rosnącymi na przemian z podziwu i przerażenia. Sulisław, który dotąd uchodził za niezdarę i nudziarza, stał się nagle junakiem osady. Nic też dziwnego, że w nowej roli poczuł się spełniony i szczęśliwy.

Tego wieczoru jednak przy ognisku nie było biesiadnego nastroju. Jeden z rybaków, który samotnie wyszedł na wodę, do tej pory nie wrócił. Zwyczajne wesołe pogwarki musiały ustąpić miejsca lamentom kobiet i chmurnym minom mężczyzn. Wszyscy rybacy znali wody jeziora na pamięć, dlatego nikt nie wątpił, że jedyne, co mogło powstrzymać nieszczęśnika przed powrotem na wieczerzę, to śmierć.

Następnego dnia przy pierwszej zorzy dwóch śmiałków ruszyło łodzią wzdłuż brzegu, by przeczesać płycizny i oczerety w poszukiwaniu zaginionego. Liczono, że woda wyrzuci ciało na brzeg, bo nikt nie miał złudzeń, iż dusza rybaka już u Welesa. Inni rybacy tego dnia nie wyszli na wodę, bo nikt nie ośmieliłby się łowić, póki zwłoki nie zostaną wydobyte z topieli. Dlatego też z wielkim niepokojem wyczekiwano powrotu poszukiwaczy.

– Źle bardzo, że łodzią na wodę poszli – narzekał stary dziad. – Złe kusić popłynęli.

– Zawrzyj gębę, starcze! – odpowiedziała mu żona. – Nieszczęście już jedno na nas spadło, a ty tu jeszcze gadaniem nowe лихо przywołasz.

Tak sprzecjali się aż do wieczora, a śmiałków dalej nie było widać. Rozpalono ogień na brzegu, by uczynić im drogę po zmierzchu łatwiejszą. Prawie cała osada zebrała się w wyczekiwaniu. Nagle coś zamajaczyło na wodzie. Z mroku wyłoniła się pchana delikatnym wiatrem łódź. Była pusta.

• • •

W chacie starca huczało od krzyków.

– Mów, coś widział!

– Opowiadaj, po coś nas tu zwołał po nocy!

Sulisław stał czerwony na gębie, próbując uciszyć zgromadzenie. Nabral w piersi powietrza i ryknął:

– Uciszcie się, chłopcy! – Kiedy wszyscy zamilkli, mówił dalej nieco już spokojniej. – Powiedzieć wam chcę, com dziś przy stogach zobaczył. Idę jak co wieczór siana doglądać, bo już mu czas. Odkąd żem wodnika przegonił, wszystko szło jak trza, a tu dzisiaj patrzę i co widzę? Cztery pokraki mi na sianie siedzą i wodą leją.

– I cóż? Tylko po to nas ze snu wyrywasz? – odpowiedział jeden z rybaków.

– A po to! Bo nie dalej jak trzy dni nazad trzech chłopów nam woda zabrała. A teraz co? Trzech nowych mi po sianie lata. Nie wiesz, co to oznacza, głupi?

– Nie.

– Bo siano masz we łbie, nie rozum. Wodnik nam braci potopił i w poczwary zaklął. Tu czary mroczne w jeziorze się odprawiają. Zaradzić co trzeba, bo i my, i gadzina nasza z głodu pomrzemy.

– Prawdę rzecze – wtrącił staruch. – Już trzy dni na wodę rybacy nie wychodzą. Jeszcze trochę i nic do gęby włożyć nie będzie. A na targ też nie pojedziemy. Choćby i było co wymienić, to nam konie wozu nie pociągną, bo też z głodu padną bez siana.

Poruszyła rybaków ta mowa i zaraz poczęli prosić starca o radę:

– To cóż nam począć? Co robić? Ty stary, mądry. Pewno już takie czary widział.

– Ja sam nie widział – odparł stary. – Ale dziad mój mówili, że się to zdarza, jako się wodnik w jeziorze ulęgnie. A gdy taki bies się na ludzi zeźli, to topi, a utopionych na drugie biesy odmienia. Dziadunio mówili o takich utopce albo topielce.

– Ty już dziadunia w spokoju ostaw albo mów, jak sobie z nimi poradził – nie wytrzymał Sulisław dziadowego gadania.

– Ano jest sposób. Trza stwora przekupić, to szkodzić więcej nie będzie. Coś cennego trzeba w wodę rzucić, wodnik bowiem pazerny. A co u nas cennego? Koń chyba.

Na te słowa podniósł się jazgot.

– Konia?! Chybaś się blekotu objadł – krzyknął wzburzony Sulisław. – Cóż nam począć bez konia? Może tobie kamień do szyi przytroczymy i w topiel rzucimy.

– Uspokój się, Sulisławie – odparł jeden z przybyłych. – Może i dziad ma rację. Koni ci u nas trzy, więc radę sobie damy. A pomyśl, ilu nas jeszcze może potopić przekłeta poczwara.

Sulisław przysiadł na zydlu i milczał długo. Wreszcie wstał i ledwie słyszalnie rzekł:

– Zgoda. Bierzcie konia.

•••

Niespokojne zwierzę darło kopytami piaszczysty brzeg. Koń parsknął i rzucał łbem, że ledwo trzech roślących mężów mogło go utrzymać. Z trudem zaciągnęli go do wody, gdzie czekał już starzec z dzbanem miodu i wiechciem słomy. Powoli zanurzył wiecheć w gęstym, bursztynowym płynie, po czym podniósł go i namaścił koński łeb. Stojący obok rybacy uwiesili ciężkie kamienie na kłębie zwierzęcia i zaciągnęli je w głąb jeziora, tak że woda sięgała mu już grzbietu, a potem szybko uciekli na ląd. Ledwie dopadli brzegu, woda wokół konia wzburzyła się i zakopiała pianą, z której wynurzyły się błoniaste, pokryte liszajami łapy. Koń zakwiczął tak przeraźliwie, że zgromadzonym na brzegu włosy stanęły dęba. Oślizgłe cielska owinęły się wokół przerażonego zwierza i wciągnęły w wodne odmęty.

Gdy zgromadzeni już mieli się rozejść, z jeziora wynurzył się wodnik i przemówił skrzeczącym głosem:

– Ofiarę waszą przyjmuję, zemstę swą odwołuję.

Wtedy Sulisław wystąpił przed zgromadzenie i drżącym głosem przemówił:

– Trzech naszych ziomków porwałś i teraz jeszcze konia nam zabierasz. Chcemy przeto, byś nas ostawił na zawsze w spokoju.

– Strach cię teraz obleciał, nie pamiętasz już, jak mnie kijem smagałeś. A ja dobrze pamiętam. Tak łatwo przekupić się nie dam. Będzie, jak powiem. Dam wam spokój, ale jeśli za rok o tej porze nowej ofiary nie złożycie, to jeszcze większe nieszczęścia spadną na całą wioskę. – Powiedziawszy to, czmychnął do wody.

Jak rzekł, tak się i stało. Żadne biesy wodne już mieszkańców wsi nie nękały, a ci, obaczywszy, że ofiara skutkuje, poczęli każdego roku ją ponawiać.





Boginki

Wiele dziwnych imion nadawali rodzice swoim dzieciom. Zwykle były skutkiem natchnienia zesłanego przez Rodzanice i nierzadko trafnie przepowiadały, co z dziecięcia wyrośnie. Nie inaczej było z Kłębem, który nie miał zbyt lotnej myśli, a i obyczaje dosyć swobodne, bo zwykł najpierw robić, a potem pomyśleć. Kłęb miał żonę, która – nie wiedzieć czemu – odnajdywała w nim wszystko, co mąż posiadać powinien. Miał również zajęcie odpowiadające jego zdolnościom – wczesnym świtem pędził bydło na łąkę, aby o zmierzchu zapędzić je z powrotem do zagrody.

Tego przedwieczera jak zwykle gonił Kłęb małe stadko brzegiem rzeki. Wnet jednak poczęło się ściemniać, gdyż Kłęb zbyt długo drzemał na pastwisku i przegapił najlepszą porę na powrót do domu. Cma już zupełna zapanowała nad światem, gdy nagle posłyszał znajomy dźwięk.

– A któż to o tej porze na kijankach pierze? – powiedział pasterz sam do siebie i ruszył w szuwały.

Przedarł się przez gąszcz i wychylił łeb z gęstych tataraków. W wodzie tuż przy brzegu, zanurzona po uda, stała piękna dziewczyna. Kłęb aż zachwiał się na nogach, bo młode dziewczę było zupełnie nagie i w pełnym świetle Chorsa widział wyraźnie wszystkie jej wdzięki. Prała suknię, bijąc ją kijanką na zwałonym w wodę pniu olchy. Kłęb zachwiał się tak nieszczęśliwie, że wpadł z pluskiem w toń. Dziewczyna, dojrawszy młodzieńca, natychmiast rzuciła swoje zajęcie i zasłoniła się mokrą suknią.

Kłębowi, kiedy już wygramolił się z wody, wydało się, że dziewczyna nie jest jednak tak wstydliva, bo zbliżyła się do niego z zalotnym uśmiechem. Po chwili jej prana przed chwilą suknia spoczęła na piaszczystym brzegu, a Kłęb, jak to Kłęb, bez namysłu rzucił się w objęcia dziewczyny i utonął w jej długich rusych włosach.

...

Nad tą samą rzeką, na tym samym brzegu, w kilka miesięcy później życie toczyło się po staremu. Niewiasty waliły kijankami w rozrzucone

wokół suknie. Prały tam wszystkie baby ze wsi. Wśród nich znalazła się również żona Kłąba, Jagoda.

– Jagódko, się nasz Kłęb postarał, widzę – rzekła jedna z kobiet, wskazując na widoczny już dobrze brzuch.

– Ano, postarał – odpowiedziała Jagoda, promieniejąc uśmiechem.

Prały tak do południa. Zmęczenie już wdawało im się we znaki, więc usiadły spracowane na powalonym pniu.

– A nad czym tak dumasz?

Pytanie zadane Jagodzie wyrwało ją z zamyślenia.

– A wicie, przypomniam se, jak mi mój Kłęb opowiadał, co nad tą rzeką raz zoczył.

Kobiety przysiadły się bliżej.

– No cóż widział? – wołały. – Opowiadaj.

Jagoda zachwycona zainteresowaniem zaczęła opowieść:

– Ano mówił, jak wracał po ciemnicy z pastwiska i w wodzie, tu, gdzie i my teraz pieremy, kobitę jaką ujrzał.

– I co? I co? Od nas jaka nocą prać poszła?

– Ano, nie wiadomo. Bo jak tyko na nią zawołał, to się w wodę zanurzyła i tyle ją widział.

Zapadło milczenie, które przerwała najstarsza z bab:

– Toć to boginka w naszej rzece mieszka.

– Boginka?! Co mówisz, stara?! – krzyknęły chórem niewiasty.

– A tak – rzekła stara, podpierając się pod boki. – Przekłęte to dziewczki, mieszkanki wodnych głębin. Biorą się z niewiast, co potopiły się, a męża nie zaznały. Gołe chodzą bezwstydnice u wód brzegów i chłopów mają. Boginka tu mieszka, a co boginki potrafią, to ja już nieraz słyszałam i widziałam.

– Co niby? – spytała wystraszona Jagoda.

– Baby rodzące porywają i dzieci im kradną. Sama pamiętam, jakem była młoda, to babę w połogu razem z łóżkiem porwały i uniosły w pole, żeby potem do rzeki zaciągnąć. Wszyscy domownicy w krzyk i pędzą za biesami, ale one śmigłe są i zwykłym śmiertelnikom nie nadążyć za nimi. Szczęściem jednak w tej porze pewna starucha, co sprawki czartowskie znała, miedzą podążała, zioła zrywając. Gdy tylko spostrzegła, co się dzieje, wnet nazrywała barwnych dzwonek. Wiedziała bowiem, że wodne panny boją się ich śmiertelnie. Zaczaiła się wśród kalin i zniecka sypnęła

wonnym kwieciem na boginki. Te krzyknęły jak oparzone, porzuciły łoże wraz z rodzącą na miedzy, a same uciekły.

Baby struchlały, tylko Jagoda w śmiech.

– A co ty tu zmyślasz, stara bajcaro? – wołała, zanosząc się śmiechem.
– Takie bajki, to dzieciom opowiadaj, a nie nam.

Na to wtrąciła się jedna z młodych:

– Nie śmieję się, Jagoda, bo babka życie zna i wie, co mówi.

Inne młode zaraz jej przytaknęły.

– Jagoda pewno się boi – dodała zaraz stara, która bynajmniej nie straciła animuszu – że i jej chłopca boginka zbałamuciła. Może się ino Kłęb nie przyznał.

Jagodzie mina zrzędła, ale parsknęła śmiechem jeszcze raz i odeszła.

• • •

Dla Jagody nastał dzień rozwiązania. Akurat wybrała się była nad rzekę, gdy ogromny ból powalił ją na ziemię. Byłaby może umarła w trakcie tego porodu, gdyby nie niespodziewana pomoc. Nagle pojawiła się przy niej niewiasta, co wyglądała, jakby właśnie wyszła z wody, albowiem mokre jej ciało oblepione było rzeczonym wodorostem. Pochyliła się nad Jagodą i dotknęła chłodną dłonią jej spoconego czoła.

Chłopiec przyszedł na świat zdrowy, a boginka zniknęła tak samo szybko, jak się pojawiła.

• • •

Z początku Jagoda z Kłębem radzi byli z potomka. Po pewnym jednak czasie spostrzegli, że chłopiec inny jest niż pozostałe we wsi otroki. Łeb mu urósł wielki jak ceber. Kiedy inne dzieci mówiły już pierwsze słowa, on tylko wyśpiewywał niezrozumiałe dla nikogo piosnki. Nijak jego pienia nie przypominały ludzkiej mowy, chociaż Jagoda całe dni starała się go wyuczyć najprostszych chociaż wyrazów.

Rozpaczała młoda matka i traciła nadzieję, że syn jej do rozumu dojdzie. Kłęb nic sobie z tego nie robił.

– Czego beczysz, głupia? – mówił. – Podrośnie to się gadać nauczy, a teraz niech lata po wsi i patyki zbiera, to może na drwała wyrośnie.

Nie były to dla Jagody słowa pociechy. Nadal z troską patrzyła na syna, który samotnie siadał nad brzegiem rzeki, bo inne dzieci nie chciały się z nim bawić. Wpatrywał się w wodę, szepcząc dziwne zdania.

Pewnego dnia, kiedy jej rozpacz stała się już nie do zniesienia, udała się do starej babki. Nie zrobiła tego wcześniej, bo pamiętała dobrze, jak wyśmiała jej słowa przy praniu nad rzeką. Nie było już jednak innej rady, musiała dumę swą przezwyciężyć i ugodzić się ze starą.

– A kogóż ja widzę? – rzekła babka, gdy pod jej chatą pojawiła się Jagoda z synem.

– Wybaczcie, babko, ale sił już mi nie staje i nie wiem, co począć – zaczęła z pokorą. – Wyście mądra i rację miały, o boginkach prawiąc.

To rzekłszy, zalała się łzami. Stara kobieta ulitowała się nad cierpieniem zdruzgotanej matki i objęła ją ramieniem.

– Siadaj, Jagódko, coś poradzimy.

Mały biegał wokoło, nucąc piosnki, kiedy Jagoda opowiadała babce, jak rodzić nad brzegiem poczęła i jak z wody wylazła boginka, która pomogła jej dziecko na świat wydać. Mówiła, jak chłopcu głowa urosła i niekształna się stała, jak mowy pojąć nie może i tylko bełkot śpiewny z siebie wydaje.

Stara kobieta słuchała z uwagą i troską, a gdy tamta skończyła opowieść, rzekła w te słowa:

– Toć prawda, co o boginkach mówiłam. I obawę mam wielką, żeś pod opiekę odmieńca wzięła.

– O Perunie w niebiesiech i Welesie w podziemiach! – wykrzyknęła z trwogą. – Co mówisz? To by mały nie był naszym synem? Przypatrz się dobrze. Przecie on już taki do mojego Kłaba podobny.

Babka spojrzała jej głęboko w oczy i rzekła:

– A pamiętasz, jak mówiłaś, że chłop twój tę boginkę spotkał nad naszą rzeką?

– Co chcesz powiedzieć, babko?

– Chcę powiedzieć, że może masz Kłaba dziecko, ale nie swoje.

W pierwszej chwili Jagodę gniew potworny na jej słowa przejął, ale uspokoiwszy się, przyznała, że tak być może.

– Ale jak tedy – wołała – w naszym domu się odmieniec znalazł i co z moim synkiem się stało?! Przecie go na własne oczy nad rzeką widziałam.

– Boginki dzieci od dawien dawna podmieniają, bo własne im niemiłe – odparła stara. – Szpetne są jako ten tu. Zakradają się pod chałupy i jeśli jaka swoje dziecko porodzi, to je na ludzkie wymienia. Twoje pewnie po porodzie podmieniła nad rzeką.

– Co robić? Co robić? – powtarzała upokorzona Jagoda.

Babka jednak i na to sposób знаła:

– Trzeba boginiasa nad rzekę zabrać przy Chorsie sytym i wierzbowymi witkami sprać. Jak zawrzeszczy, to się jego przeklęta matka pojawi.

Gdy tylko Chors w pełni wychynał na nocne niebo, udała się Jagoda z boginiasem nad rzekę. Skoro nazrywała długich wierzbowych gałązek, po czym rozebrała odmieńca do naga i poczęła go prać, ile sił w rękach. Dzieciak wył wniebogłosy, ale Jagoda nie miała dlań litości, zrobiłaby bowiem wszystko, by odzyskać swe dziecko. Na pojawianie się przeklętej panny nie musiała długo czekać. Wnet wynurzyła się ze spienionej kipieli z dzieckiem na rękę i przemówiła do Kłabowej żony śpiewnymi słowy:

– Zaniechaj, dziewczko okrutna, tej katorgi, cóże ci mój malec uczynił?

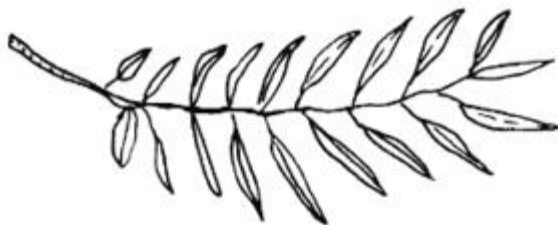
– Nie przestanę, chyba że syna mojego mi zwrócisz, szkarado.

– Masz tu swojego pędraka, a moje dziecko oddawaj!

Jagoda wydała boginiasa wodnej pannie i swego syna wnet wzięła. Po czym zwróciła się do boginki w tych słowach:

– A nie pokazuj mi się więcej i chłopca mego nie bałamuć, bo wrychło rzekę całą dzwonekami obsypię albo inny sposób na ciebie znajdę!

Boginka nic na tę groźbę nie rzekła, tylko, przytuliwszy boginiasa, plusnęła w wodę. Jagoda zaś uradowana wróciła z prawowitym swym dzieckiem do siebie. Radość zagościła odtąd w jej życiu, chłopiec chował się zdrowo i niczym nie różnił się od innych we wsi otroków. I tylko Kłab nie miał odtąd lekkiego losu, bo żona jego najpierw za zdradę i kłamstwa sprąła go porządnie kijanką, a później już na każdy jego krok czy słowo baczyła.







BIESY POWIETRZNE

Płanetnik

Odwieczna walka między Perunem a Welesem toczyła się na ziemi, ale jej największe bitwy rozgrywano w powietrzu. Weles nieustannie podrywał do lotu swoje zrodzone z ziemi i wody smoki, po stronie Peruna zaś zawsze stawał bóg wiatru – Strzybóg. Rządził on w powietrzu i na jego rozkaz podrywały się wszystkie biesy powietrzne. W każdym obłoku odnaleźć można było jego sługi. Dowodził armią żmijów walczących ze smokami w czasie burzy. Żmijom pomagali Strzyboży synowie zrodzeni z ziemskich niewiast, które bóg wiatrów uwodził pod postacią męża. Synowie jego zwali się płanetnikami i żyli pośród ludzi.

Jeden z płanetników chował się niegdyś w najzwyczajniejszej wsi. Chłopiec mieszkał z matką, która kochała go nad życie. Kiedy pytał, gdzie jest jego ojciec, mówiła mu, że jest synem boga, pana wiatrów, i musi być mu powolnym. Chłopak wierzył jej, bo widział, jak niezwykle jest jego ciało – pod ramionami skrywał skrzydła podobne do wronich. Odkrył też, że potrafi się na nich unieść w powietrze, matka jednak zabroniła mu się tym chwalić.

Minęło kilka wiosen, a płanetnik wyrósł na wysokiego pięknego młodzieńca o modrych jak niebo oczach. Tego dnia jak co dzień pomagał matce w zwyczajnych zajęciach, gdy doszedł go świst wiatru. Dźwięk ten zaczął się układać w słowa, aż wreszcie płanetnik posłyszał wyraźny głos:

– Synu! Poderwij się w powietrze i ruszaj! Chwyć obłok i poprowadź moje żmijowe zastępy do bitwy!

Płanetnik rzucił swoją robotę i nie pożegnał się nawet z matką, wzleciał w obłoki. Strapiona kobieta spojrzała za nim w niebo i zrozumiała, że nadszedł jego czas, uroniła łzę.

Kiedy chłopak wbił się w obłok, już wiedział, co ma dalej robić. Rozkazał żmijom pędzić naprzód. Biały obłok ruszył pchany przez silny wiatr i wkrótce zderzył się z ciemną chmurą wiszącą nisko nad ziemią.

Strzeliły pioruny. Z burzowych chmur wypadły roje smoków, które wściekle natarły na zastępy żmijów. W powietrzu się zakotłowało. Chmury i obłoki zlały się w jedną bezkształtną masę, z której lał się deszcz, sypał się grad i co rusz waliły gromy. Walka była straszliwa. Sam płanetnik musiał nieustannie ścierać się ze smokami i strącać je na ziemię. Po chwili spostrzegł, że walka jest już wygrana. Smoki umykały, kryjąc się w odmętach rzek i stawów. Chłopak był tak wyczerpany, że ledwie poruszał skrzydłami. W końcu zupełnie opadł z sił i zwałił się ze świstem na ziemię.

• • •

Obudził się na posłaniu. Otworzył oczy i ujrzał belki stropu. Leżał w nieznannej chacie, w której krzątało się kilka kobiet, a przy ogniu siedzieli mężczyźni. Jedna z niewiast, dostrzegłszy, że się przebudził, krzyknęła i podbiegła do niego.

– Jak dobrze, że żyjesz – wyszeptwała.

– Co ja tu robię? – zapytał wątlym głosem, gdy wokół posłania zebrali się wszyscy domownicy.

– Burza była okrutna, a po niej mąż mój znalazł cię leżącego w zbożu – odparła gospodyni.

– Czy ty jesteś bogiem? – zapytała mała dziewczynka, za co ojciec skarcił ją srogim spojrzeniem.

– Nie całkiem – uśmiechnął się płanetnik. – Tylko w połowie.

To rzekłszy, zasnął.

Mieszkańcy wsi zaopiekowali się nim z największą troską. Płanetnik z dnia na dzień nabierał sił i po kilku tygodniach spacerował już po zagrodzie. Tego dnia poczuł, że siły wracają mu zupełnie, i ruszył na dłuższą wędrówkę wśród kołysanych zbożem pól.

Wędrował powoli w promieniach letniego słońca. Zapach polnych kwiatów napełniał mu nozdrza słodyczą. Na drugim końcu miedzy, którą szedł, zobaczył postać. Jej biała suknia skrzyła się skąpana w Dadźbożym blasku. Płanetnik przystanął oczarowany jej sylwetką, której smukły kształt rysował się wyraziście pod przylegającą do ciała lnianą materią. Im bliżej postępowала, tym obraz jej wyostrzał się i zdawała mu się coraz piękniejszą. Dojrzał jej złociste jak pszenica włosy, które rozrzucił wiatr.

Była już bardzo blisko, kiedy dojrzał jej bursztynowe oczy i słodkie usta składające się w życzliwy uśmiech.

– Witaj! – powiedziała dziewczyna.

– Witaj! – odpowiedział, czując, że głos więźnie mu w gardle.

– We wsi mówią, żeś jest planetnikiem, którego chmury zrzuciły na ziemię.

– Owszem – odrzekł pewniejszym już głosem.

– A bo to i prawda?

W głosie dziewczyny usłyszał podziw, zainteresowanie i odrobinę niedowierzania.

– Jak mam ci dowieść, że zesłały mnie niebiosy?

– A czemu miałbyś mi dowody dawać?

– Bo dla ciebie wszystko gotowym uczynić.

Dziewczyna spieszyła się nieco, a jasne jej lico zapłonęło. Po chwili namysłu odparła:

– Chciałabym, żebyś nam wszystkim dopomógł. Odkąd z nieba przybyłeś razem z deszczem, ani kropla na pola nie spadła. To już ponad miesiąc, jak deszczu nie było, i w strachu jesteśmy, że nam plony obumrą.

Planetnik wnet poderwał się do lotu. Poszybował w obłoki i zniknął. Czekala dziewczyna czas jaki, ale widząc, że długo nie wraca piękny chłopiec, ruszyła ścieżką do domu. Nie przeszła jeszcze progę, gdy nad nią ujrzała ciemną chmurę. Zaraz pierwsze krople uderzyły o spaloną słońcem ziemię. Rozpadało się na dobre, a wyczekujący tej chwili od dawna wieśniacy wyszli przed domy, by cieszyć się przyjemnym chłodem deszczu.

Piękne dziewczę spoglądało w niebo z radością, woda obmywała jej twarz, a ramiona uniesione w górę chwytaly spadające strugi. Chciało jej się tańczyć, bo uwierzyła, że planetnik jest tym, za kogo się podał, i że uczynił ten deszcz specjalnie dla niej. Nie wiedziała, że sprowadzić deszcz mogą tylko smoki, nad którymi planetnik nie ma żadnej władzy. Patrząc z uśmiechem na deszczowe chmury, spoglądała na małą bitwę smoków ze zmijami prowadzonymi przez planetnika. Gdyby tylko miała świadomość, jak zacięte i niebezpieczne mogą być takie potyczki, nie uśmiechałaby się w tej chwili, a już z pewnością nie poprosiłaby młodzieńca o sprowadzenie deszczu.

Tymczasem planetnik po nieudanej potyczce powrócił na ziemię i udał się na spoczynek, bo mrok już zapanował nad światem. Nazajutrz wyprawiał

się do swej lubej i z radością przyjął jej słowa wdzięczności.

– Czy teraz mi wierzysz? – zapytał, chwytając jej dłonie.

Ona jednak wyrwała się z jego uścisku i umknęła spojrzeniem od jego modrych oczu.

– Wierzę, żeś jest synem Strzyboga, i wdzięcznam ci za to, coś uczynił. Cała wieś nasza wiele ci zawdzięcza, ale pragnę, byś zrobił coś specjalnie dla mnie.

– Co tylko rozkażesz, miła! – wykrzyknął młodzian i uradował się na myśl, że będzie mógł ponownie popisać się przed jasnowłosą.

– Rośnie opodal pradawna, błogosławiona lipa – rzekła. – Pod nią to zbieramy się na dziady i insze Welesowe święta. Wysoko, na samym jej wierzchołku, pszczoły założyły gniazdo. Nikomu dotąd nie udało się od nich miodu podkraść. Może to moc święta broni gniazda? Nie wiem. Ale ty jesteś synem boga, to może mógłbyś przynieść dla mnie trochę miodu, bo jak smakuje ciekawam okrutnie.

Płanetnik wziął z jej rąk garnuszek i, nie marudząc, poszedł pod święte drzewo. Przyjrzał się uważnie gniazdu, które faktycznie bardzo wysoko w koronie lipy majaczyło wśród gałęzi. Zdjął koszulę, rozpostarł czarne skrzydła i uniósł się w powietrze. Niedługo potem wrócił z garncem pełnym słodkiego gęstego miodu. Bursztyno-oka niewiasta przechyliła naczynie i skosztowała cudownego nektaru. Wspaniałej słodyczy, jaka spłynęła na jej wargi, nie sposób opisać słowami. Płanetnik pomyślał, że jemu będzie teraz dane skosztować słodyczy jej ust, jednak dziewczyna okazała się bardziej wymagająca.

– Wielką sprawiłeś mi radość i ufam już, że twe słowa i zamiary są prawe – powiedziała. – Chcę, byś spełnił jeszcze jedną jeno prośbę. Powiadają, że nie masz większej rozkoszy nad smak obłoku. Słyszałam, że można kawał białej chmury urwać i skosztować jako twaróg.

Płanetnik westchnął jeno i obiecał, że życzenie jej spełni niezwłocznie. I znów poderwał się w niebo i przywołał zmijów kotłujących się w obłoku. Pochwycił dłońmi jego puszystą biel i urwał spory kawał. Obłok jednak prędko rozmywał się w powietrzu i dla swej miłej doniósł jedynie odrobinę. Dziewczyna skosztowała obłoku wprost z jego dłoni. Smak tego podniebnego specjału musiał przejść jej najśmielsze oczekiwania, bo długo nie mogła dojść do siebie, wodząc rozmarzonym wzrokiem po niebie.

Płanetnik chwycił jej dłonie. Spojrzała w głębiny jego oczu i padła mu w ramiona.

– Mój ukochany – szepnęła. – Wybacz, że naraziła cię na te trudy i na czekanie skazała. Teraz wiem już na pewno, że nikt inny tak o mnie dbać nie będzie. Chcę w takim szczęściu pozostać na zawsze u twego boku.

Chłopak promieniał szczęściem i mocniej objął jej kibić. Gdy ich usta niemal złączyły się w pocałunku, planetnik nagle wyprostował się i spojrzał ku niebu. Wypuścił dziewczynę z ramion, a jego oblicze spochmurniało. Zerwał się silny wiatr. Młoda niewiasta nie słyszała jednak słów, które w tym szumie wzywały jej lubego do boju. Chłopak odwrócił się i pobiegł ścieżką, po czym rozpostarł swe krucze skrzydła i uleciał ku nadchodzącej burzy. Dziewczkę patrzyło, jak znika wśród piorunów, a łzy rozpaczły spływały razem z deszczem po jej twarzy. W głębi duszy wiedziała, że widzi go po raz ostatni.







Wiły

Po bładoniebieskim niebie płynął leniwie kłębiasty obłok. Delikatny wiatr szarpał nim, co rusz zmieniając jego kształt. Patrzący w niebo, ludzie zauważali tylko białą chmurę, nie widząc tego, co skrywa w swym wnętrzu. A w obłoku działo się wiele. Kilka potężnych żmijów kotłowało się w nim, krążąc wokół siebie na orlich skrzydłach. Czterech z nich dosiadały córki Strzyboga – wiły. W wyglądzie niczym nie różniły się od ziemskich dziewcząt. Ich ciała były smukłe i zwiewne. Szalony pęd rozrzucał ich długie ciemne włosy, kiedy ścigały się ze sobą. Ich śmiech i radosne okrzyki niosły się z wiatrem coraz dalej i dalej. Żmijowe cielska wirowały, splatając się węzowymi ogonami. Orle skrzydła były powietrze, a dziewczęta, zachwycone podniebną zabawą, poganiały je do jeszcze szybszego lotu.

Kiedy potworom brakło już sił, wiły rozkazały im zlecieć na ziemię. Żmije usiadły ciężko na górskiej polanie, a niezmordowane córki wiatru poczęły krążyć w kole. Kto ujrzałby ten taniec, domyśliłby się prędko, czemu zawdzięczały swe imię. Płasały lubieżnie, wijąc się wokół siebie, a ich silne gibkie ciała poruszały się lekko niczym wiatr.

– Ach, siostry! – zawołała jedna z nich. – Jak dobrze móc tańczyć w świetle dnia z dala od ciekawskich oczu.

– Prawda to, siostro – odparła druga. – Ale popatrz, nie jesteśmy tu same. Jakaś para ciekawskich ślepiów błyszczy tam zza krzaka.

Zanosząc się od śmiechów i drwin, wyciągnęły z zarośli przerażoną niewiastę.

– Patrzcie, jaka śmieszna – wołała jedna z Wił.

– Co ona ubrała? – wtórowała jej kolejna.

– Jakieś szmaty! Lepiej zrzucić to z siebie jak my!

Siostry znów parsknęły śmiechem, bo dodać trzeba, że wszystkie były zupełnie nagie, a proste ludzkie odzienie wydawało im się śmieszne i niewygodne.

Kobieta stała pośród nich, nie wiedząc, co ze sobą począć. Najchętniej umknęłaby w las, ale wiły nie pozwalały jej wydostać się z ich szalonego,

tanecznego kręgu. Na jej twarzy malowało się przerażenie, wstyd i ogromna troska. Nie uszło to uwadze Strzybożych cór.

– A coś ty taka markotna? – krzyczały.

– Baw się z nami!

– Tańcz!

– Nie mogę! – odpowiedziała na to kobieta ledwie słyszalnym głosem.

Siostry uspokoiły się i wpatrzyły w nią uważnie.

– Co tobie? – spytały.

– Zioła zbieram dla córki – wydusiła w końcu umęczona kobieta. – Nie przyszedłam tutaj umyślnie i nie chciałam wam przeszkadzać.

– Ale nie przeszkadzasz – po tym jak wiła wypowiedziała te słowa, trudno było zgadnąć, czy zdobyła się na życzliwość, czy nadal drwi. – Mów, co córce dolega.

Kobieta nie miała ochoty ciągnąć tej rozmowy, ale teraz nie miała już wyjścia, bo wiły mogły zrobić z nią, co tylko zechciały.

– Córka moja, już panna na wydaniu, ale ciągle chora. Błada, słabowita, jeść nie chce, wmuszać w nią trzeba strawę, a ja już sił nie mam i zioła jakie próbuję na jej niemoc odszukać.

Wiły spojrzwały po sobie i zaczęły dyskusję.

– I co powiecie, siostry, na taką historię?

– Można by jej pomóc, bo to nie kłopot.

– A komu by się chciało, lepiej ją zatańcować.

– Zamilczże, młoda, nic kobieta od nas nie chce i krzywdy nie czyni, to jej lekarstwo można wskazać.

– Niech i tak będzie! Chodź tu, w las, i słuchaj!

•••

Wiły upodobały sobie owo miejsce i często wracały tam potańczyć i wykrzyczeć się do woli. Stało się tak, że kobieta, którą onegdaj spotkały, wróciła na ich polanę i padła przed nimi na kolana.

– Och, moje dobrodziejki! – wołała. – Córę mi uratowałyście! Jak ja wam się odpłacę?

Wiły osłupiały, bo nie nawykły do takiej wdzięczności ze strony śmiertelników.

– No dobrze już, dobrze! – mówiły, śmiejąc się głośno. – Opanuj się, głupia!

– Wstawaj i chodź tu do nas, a może jeszcze jaki dar otrzymasz.

Kobieta nie wiedziała, czego ma się po nich spodziewać, ale podeszła do dziewcząt nieśmiało.

– Córka, mówisz, już zdrowa? – spytała jedna.

– Ano zdrowa! Inne dziecko po tych ziołach, com jej parzyła.

– To słuchaj teraz uważnie! Chcesz wiedzieć, co za los Rodzanice młodej szykują?

Pokiwała głową.

– To nazbieraj chrustu i skrzęsaj ogień.

Kobieta uczyniła wszystko, jak jej wiły przykazały.

– Teraz utnij sobie kosmyk włosów i rzuć w płomienie.

Ogień strawił włosy niewiasty w okamgnieniu, ale Wiły musiały coś z tych płomieni wyczytać, bo obsiadły ogień i długo wpatrywały się w jego taniec i badały, jak dym ulatuje ku niebu.

– Szczęście masz, kobieto! – rzekła w końcu najstarsza z wił. – Córka twoja rychło za mąż pójdzie i także córkę porodzi.

– Co mówisz, pani? – skrzeczała kobiecina, z trudem wstrzymując łyzy radości. – Toć to szczęścia większego nie ma dla matki.

– A teraz idź i daj nam pohulać w tej głuszy!

Biegając do wsi kobietę odprowadziły dzikie wrzaski i śmiechy rozszalałych cór Strzyboga.

• • •

– A potem gapiły się w ogień i wróżbę z niego wyczytały – opowiadała rozgorączkowana kobieta.

– I co potem? Co potem? – pytano z każdej strony chaty, w której zebrała się cała wioska.

– Jedna powiedziała, że córka moja za mąż pójdzie rychło i dziewczę urodzi. A potem mnie przegnały, bo to szalone dziewczki, te wiły. Jak ich śmiech sobie przypomnę szalony, to mi nawet teraz włosy dęba stają.

Zgromadzeni wydali okrzyk zdumienia i podziwu. Zaraz zasypali ją nowymi pytaniami.

– A gdzieś je spotkała?

- A te żmijowe stwory widziałaś?
- Czy całkiem nagusieńkie latają?

I tak zleciał wieczór cały. Kobieta nigdy nie była bardziej szczęśliwa. Córka zdrowa i z dobrą wróżbą na przyszłość, a jeszcze do tego uznanie we wsi całej.

Jedynym, który o nic nie pytał, był pewien młody pastuch. Cały wieczór słuchał uważnie opowieści, ale nie ozwał się ni słowem, bo zwykle śmiano się z niego, że głupi. Głupi istotnie był, ale swoim małym rozumem umyślił, że polezie na tę polanę i wiły w tańcu podpatrzy.

Jak pomyślał, tak i uczynił już następnego dnia. Ukrył się w komyszach i czekał. Koło południa zleciały z nieba żmije, a na nich dzikie panny, takie jak opisywała baba we wsi. Rozpoczęły swój taniec i nie trwało długo, jak wypatrzyły pastucha ukrytego w zaroślach.

- A cóż to za nowego gościa mamy, siostrzyczki?
- No chodź, chodź do nas bliżej!
- O! Jaki przyjemny chłopaczek, jak malinka.
- Co za odmiana! Ostatnio tylko jakaś baba nas tu nachodziła!

Wiły śmiały się i wyły z uciechy, krążąc wokół ogłupiałego chłopaka. Zaczęły go popychać do siebie nawzajem, tak żeby każda mogła dotknąć młodzika. Szarpały mu ubranie i rychło wciągnęły do tanecznego koła. Wirowały wokół niego, zmuszały do dzikich płasów i obłapiały ze wszech stron.

Szalony ten taniec trwał i trwał. Słońce skryło się za górami, a wiły dalej nie miały dość. Chłopak już dawno opadł z sił i próbował się nawet uwolnić, ale był bezradny wobec zatraconych w chuci panien. Męczyły go aż do świtu. Dopiero kiedy pierwsze promienie słońca zamajaczyły wśród konarów drzew, pozwoliły mu odejść. Na odchodnym jedna z sióstr rzuciła:

- Pewno po wróżby tu przyszedłeś. To masz! Wystrzegaj się gradu!
- Potem same pokładły się spać, wtulone w pierzaste cielska żmijów.

• • •

Pastuch dotarł do wsi przed południem. Snuł się między chatami bez celu i powtarzał w kółko:

- Grad nadchodzi! Grad nadchodzi!

Znaleźli go wieśniacy, kiedy próbował schować się w stogu siana.

– Cóż ty wyprawiasz? I gdzieś był noc całą?

– Grad nadchodzi! Grad nadchodzi!

Zaniepokoił się wszyscy, bo pastuszek zawsze za głupiego uchodził, ale nikt nie posądzał go o szaleństwo. Długo próbowano uspokoić chłopca rozmaitymi prośbami i napitkami. W końcu jego wzrok skupił się w jednym punkcie i zdawał się rozumieć zadawane mu pytania.

– Co się stało? – pytali starsi.

– Grad! Tańcz! Wiatr szumi!

– Zmysły postradał – wołano. – Coś strasznego go spotkać musiało.

– Żmije! Wiły! Wystrzegaj się gradu! – krzyczał pastuch.

Powoli zaczęto rozumieć, co przytrafiło się młodzikowi.

– Jaki grad?! – wołał ktoś z tłumu. – Cóż on opowiada?!

– Może go te wiły oczarowały i do szaleństwa dowiodły? – krzyczał wtóry głos.

– Biesy to przebrzydłe!

– Wszystkich nas do zguby dowiodą!

– Niech je Nawie pochłoną!

Wieśniakom nie trzeba było niczego więcej. Szybko podchwycili złorzeczne okrzyki i zapalali żądzą zemsty na nienawistnych, rozwiązłych biesach. Chwycili za widły i siekiery, porwali kije i płonące polana. Uzbrojona wściekła tłuszcza ruszyła w góry szukać sprawiedliwości i krwi.

Dotarli na przeklętą polanę, umiłowaną przez wiły. Rozbiegli się we wsze strony, ale nic nie znaleźli. Polana była pusta i głucha. Jedyne ślad, jaki po córach Strzybożych pozostał, to okrąg wydeptanej trawy. Spojrzeli po sobie i bezradnie opuścili broń.

Szli zawiedzeni w stronę wioski. Las rzednął. Oczom ich ukazało się nareszcie sioło oraz to, co nad nim zawisło. Ogromna chmura, nabrzmiąta czernią i jarząca się blaskiem piorunów kłębiła się nad dachami ich domów i polami zbóż. Nagle, na ich oczach, z chmur oberwał się grad okrutny. Wieśniacy patrzyli bezradnie, jak uprawy ich padają pod bezlitosnym deszczem lodowych kul.





BIESY LEŚNE

Leszy i mamuny

Pewien młody łowca pragnął ojcu pokazać, że w sztuce łowieckiej jest niezgorszy i dorównać mu potrafi. Ruszył więc w las zbrojny w łuk i długi nóż na wielkiego zwierza przeznaczony. Rychło natrafił na ślady łani i tropił ją przez długi czas. Stąpał ostrożnie, by lękliwej zwierzyny nie spłoszyć. Przystawał i nasłuchiwał, ślady uważnie oglądał, aż dotarł do jaru, gdzie, zdało mu się, Dola ziściła jego pragnienie. W grzęzawisku o żabi skok oddalona stała uwięziona łania. Ucieszył się chłopak, że dobrze tropy odczytał i zwierza okazałego bez wysiłku dopaść może.

Ojciec zawsze mawiał mu, że myśliwy z łukiem i szypami na polowanie rusza, a zwierza dziki w moce natury zbrojny jest. Węch i słuch ma doskonały, przez co z myśliwcem w starciu równać się może, a nawet i prześcignąć go jest zdolny. Dlatego też hańbą jest zwierza w potrzasku mordować, gdy ten nijak z przymiotów swoich użytku zrobić nie zdoła. Rodzic przestrzegał go również przed gniewem Leszego, pradawnego pana lasu i zwierzyny opiekuna, co świętokradców, którzy dopuszczają się podobnych występków, srogo karze. Młody jednak zapałał żądzą zdobyczy jako jaźwiec. Rady ojcowskie za nic sobie mając, dobył noża z pochwy i ruszył ostrożnie w kierunku łani. Zwierzę, wyczuwszy niebezpieczeństwo, próbowało wyrwać się z bagnistej pułapki. Rozpaczliwie szamotało się w błocie zatopione w nim po szyję.

Myśliwiec zanurzony był już w bagnie po pierś, gdy znalazł się blisko swej ofiary. Uniósł nóż, by zadać śmiertelny cios. Wtedy właśnie usłyszał złowieszczy warkot. Sfora rozszalałych wilków otoczyła grzęzawisko, bestie szczyrzyły kły w stronę młodego łowcy. Chłopak zamarł z przerażenia. Wilki jednak nie rzuciły się na niego, krążyły tylko wokół, nie pozwalając mu opuścić bagna.

Chwilę potem po lesie rozniósł się donośny dźwięk rogu. Myśliwiec spojrzął w stronę, z której zdawała się dolatywać melodia. To, co ujrzął,

sprawiło, że serce zamarło mu w piersi, włosy stanęły na głowie i chłód wielki przeszył jego ciało. Z leśnej gęstwiny wynurzył się przedziwny orszak. Na jego czele stąpał dumnie ogromny jeleń. Poroże jego ledwie mieściło się między pniami drzew. Rogacza dosiadał potężny mąż. Wygląd miał dziki jak bór: włosy i broda splątane kołtunami opadały na szeroką pierś i przysięgłby chłopak, że zarost jego miał barwę zieleni. Jeźdźcowi towarzyszyły dzikie zwierzęta. Szły z nim dziki, sarny i łosie, a na końcu pokornie i ciężko stąpały dwa niedźwiedzie.

Chłopak wiedział już dobrze, z kim przyszło mu się spotkać, i gdyby nie bagno, padłby przed Leszym na kolana. Chciał pozdrowić go, chwalić, dziękować i przeproszać jednocześnie, lecz wiedział, że źle postąpił i bał się odezwać do pana lasu. Ten zsiadł ze swego rogatego wierzchowca i podszedł do uwięzionej łani. Za sprawą czarów chyba nie zapadł się w bagno, ale kroczył po nim jak po udeptanej drodze. Pomógł zwierzęciu wydostać się z grzęzawiska. Łania wtuliła łeb w wybawiciela, podczas gdy ten głaskał ją pieśczołliwie. Gdy umknęła wolna, Leszy zwrócił się do łowcy.

– Kto dał ci prawo niewinne istoty życia pozbawiać?

Chłopak ze wstydu i strachu tylko głowę pochylił, więc wielki mąż mówił dalej:

– Czy nie wiesz, że zbrodnia jest przeciw przyrodzie, to coś chciał uczynić? – ciągnął Leszy.

Młodziak zebrał całą swą odwagę i przez zaciśnięte gardło wyksztusił:

– Wiem, panie, chęć zdobyczy mi rozum zaćmiła i wszystkie ojca przestrogi zabyłem.

– Ojciec twój dobrze cię wyuczył, bom go nieraz podpatrywał na łowach, tobie jednak rozumu zabrakło. Chciwość cię zaślepia i śmierć zwierzynie niesiesz nie z potrzeby, ale ze swojej próżności. Zbrodnia to straszna i młody wiek cię nie usprawiedliwia, dlatego kara będzie sroga – powiedział, po czym dosiadł jelenia i puścił się dzikim galopem w głąb jaru, a jego zwierzęcy orszak pognał za nim.

Łowca gramolił się na brzeg, a myśli mieszały mu się zupełnie. Radość czuł, że cało wyszedł z tego spotkania, ale większy był niepokój rozniecony zapowiedzią kary. Z lękiem spojrział w niebo, gdzie Dadźboży szczyt nikał już za drzewami. Zziębnięty i zmęczony ruszył do swej rodzinnej osady.

•••

Szedł i szedł znanym sobie szlakiem, a gdy osiągnął połowę drogi, było już zupełnie ciemno. Chociaż znał ten las od dziecka i nigdy w nim nie zabłądził, tym razem mrok był tak gęsty i nieprzenikliwy, że nijak nie wiedział, w którą stronę powinien dalej kierować swe kroki. Wtem z ciemności dobiegł do jego uszu dziecięcy śmiech. Zdało się, iż rozpoznaje głosy dziecięce ze swej osady.

„Jestem uratowany – pomyślał – wieś musi być już gdzieś blisko”.

Ruszył w kierunku, z którego dobiegały głosy. Szedł powoli, bo co rusz potykał się o korzenie i zwalone pnie drzew. Dziecięce śmiechy zdawały się jednak oddalać, aż wreszcie umilkły zupełnie.

– Ki bies?! – zaklął głośno. – Czy mnie już własne uszy mylą?!

Chłopak popadał w rozpacz. Chciał nawet legowisko sobie szykować, by do brzasku dotrzeć i za widoku drogi powrotnej szukać, ale przemoczone odzienie dawało mu się we znaki przenikliwym chłodem i bał się, że świtu może nie doczekać.

Rozglądał się wokół, żeby w mroku dojrzeć jakiś znajomy kształt czy blask ognia. I rzeczywiście, po chwili między pniami zamajaczył ognik. Otucha wstąpiła w młode serce. Pomyślał, że jednak dobrze go głosy zaprowadziły i wreszcie widzi płomienie ogniska we wsi. Żółtawe światło drgało w mroku bladą plamką. Poszedł w jego stronę. Wnet poczuł jednak, że grunt pod jego stopami staje się miękki i grząski. Zapatrzony w nikły płomyk poślizgnął się i runął w cuchnące przegniłą roślinnością bajoro. Wypełznął z niego, krztusząc się błotem, i usiadł ciężko na zwalonym pniu. Wodził wzrokiem po okolicy. Wpatrywał się w mrok, gdzie jeszcze przed chwilą widział zbawienne światło, ale nic nie dojrzał. Ognik zniknął. Ubranie znów miał przemoczone do cna. Chłód i odór okropny mąciły mu w głowie. Wtem nowe światło zabłysło w oddali.

Łowca zapłakał nad swym losem. Zrozumiał bowiem, że to mamuny zwodzą go po lesie w postaci głosów i świateł i że pewnie jest to kara, którą zapowiedział mu rozgniewany Leszy. Cóż mógł począć, nieborak? Siedzieć tu i zmiłowania czekać nie mógł. Że sam do wioski trafi – nie było nadziei. Może poddać się karze, która słusznie na niego spadła, i liczyć, że pan lasu zechce go jednak oszczędzić, skoro raz już życie mu darował.

Wstał więc i poszedł za nowym światłem, które tym razem skrzyło się zielenią. Niepodobna orzec, ile trwała jego wędrówka. W końcu usiadł zmordowany pod starą, rosochatą wierzbą. Oparł się placami o pień, a długie witki drzewa opadły mu na ramiona. Gdy złapał oddech po długiej

wędrówce, podniósł się i rozchylił dłońmi gęstwiny gałązek. Niespodziewanie poczuł, że są bardzo ciepłe i oplatają się wokół jego ramion. Stracił jedną z nich na ziemię i dostrzegł, że nie witka to, lecz żmija, a on stoi w kłębiącym się węzowisku. Gady zasyczały złowieszczo. Młodziak próbował się stamtąd wyrwać, ale dziesiątki węży spadło na niego z konarów. Krzyczał przerażony, czując wzrastające obrzydzenie. Wybiegł z gniazda żmij, zrzucając z siebie ohydne gadziny.

Sroga zaiste była wymierzona mu kara. Młodzieniec szedł teraz, szlochając i śmiejąc się na przemian, bo strach, ziać i zmęczenie pomieszały mu zmysły. Włókł się za nowym światłem. Błądny ognik pojawił się ponownie. Barwę miał błękitną, ale młody nie zwracał już na to uwagi. Po prostu podążał za nim bezmyślnie, czując, że i tak wiedziony jest w nowa zasadzkę. Ku jego zdumieniu ognik zatrzymał się nagle, niemal mógł go teraz dotknąć. Stał tam przez chwilę, wpatrując się w pulsujące światło swego przewodnika.

Znikąd dobiegło go przeraźliwe krakanie i wielkie stado kruków spadło na niego z ciemności. Chłopak bronił się i krzyczał. Zasłaniał twarz ramionami, ale wściekłe ptaki szarpały go ostrymi szpony i dziobały bezlitośnie jego ciało. Biegł na oślep, błagając o litość i przeprasząc za swój haniebną czyn. Ptaki zniknęły tak nagle, jak się pojawiły. Rzekłbyś, wtopiły się w mrok.

• • •

Stary myśliwy nie spał tej nocy. Z chaty zniknęły łuk i nóż, jednak najbardziej zaniepokoiło go zniknięcie syna. Stary wiedział, że chłopak jest dumny i prędzej czy później zechce zapolować na własną rękę. Nie sądził jednak, że dzieciak zniknie na całą noc.

Zaniepokojony ojciec od świtu przemierzał skraj lasu w nadziei, że rychło ujrzy powracającego syna. Wzbierał w nim gniew na lekkomyślność i nieposłuszeństwo potomka, ale czuł też żal do samego siebie, bo twardą ręką go chował i bał się, że przez swą surowość do pochopnych czynów go przywiódł.

Gdy tak borykał się ze sprzecznymi uczuciami, z lasu wyłonił się człowiek. Twarz jego była szara i poznaczona mnogimi ranami. Myśliwy ledwie poznał w nim swoje dziecko. Młody łowca nie miał przy sobie łuku

ni noża. Zgubić je musiał w trakcie trudnej przeprawy przez bagna. Ojciec odgadł to z odzienia, które wisiało teraz na chłopaku brudne i potargane. Podbiegł do niego i chwycił w ramiona.

– Synu! – zawołał. – Któż ci to uczynił?!

W odpowiedzi usłyszał jedynie krzyki i jęki. Młodzieniec miotał się rozpaczliwie, próbując wyrwać się z jego uścisku. Ojciec puścił go i bezradnie obserwował, jak szalony syn wije się na ziemi, łkając i bełkocząc niezrozumiale.







Wilkołak

– I każdego miesiąca to samo – gorączkował się chudy pastuch. – Dziś w nocy znów dwie sztuki.

– Ostatnio jedna tylko zniknęła – dodał inny.

– Tylko jedna, dzisiaj dwie, niedługo żadna się nie ostanie! – ryczał wściekły gospodarz.

Pastuszkowie stali w izbie ze zwieszonymi głowami i nie śmieli nawet spojrzeć na kipiącego gniewem ojca.

– Nawet owiec upilnować nie umiecie, barany! – wrzeszczał. – Za co mnie bogowie pokarali takimi synami?

– Tatko, przecie zawsze zadbane i oporządzone – tłumaczył chudy, który skulił się tak, że wyglądał jeszcze mizerniej. – Jeno co Chors w pełni, to nam się wilk do zagrody zakrada.

– Co my na wilka możemy? – podjął młodszy brat. – I nas rozszarpie.

– Wilk, mówicie? – zainteresował się stary, a gniew już mu nieco zelżał. – A skąd niby wiecie, że to wilk, ha?

Bracia spojrzeli po sobie.

– A kto niby? Człowiek?

– A truchła wyżarte znaleźli przy zagrodzie? – dopytywał ojciec.

– Nie, pewno do lasu zaciąga i tam pożera.

– Głupiś! Wokół zagrody sprawdzili?

– Sprawdzili i nic nie było ani krwi, ani kosteczki jednej.

– Jak Chors w pełni, mówicie? – ciągnął gospodarz. – A dziada się słuchać o biesach leśnych nie chciało, ha?

– Jakich biesach? – chłopcy zbledli. – Nie strasz, ojciec! Że niby nam biesy owce kradną?

– Przy pełni to różne dziwadła z boru wyłazą. A na owce to wilkołak najbardziej łakomy jest. Taki to ni człek, ni wilk. A siłę ma taką, że by i trzy owce głęboko w las zatargał.

– O bogowie! – lamentowali synowie. – Miejcie litość!

– Nie bogów teraz wzywać, ino straż na noc postawić w zagrodzie – rzekł ojciec i spojrzął z góry na przerażonych synów.

Ci zaś patrzyli po sobie w milczeniu.

– Straż? – wykrztusił w końcu jeden. – Przecie my sobie z wilkołakiem rady nie damy.

– Stasiek to może by poradził – dodał drugi. – Ale my?

– A pewno! – nachmurzył się znów ojciec. – Stasiek i Stasiek. Wszystko na brata zwalacie, bo najstarszy i jeden się do czego użytecznego nadaje. Owce mają być upilnowane, a jak to zrobicie, to już wasza rzecz.

Gospodarz usiadł na ławie przy ogniu i zaczął grzebać badylem w palenisku. Chłopcy wiedzieli, że rozmowa dobiegła końca.

• • •

Od onego wieczoru synowie straż przy zagrodzie pełnić poczęli. Kiedy jeden pół nocy przy owcach spędził, drugiego budził, ażeby go na warcie zastąpił. Nic się jednak niepokojącego nie stało. Przeszedł był nów i półpełnia. Czasem jakiego lisa który odgonił, ale ani wilk, ani tym bardziej wilkołak się nie pojawił. Pastuszkowie przekonani byli, że się już nic złego nie stanie. Z pełnienia nocnej straży zrezygnować chcieli, tym bardziej że ich ojciec nastraszył biesami, co w pełni Chorsa po świetle hulają. Stary jednak był nieprzejednany i zgromił ich surowo:

– Do pełni chociaż wytrwajcie, niezguły leniwe! Strach was pewno obleciał, ha?

Chłopcy bali się ojca jak ognia, jednak nie w smak im było Dole kusić, toteż do brata po prośbie poszli.

– Staśku, dopomóż – wołali jeden przez drugiego. – Stańże na warcie przy owcach, gdy Chors w pełni zaświeci.

– A to nie wam ojciec kazał wartę czynić? – odparł. – Nie dość ja mam swoich spraw na głowie?

– Ale Staśku, ty odważny i mocny. My z tobą w noc pójdziemy, ognia skrzeszemy i spał będziesz, a jakby się jakie lichy pojawiło, to nas wyratujesz.

– Może to i racja, że co trzech to nie jeden. Ale mnie za dwa dni do grodu jechać trzeba, bo kupcy się z północy zjeżdżają i towar wszelaki za skóry baranie dostać można.

Nie było sensu dalszym namowom, bo gospodarz najstarszemu synowi na wszystko zezwalał i rad był, że ten się kupiectwem zajmuje. Zatem gdy tylko Stasiek wyjechał na targ, uzbroili się obaj w widły i z niepokojem

czekali nocy. Chociaż dzień cały był słotny, pod wieczór wiatr się zerwał i chmury przegonił, zostawiając niebo czystym. Chors wytoczył się na sklepienie jeszcze przed zmierzchem, ukazując swoje blade pełne oblicze.

Nim zmrok zapadł, pastuszkowie rozpalili przy zagrodzie ogień dla dodania sobie otuchy. Jasno było od blasku miesiąca tak, że łąki do samej ściany lasu widzieli wyraźnie. Wbijali więc wzrok w spowity mrokiem las, skąd mogło ukazać się niebezpieczeństwo.

Nic jednak nie zakłócało nocnej ciszy, trzoda spała, ogień grzał przyjemnie, więc i czujność strażników zmalała. Rozsiedli się przy palenisku i poczęli drzemać. Z błogiego półsnu wyrwał ich nagle harmider okrutny. Owce zaczęły beczeć przeraźliwie i kotłować się w zagrodzie. Chłopcy zerwali się na równe nogi i pochwycili widły. Ramię w ramię, lecz ostrożnie i wolno, ruszyli w stronę obejścia.

Wtem spostrzegli intruza. Tuż przy belce drewnianej owca leżała, a nad nią stwór jakowyś. Bracia zamarli. Potwór podniósł łeb i spojrzął w ich stronę. Postać miał szkaradną: na tylnych łapach stał niby człek, ale zgarbiony był jako dziad stary. Mimo tego wzrostem przewyższał najroślejszego męża. Całe ciało miał sierścią pokryte, a z łba na szerokim karku osadzonego sterczały spiczaste uszy. Oczy wściekle błyskały czerwienią znad długiego pyska ociekającego krwią dopiero co zagryzionej owcy. Bracia cofnęli się ku ognisku. Wilkołak przesadził ogrodzenie i ruszył z wolna w ich stronę. W blasku ognia zobaczyli wyraźniej, że więcej on miał z wilka niż z człowieka i teraz zbliżał się do nich na czterech łapach.

Jeden z braci, nie wiedząc, co czynić, ujął płonąca żerdź i cisnął w biesa. Ten uskoczył, warknął przeciągle, tocząc pianę z pyska, ale zatrzymał się i nie postępował dalej ni kroku. Ujrzeni teraz jego wilczy ogon, który rychło podkulił. Zachęceni powodzeniem bracia, podjęli z ogniska iskrzące polana i natarli na stwora. Wilkołak począł się cofać. Ujrzawszy, że ognia się boi, skoczyli chłopcy obaj ku niemu, wymachując polanami. Ten odwrócił się i poniechawszy zdobyczy, umykać chciał do lasu. Nim jednak skoczył, pastuszkowie natarli widłami. Jeden z zębów dosięgnął celu. Skowyt żaloszny przeszył powietrze, a w głosie tym dosłyszeli jęk ludzki i jakby znajomy... Był to krzyk tak przeraźliwy, że bracia stanęli zdrewniali. Wilkołak skorzystał z ich zawahania i kulejąc, pomknął w knieje.

Bracia wrócili tej nocy do chaty, choć wiedzieli, że żaden już oka nie zmruży, a czekać będzie świtu, by ojcu zdać sprawę z wypadków. Gdy nastał dzień, opowiedzieli ojcu o dziwnym zdarzeniu.

– I widłami żeście go ranili, ha? – dopytywał zdumiony.

– Tak było – odrzekli. – Owcę nam pierwiej zagryzł, bośmy nie słyszeli, jak się był zakradł pod zagrodę.

– To trzeba do starszych się udać po radę – odparł gospodarz. – Oni więcej się znają na biesowych postępках.

Tak też uczynili. W chacie najstarszego z dziadów zasiedli i całą sprawę wyłożyli.

– Jeśli tak było – rzekł stary – jako mówicie, to zaiste z wilkołakiem sprawa. A sprawa to niełatwa. Wilkołak z klątwy Welesowej się rodzi. Kiedy na człowieka czarownica czy czarownik czar rzuci za jaką zniewagę doznaną, to wtedy taki w każdą pełnię wilczą naturę przybiera. Na trzodę napada, a czasem i na ludzi. Po pełni znów się człowiekiem staje i między innymi żyje. Trudno takiego poznać, bo się wilkołak dobrze ukrywa.

– Co mówicie?! – rzekł najmłodszy syn gospodarza. – To znaczy, że on może wśród nas we wsi żyje?

– Ano może i żyje.

Wtedy to właśnie usłyszeli rzenie konia. Wyszli przed chatę, gdzie akurat Staśko wozem podjechał.

– A jesteście wreszcie – zawołał ojciec. – Dobrze, bo nieszczęście wielkie na dom spadło.

Stasiek spoglądał na nich zdziwiony i jakby niepewny, co czynić. Wreszcie zgramolił się z wozu i stanął przed zgromadzonymi.

– A co tobie? – zapytał jego brat. – Kulejesz?

– Nic, pies mnie ino w grodzie pokąsał – tłumaczył Staśko. – Ale nic to, wydobrzeję.

Ojciec jednak spoglądał na niego uważnie spod brwi ściągniętych i począł dopytywać:

– A jakże tam na targu było, he? Nabyłeś jakie dobra?

– Nic żem nie nabył, bo i kupców mało dotarło do grodu.

Stary nie dał się jednak zbyć wymówką.

– A może ty do jakiej baby jeździsz, bo coś dawno nic z tych targów nie zwiozłeś?

Stasiek nie odpowiedział, tylko cofnął się w stronę wozu.

– Bracia twoi w nocy wilkołka widłami poszczerbili – ciągnął. – A ciebie, jako zwykle w pełni, w chałupie nie było.

Teraz dopiero do głupawych pastuszków dotarło, do czego ojciec zmierza. Pochwycili brata za ramiona, a ojciec rozpruł mu nogawkę i zerwał skrwawioną szmatę, którą noga była owinięta. Ich oczom ukazała się rana, ale nijak do psiego ugryzienia niepodobna.

– A więc to tak! Tyś jest wilkołek przeklęty! – zakrzyknął stary dziad. – Szukacie biesa, a on pod waszą strzechą żyje.

– A juści! – rozległ się głos młodszego z chłopaków. – Tak mnie się zdawało, że we wrzasku potwora znajomy głos poznaję.

– Spętać mi go, synkowie! – rozkazał ojciec, ale nim ci się do powrozów dobrali, Staszek wyrwał się z ich uścisku nadludzką jakąś mocą i na wóz skoczył. Lejcami strzelił konia po zadzie, a ten pognał jak oszalały w dal. I tyle go widzieli.

• • •

Młodzi pastuszkowie czas jakiś szukali brata po lesie, lecz ni śladu nie znaleźli. I znowu miesiąc przeminął w ich obejściu spokojnie. Jednak w sercach wszystkich domowników zagnieździł się strach i niepokój. Obawiali się, że wygnany brat powróci, aby zemścić się za doznaną krzywdę, jako że spętać go chcieli niby barana na rzeź wiedzionego. Szybko ich obawy niepłonnymi się okazały.

Nadeszła kolejna noc, którą Chors w pełni rozświetlił swym zimnym, mlecznym blaskiem. Gospodarz zaryglował drzwi i nie bacząc na stado owiec, co zostało w zagrodzie, zapowiedział synom, że tym razem samotrzeć do rana czuwać będą w izbie, aby ich złe nie zaskoczyło. Jakoż zebrali się przy palenisku z siekierami naszykowanymi na potwora, a żeby dodać sobie odwagi, przytoczyli i antał miodu, co był na gody trzymany. Noc długa i moc trunku zmorzyły ich skoro. Rychło drzemać poczęli. Zalegając izbę ciszę zakłócał jeno wiatr świszczący w szparach między belkami.

Nagle zbudził ich trzask łamanego drewna. Wszyscy trzej podnieśli głowy, a oczom ich ukazał się widok straszny. Oto wilkołak stanął w odrzwiach, wyłamawszy skobel, który pod naporem jego potężnego cielska rozprysnął się w drzazgi. Nim zdążyli unieść siekiery, potwór

dopadł szyi średniego brata i jednym kłapnięciem szczęki odgryzł mu głowę. Krew trysnęła obficie. Ojcu na ten obraz straszliwy opadły ręce, siekiera wypadła z dłoni i zrozpaczony padł na kolana.

– Cóżżeś uczynił?! Zabiłeś rodzzonego brata – zwrócił się rozpaczliwym głosem do potwora.

Ten wydał z siebie tylko ryk plugawy i bez litości rzucił się na rodzica. Wpił się pazurami w jego pierś, rozerwał ciało i zębiskami wyrwał serce, które wnet pożarł. Gdy pastwił się nad ciałem nieszczęsnego gospodarza, brat jego najmłodszy, wiedziony jedynie strachem, bo rozum niemal mu odjęło na widok tych okropności, rzucił się do ucieczki. Wybiegłszy na obejście, pomknął do zagrody, przesadził ogrodzenie i zwinął się jako dziecko wśród trzody. Targany dreszczami przeleżał tak aż do piania koguta, ściskając w dłoniach siekiere.

• • •

Świt był blady i chłodny. Zapiał kur. Mgły podniosły się na łąkach, a ptak jakiś rozpoczął swe śpiewy najpierw cicho, nieśmiało, potem śmieiej. Odpowiedział mu trel odległy i tym więcej zachęcił do kwileń. Rychło zewsząd ozwały się głosy ptasie i wrzawa ich rozmów pobrzmiwała nad wsią. Kto by wyszedł przed chatę, pomyślałby, że to najspokojniejszy z poranków w najcichszym zakątku świata. Ale nikt przed chatę nie wyszedł pomny potwornych wrzasków, jakie noc przyniosła. Wieśniacy siedzieli w domostwach, nie śmiejąc nosa za próg wystawić. Toteż nikt nie widział, jak z tego sennego obrazu budzącego się dnia wychodzi spowity mgłą mąż. W koszuli jeno, z włosom rozwianym, szedł chwiejnie, dzierząc w ręku siekiere. Oczy miał szalone, jakby niewidzące świata, w jeden punkt odległy wlepione. Błysk był w nich taki, że nawet ptactwo umilkło z obawy, co człek ten uczynić może.

A był to pastuch, odmieniony przez ujrzenie okropności i zimną noc nieprzespaną, syn rozszarpanego gospodarza i brat pozbawionego głowy młodzieńca. Dotarł przed swe domostwo, ale nie wszedł do izby, jeno w pozbawionym drzwi wejściu stanął i wpatrywał się długo w ciemny otwór izby. Żadnego krzyku ni jęku rozpaczy z siebie nie wydał, odwrócił się tylko i poszedł w stronę lasu. Odprowadziło go drugie pianie kura.

Mgły opadały powoli, a pierwszym promieniom słońca udało się przedrzeć przez szarość poranka, kiedy młodzik wszedł na leśną polanę. Na jej środku leżał wilkołak. Spał na boku, tak że pastuch widział wyraźnie jego włochatą pierś unoszącą się w szybkim oddechu. Pysk i łapy miał krwią pokryte, a wokół nich wały się strzępy mięsa. Czy były to szczątki nieszczęśników nocą zamordowanych, czy też pozostałości po innej ofierze biesa, nie sposób było rozstrzygnąć.

Pastuch zbliżył się do potwora i z całą mocą kopnął go w szczękę. Wilkołak w mgnieniu oka zerwał się na tylne łapy. Spostrzegł brata, wyszczerzył potworne zębiska i zawarczał ostrzegawczo. Nie było wątpliwości, że gotuje się do skoku. Nic by wtedy nie uratowało nieszczęsnego pastuszka, który najwyraźniej do lasu ruszył, żeby śmierci szukać, gdyby nie nagłe zdarzenie. Oto kur we wsi zapał po raz trzeci. Człowiek i bies dosłyszeli jedynie echo odległe tego pienia, jednak i to wystarczyło. Wilkołak zaryczał przeciągle, zgiął się wpół i na oczach brata począł się przemieniać. Pysk wilczy kurczył się, a wraz z nim zęby. Uszy szpiczaste opadły i jako wosk stopiony spływa po świecy, wracały na ludzkie miejsce. Sierść niknęła na pysku, który teraz zaczął przypominać twarz ludzką, a oniemiały pastuch już dopatrywał się w nich rysów Staśka. Ciało wilkołaka nadal było zwierzęce i jeno głowa odzyskała dawny kształt.

Stasiek spojrzął na brata, lecz w jego oczach nie odnalazł ani współczucia, ani litości. Oszalały młodzian nie widział nic prócz zniecierwiłej twarzy umazanej krwią ojca i brata. Bies nadal odzyskiwał swą postać, a ta czartowska przemiana musiała być dla niego bolesna, bo padł na kolana i wsparł się łapami o ziemię. W powietrzu rozległ się świst i ostrze siekiery mignęło w porannym blasku. Głowa Staśka spadła na trawę. Posoka zmieszała się z poranną rosą. Wilcze cielsko runęło bezładnie na ziemię, a kudłate kończyny orały darń w pośmiertnych drgawkach. Wilkołak był martwy.

• • •

Nie wiadomo, co stało się z młodym pastuszkiem. We wsi mówiono, że wyszedł z lasu, przeszedł przez wieś i nawet do rodzinnej chaty nie zajrzawszy, powędrował przed siebie. Nikt go więcej nie widział ani wieści o nim nie słyszał.

Wieśniacy natomiast, zebrawszy się do kupy, poszli w las i na polanie znaleźli wilcze truchło i urżnięty łeb Staśkowy. Na tejże krwawej polanie, za radą starca, stos ustawili i szczątki biesa rzucili w ogień. Długo płonął stos, a jeszcze dłużej modły do bogów wznoszono. Prosilili ludzkie o ochronę przed wilkołakiem, obiecując żertwy obfite, żeby tylko już nigdy do osady nie wrócił. Popioły ze stosu dokładnie zebrano i w bagna pobliskie rzucono.

Bogowie musieli żertwy przyjąć i próśb wysłuchać, bo się więcej nikomu nie zdarzyło widzieć wilkołaka, ale historię o nim opowiadano jeszcze długo po śmierci ostatniego z naocznych świadków.



CZĘŚĆ III

JUNACY

Niewiele wzniesiono świątyń słowiańskim bogom. Stawiały je jeno najzamożniejsze i najprzedniejsze plemiona. Na zachodzie przybytki owe zwano kąciami, na wschodzie zaś chramami. Sławą największą cieszyły się: Wolin Pomorzan, Radogoszcz Wioletów, Arkona Ranów i ruski Kijów. Zwykle jednak cześć oddawano bogom pośród przyrody. Umiłowali oni sobie wiele rzek, leśnych uroczysk, prastarych gajów, a zwłaszcza gór. Były to miejsca święte. Świętym mógł być także samotnie stojący dąb czy lipa.

Pośród gór największą czcią – obok Łysej Góry, zwanej Łyścem, którą upodobały sobie wiedźmy – cieszyła się Ślęza. Nazwę swą dzieliła z potężnym plemieniem Ślęzan i po dziś dzień nie wiadomo, czy ją od ludu owego nazwano, czyli też lud od niej. Wznosiła się ponad lasami, co rozciągają się od gór sudeckich aż po prastarą rzekę Odrę. Otoczona osadami licznymi, stała się miejscem składania żertw w święta rozmaite, na które ludzie schodzili się z daleka i bliska.

Przez wieki w czasie licznych uroczystości góra rozświetlała się blaskiem setek ognisk, rozbrzmiewała graniem gęśli i śpiewem płynącym z tysięcy gardeł. Do świtu słyhać wtedy było radosne okrzyki roztańczonych par. Gdy jednak piastowski książę Mieszko, co górę wziął był we władanie, chrzest przyjął od wyznawców krzyża, poczęto zakazywać owych obrządków.

Pomimo srogich kar miejscowi wciąż potajemnie schodzili się na szczycie Ślęzy, by bogom przodków swoich należną cześć okazywać. Słowianie wierni obyczajom nauczyli się już, by ostrożność i czujność zachować. Udawali się co prawda na szczyt świętej góry, ale wielkich ognisk nie palili i zaniechali głośnych śpiewów, by swej bytności nie zdradzić. Książęcy namiestnicy wysyłali często swoich wojów, ażeby ci czcicieli pogańskich bałwanów chwyтали i przed sąd wiedli. Ci jednak zwykle udawali, że niczego nie widzą, bo sami kochali starych bogów, a niejeden z nich jeszcze pod koszulą skrywał wisior ze swarzycą. Mimo to jednak obnosić się z nieposłuszeństwem wobec książęcych nakazów było

nierozsądnie. Byli i tacy przecież, co dla własnej korzyści donosili namiestnikom o zakazanych obrzędach i ich uczestnikach.

Działo się to w czasie wiosennej równonocy, kiedy wypada Jare Święto. Na szczyt przybyła liczna grupa wiernych prowadzona przez sędziwego starca, który sprawiwszy żertwę i wrzuciwszy małą kukłę Morany – pani zimy i moru – w skromne ognisko, zasiadł przy ogniu i wpatrywał się w płomień, milcząc. Pozostali rozsiedli się opodal, a samego starca otoczyły dzieci. Ten spojrzął na nie, a w oczach jego malował się smutek głębszy niżli czeluści Welesowego władztwa.

– Dziaćki biedne – rzekł wreszcie – na jakim świecie wam dorastać przyszło? Bogowie, wejrzyjcie na niedolę ludu swego!

Dzieci nie zrozumiały jego słów, bo wiek młody wolny jest od trosk, a zmartwienie nawet największe wnet w radosny szczebiot przemienić się umie. Serca dziecięce są jednak wrażliwe na niedolę bliskich i dostrzec potrafią więcej, niżli się dorosłym wydaje. Zaraz najmłodszy wtulili się w niego, głaszcząc po siwej brodzie, a starsi nieco poczęli go pocieszać:

– Nie smuć się, dziadku, i nie martw się o nas.

– No właśnie!

– Przecież nam tu dobrze! – wołali.

Starzec odpowiedział:

– Ach, nie wiecie jako drzewiej bywało, gdy wiary naszej nie trzeba było się wstydzic, a wręcz chwalebny było o niej pamiętać. W czasach tych obcy drżeli przed naszymi bogami, a sława słowiańska sięgała najdalszych krain świata.

– O, bogowie! Jakże to było? – wołały rozochocone dzieci. – Opowiedz, dziadku, opowiedz!

– Niegdyś wśród Słowian rodzili się mężowie potężni, junakami zwani. Prawiono, że są potomkami samych bogów, że ich moce posiadli. Junacy owi mężni byli i silni. Wrogów naszych gromili, co im dało sławę wielką.

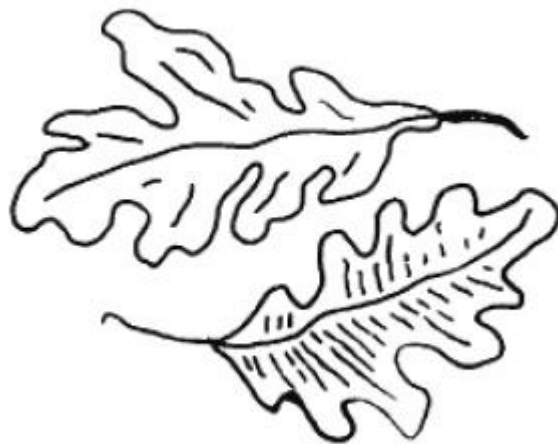
– A jak to było na początku? – dopytywały otroki. – Jaki to junak pierwszy nas sławą okrył?

– Pierwszy? – starzec zamyślił się. – Pierwszy z wielkich junaków nie urodził się wśród Słowian. Z obcego pochodził narodu.

– To opowiedz, dziaduniu, opowiedz!

Dziad ujął w dłonie gęśle i struny szarpnął, po czym rozpoczął opowieść:

– Było to w czasie tak dawnym, że o tym i dąb najstarszy w puszczy nie pamięta...







Samon, kupiec rudowłosy

Było to w czasie tak dawnym, że o tym i dąb najstarszy w puszczy nie pamięta; gdy posiadał był już lud słowa wsze ziemie obfite w skarby, zboże i zwierzęta. Rozciągała się słowiańska dziedzina szeroko, od chmurnego posepnego morza na północy do ciepłych śródziemnych wód na południu, co kąpały się nieustannie w słonecznym blasku. Na zachodzie przeszli dziadowie nasi Łabę i poznali skute lodem góry, gdzie siedziały już niemieckie plemiona. A w tamtej stronie, skąd każdego ranka wstaje promienny Dadźbóg, końmi przemierzali bezkresne stepy, których oko ludzkie nie ogarnie.

Dzielili się Słowianie na wiele rodów i szczepów, a każdy z nich rządził się wedle praw przez lud ustanowionych. Mężowie, co doszli wieku pełnego, zbierali się na wiecach i tam społem radzili, co dla ich plemienia najlepszym się zda. A choć i wodzów na czas przepraw wojennych wybierali, przecie i ci służyć musieli głosu zgromadzenia.

Lecz oto przyszedł rok, gdy wiele słowiańskich pokoleń wolność swą straciło. Od wschodu nadciągnął lud potężny i dziki. Przewano ich Obrami, albowiem niby olbrzymi byli wysocy i straszni. Włos ich czarny niby heban, w dwa warkocze związany, płeć ziemista a oczy skośne jako u drapieżnego rysia. Na koniach śmigłych niby błyskawice przebieżali słowiańskie dziedziny, grabiąc, mordując i uprowadzając niewiasty. A wszystko zwozili nad Dunaj, gdzie ich władca, kaganem zwany, ustanowił stolicę. Nie był to zaś gród z drewna ni kamienia, ale obóz warowny, z namiotów złożony.

W tym czasie z kraju Franków do ziemi Słowian wyruszył pewien kupiec. Nie pierwszy to był raz, gdy przekraczał Łabę. Wiedział, że ta kraina obfituje w skarby, które z zyskiem sprzedać może w swej ojczyźnie. Był tu i bursztyn, i miód, i skóry zwierzęce, a przede wszystkim niewolnicy robotni, których chętnie kupowali frankijscy uprawcy winorośli. Tym razem jednak Samon, bo takie było jego miano, nie mógł działać wiele na kupieckiej niwie. Odwiedził wiele siół i grodów, co liczne są wśród Czechy a Morawiany, ale nawet możni panowie, dzierżący ziemi wiele, nie byli skorzy, by kupować frankijskie szaty, kielichy i pierścienie.

Pewnego wieczora zatrzymał się Samo ze swymi towarzyszami, wozami i dobrem wszelakim w karczmie na Morawach. Zniechęcony i zmęczony siedział przy dzbanie miodu, powoli sącząc słodki napój bogów. Zoczywszy, że stary karczmarz stoi smętny w wejściu, wpatrując się w mrok, przywołał go do ławy. Jako że mowę słowieską znał już bardzo dobrze, postanowił wypytać go, dlaczego tutejsi mieszkańcy tak skąpi się stali.

– Ależ czerwonołoso panie – rzekł karczmarz smutnym głosem – kogóż stać teraz na cudzoziemskie dobra, gdy Obrzy nakładają na nas trybuty straszliwe?

Gdy inni goście gospody posłyszeli, o czym mowa, zaraz włączyli się do rozmowy i jeden przez drugiego poczęli opowiadać, jakież to nieszczęścia spadły na nich od dzikich przybyszów:

– Wszystko nam zabierają!

– Gdy braknie nam złota i srebra, to przychodzą po zboże, świnie i łowną zwierzynę, a nawet córy nasze porywają jako nałożnice!

– A gdy zima śniegiem pokryje pola, a rzeki lodem skuje, schodzą się do naszych domostw, jedzą i piją za darmo, próżnując sobie od rana do wieczora.

– Każą, by wyprawiać się z nimi na Carogród, gdzie wielkie bogactwa mają czekać na dzielnych wojów, ale prawie wszystko zabierają dla siebie, a to, co zostaje, biorą sobie nasi wodzowie i naczelnicy, nie dzieląc się z nikim.

– Tych zaś, co się sprzeciwiają, mordują abo sprzedają kupcom śniadolicym z południa i wschodu w niewolę!

Zadumał się Samo nad tym, co posłyszał, i smutek spowił jego duszę, wiele dobrego spotkało go bowiem od tego narodu i niedolę jego wielce przykrą znalazł. Milczał przez czas dłuższy, zapatrzony w kielich skrzący się trunkiem. Wreszcie podniósł głowę i rzekł:

– Dumam, że mógłbym znaleźć radę na waszą niedolę, lecz czy wodzowie wasi raczą mnie wysłuchać?

Na to rozległ się głos z izby:

– A pewno, że wysłuchać muszą. Za dwa dni wiec wielki odbyć się ma w Mikulczycach. Tam naczelnicy a starsi wszystkich plemion, co siedzą w Czechach, Morawach i dziedzinie nitrzańskiej, spotkają się, by radzić nad przygotowaniami do wojennej wyprawy, którą kagan przeciw Grekom

zarządził. Na wiecu każdy wolny syn słowa głos zabrać może, a tyś przecie nie rab i mowę naszą znasz.

– A więc udam się tam i ja – odparł na to Samon, po czym zamasztył ruchem podniósł kielich i spełnił go do dna.

•••

Mnogo narodu zeszło się w Mikulczycach, że gród ledwo pomieścić ich mógł. Główne obrady trwały na placu ofiarnym, gdzie dąb wielki rósł i źródło z ziemi biło, a wokół nich rów wielki krąg zamykał, a wzdłuż rowu słupy stały misternie rzeźbione, ku chwale bogów wystawione, a na każdym słupie czaszka końska albo i turza spoczywała. I ołtarz był kamienny, i rozpalone palenisko. Tam to żyrzec uczynił ofiarę, zarzynając wołu i Perunowi, bogu walecznemu, modłę składając. A gdy obrządków dopełnił, wodzowie przemawiać poczęli, mówiąc, ilu wojów kagan przykazał wysłać każdemu plemieniu.

Wreszcie kończą prawić słowa, co smutkiem i wściekłością napęniają zgromadzonych, a wtedy powstaje Samo, ów mąż z obcego narodu, rudowłosy a wielki jako topola, i rzecze:

– O mężowie dumni, ludu słowa, jak długo jeszcze chcecie znosić upokorzenia, które zsyła na was kagan, ten koński syn, pies skośnooki?! Powstańcie przeciw jego samodzierzawiu, okowy zrzucicie niewoli!

– Coże prawisz, cudzoziemcze, za nedorzeczości? – powiada jeden z naczelników plemiennych. – Wielka jest moc kagana, jakże nam się z nią mierzyć?

– A jednak wasza moc większa jest – odrzekł niezrażony Samon – choć o tym nie wiecie. Wszak Słowian mnogo jako ziaren piasku na brzegu, a Obrzy nieliczni. Zjednoczyć się musicie. Miast wielu odrębnych plemion jedną rzeszę uczynicie.

– Dobrze prawi ten Frankijczyk! – krzyczy ktoś z tłumu. – Wypowiedzmy posłuszeństwo okrutnikom, na Carogród nie ruszajmy.

– Ależ idźcie na Greków z Obrami – sprzeciwia się Samo – lecz gdy zacznie się oblężenie Carogrodu, porzucicie kagana, na pastwę czcicieli jednego boga go wydajcie, a sami skoro wracajcie do swej dziedziny. W Panonii jeno nieliczni Obrzy zostaną, łącznie ich wytraciecie.

Zdumieli się zgromadzeni mądrością Samonową i postanowili rad jego wysłuchać. Jakoż ruszyli na południe, gdzie za Dunajem kagan obóz rozbił, a potem wraz ze skośnookimi wojownikami pod sławną stolicę Greków podeszli, jedni jako piechota, inni na łodziach drewnianych płynąc. Lecz po dniach kilku, gdy noc zapadła, porzucili oblężenie pod osłoną mroku, a konie Obrów pokradli. Gdy Grecy spostrzegli, że sojusznicy oblężników zdradzili, natarcie przypuścili okrutne. Krasne stały się wody Bosforu i Czarnego Morza od krwi pokonanych najeźdźców, a kagan, sromotą okryty, ratować się musiał ucieczką.

Tymczasem wojowie słowiańscy skoro dotarli na północ na rączych koniach Obrów i wnet przystąpili do rozprawy ze zniechęconymi ciemiężcami. Rychło znieśli wszystkie obozy wroga w ziemi czeskiej, morawskiej i nitrzańskiej, a ich załogi w pień wycięli. Kto żyw uszedł z krwawej zasadzki, w ukryciu wielkim podążać musiał do Panonii, przemykając się przez miejsca pustynne a leśne komysze. Samon bowiem, który częścią wojsk dowodził i wielką się wslawił walecznością, przykazał, by każdego Obrę, co do osady ludzkiej się zbliży, pochwycić i stracić. I rzeczywiście, gdy jaki nieszczęśnik zabłąkał się w poblizze sioła czy sadyby i zobaczył go któryś ze smardów, nie mógł spodziewać się zmiłowania. Wnet takiego powrozami krępowano i na ołtarzu złożony, ku uciesze bogów gardło mu podrzynano. Ciała zaś chłopkowie rychło na stosie palili, w obawie, by z takiego truchła wapiersz jakowyś się nie wylągł.

• • •

I tak zrzucili Słowianie jarzmo przybyszów ze wschodu. Gdy walki ustały, zebrali się wodzowie i starsi, a z nimi mężów wolnych krocie, na wielkim wiecu w Mikulczycach, by postanowić, jak też wolność swych plemion utrzymać i chronić. Gdy wreszcie się naradzili, ogłosili wielkie nabożeństwo dziękczynne ku czci Peruna, boga wojennego, uczynione. A gdy wielki żyrzec grodu dokonał obrządków, zwrócił się do Samona, co również na wiec przybył, w te słowa – Wielceś przyczynił się, Samonie, do naszego zwycięstwa, twa mądrość i odwaga sławnymi stały się pośród ludu naszego. Dlatego postanowiliśmy obrać cię księdzem nad wszystkimi szczepami Słowian, co żyją po tej stronie Karpat. Panuj nad nami, jako panuje kagan nad Awarami, car nad Grekami, a król nad Frankami.

Na to odpowiedział Samo:

– Wielki to zaszczyt dla mnie słyszeć te słowa. Jeśli taka jest wola tego ludu, księciem waszym zostanę.

– Lecz by być władcą naszym – zwrócił się doń żyrzec – przez poddanych poważanym, musisz wiarę naszą przyjąć i bogów uznać, albowiem ksiądz w obrządkach świętych uczestniczyć musi, a wiele z nich i we własnej osobie sprawuje.

Zamyślił się Samon na te słowa, do tej bowiem pory, choć słowieską wiarę znał dobrze i nieraz w chramach i trzebiszczach ofiarę kupcom nakazaną składał, to krzyż na piersi nosił. Wreszcie strumień słów stanowczych popłynął z jego ust:

– Zgadzam się i na to, teraz znajdziecie mnie czcicielem bogów waszych. I Peruna Gromowładcy, i Welesa podziemnego, i Swaroga, i Mokozy.

Okrzyki radości popłynęły na to wyznanie z tłumu, który wnet pokłon oddał swemu władcy i wyrzekł słowa przysięgi:

– Oto nasz ksiądz prawowity, niechaj błogosławią mu bogi niebios i podziemi. Sława! Sława! Sława!

Słowa danego ludowi on niegdysiejszy kupiec frankijski dotrzymał. Nie tylko gorliwie cześć bogom słowieskim oddawał, ale i podług zwyczaju przyjętego żon sobie wziął dwanaście z niewiast najurodzawszych a z rodów najznacniejszych pochodzących. Z tych to małżonek czcigodnych synów doczekał się dwudziestu dwóch, córek zaś dwanaście mu powiły.

A władcą okazał się nad podziw mądrym i przezornym. Grody nakazał wznosić nowe, stare zaś grodziska umacniał potężnymi wały. Pomiędzy nimi zaś zdziałać polecił drogi bite, aby mogli posłańcy rychło z poleceniami jego docierać, kupcy zaś bezpiecznie przewozić dobra swoje. Jakoż rozkwitło kupiectwo pod rządami Samona, bogactwo przynosząc zakarpackiej dziedzinie. Poddani księdza żyli w dostatku, dziękując bogom, że pobłogosławili ich władcą tak dobrym i roztroptym.

• • •

Sława rudowłosego księdza i jego władztwa rozeszła się szeroko po ościennych krainach. Dotarła i na dwór Dagoberta, króla Franków, który –

gdy tylko doniesiono mu o powodzeniu byłego poddanego i tym, że porzucił on krzyż – zapalał gniewem straszliwym. Zawezwał zatem jednego z zauszników, imieniem Sychariusz, i zwrócił się doń słowami gorącymi:

– Zniewagą jest dla mnie, iż kupiec frankijski, co winien mi posłuszeństwo, władcą stał się udziałnym wśród czcicieli obmierzłego bałwana Peruna. Zaradzić coś na to trza rychło.

– Posłyszałem, panie – powiada na to Sychariusz – o wyprawie kupców naszych, których zbójce słowiańscy niezbożnie napadli i pomordowali, a dobra ich zabrali. Udam się jako twój poseł na dwór onego zdrajcy i zażądam, by zadośćuczynił krzywdzie oraz zwierzchność twą uznał.

Twarz Dagoberta pojaśniała od tej przemowy.

– Dobrześ to obmyślił, Sychariuszu – powiedział król. – Ruszaj zatem, niechaj cię Krystus prowadzi.

Wyruszył zatem poseł królewski wraz z drużyną rycerzy walecznych, specjalnie dobranych, w podróż daleką przez lasy i góry. Wreszcie dotarli do Mikulczyc, gdzie niedawno osiadł był ze swym dworem Samon na zimowy spoczynek. Gdy jednak ksiądz posłyszał, kto chce się z nim spotkać, od razu zrozumiał, iż Dagobert, lis przebiegły, podstęp okrutny szykuje. Odmówił zatem spotkania się z poselstwem i nakazał Sychariusza z grodu wyrzucić.

Królewski poseł był jednak mąż rozumu wielkiego. Przebrał się w suknie słowiańskie i do grodu wrócił. A że właśnie wiec się odbywał, gładko w rzeszę się wtopił i przed księdzowskie siedzisko dotarł. Tam przedstawił Samonowi żądania Dagobertowe. Ksiądz miał za zrabowane mienie i krew kupiecką nawiązkę zapłacić w wysokości trzystu grzywien srebra. Ponadto zwierzchnictwo frankijskie winien uznać i do wiary w Jezu Krysta powrócić, a żony swe jako nałożnice plugawe oddalić. Okrzyki wzburzenia rozległy się wśród zebranych, gdy posłyszeli zuchwałą przemowę, lecz Samo zimną krew zachował i rzekł tako:

– Wiary ludu swego umiłowanego z pewnością nie porzucę. Zwierzchnictwo Dagobertowe uznać mogę, lecz wprzódy król musi przymierze ze mną zawrzeć, a przysięgać będziem tak na Jezu Krysta, jako i na Peruna Gromowładcy, i na Welesa, boga skotnego.

Na to odparł Sychariusz:

– Możliwym nie jest, coby krześcijany a Boży słudzy przyjaźń zawierali z psami.

Rozsierdzili się słowiecy wojowie, słysząc te słowa, i mieczami roznieść chcieli cudzoziemskiego zuchwalca. Samon jednak skinieniem dłoni ich oddalił i głosem zimnym jako skała powiedział:

– Widać wojny chce z nami Dagobert, a więc i będzie ją miał.

Na tym skończyło się Sychariuszowe poselstwo. Z niepokojem wracał wysłannik królewski na dwór, nie wojnę bowiem nową miał przynieść, lecz hołd psa pogańskiego. Alibo Dagobert rad okazał się obrotowi rzeczy i wnet przygotowania wojenne rozpoczął, wierząc w rychłe zwycięstwo, co imię jego okryje sławą wiekuistą.

Nie zwlekając zbyt długo, król zebrał najprzedniejsze oddziały i ruszył na wschód. Chcąc jeszcze przewagę swą wzmocnić, posłał zaufanych zauszników z bogatymi dary do wodzów Alemanów i Longobardów, prosząc ich o wsparcie. Jakoż zgodzili się chętnie i jedni, i drudzy, skuszeni tak darami, jak i widokami łupów potężnych. Moc zastępów szczepów niemieckich wkroczyła do Samonowej dziedziny.

Wszystkie jednak posunięcia wojskowe Dagoberta bacznie obserwowali szpiedzy Derwana, księdza Serbów. Ten, choć Frankom hołd złożył i trybut płacił, od dawna po cichu sprzyjał Samonowi i chciał przejść na jego stronę. Wysłał zatem syna do Mikulczyc, aby tam zdał sprawę z poczynañ wroga. Gdy rada starszych poznała zamiary Dagoberta, zasmuciła się ogromnie. Myśleli wszyscy, że wojna już przegrana, skoro wróg taką watahą zmierza. Samo jednak, jak zwykle spokojny, kazał wszystkim zamilknąć i przemówił w te słowa:

– Zagrożą nam tylko, gdy wystąpią razem. Musimy zmusić ich siły do rozdzielenia się.

– Lecz jakże tego dokonać? – zasępił się ktoś z rady. – Żadnych przekupionych zdrajców na dworze Dagobertowym nie mamy.

– Zdrajców i pieniędzy do tego nam nie trzeba – powiedział Samon. – Dokonamy tego w boju.

Ksiądz urwał na chwilę i wzniosł oczy ku niebu w modlitewnym jakby zamyśleniu, po czym prawił dalej:

– Alemany i Longobardy na pewno ubezpieczać będą boki wojska Dagobertowego. Niech Serbowie i Nitrzanie przypuszczą na nich uderzenie i wnet wycofają się. Oni są lud porywczy, pewien jestem, że ruszą w pościg i Dagoberta porzucą. Wtedy ja Franków z głównymi siłami najadę.

Radość odmalowała się na twarzach starszych i dowódców – Samo znów zadziwił ich swą przebiegłością.

– Zrozumieliście wszystko? – zwrócił się do nich ksiądz. – A zatem w imię Perunowe.

I ruszyły pułki słowieskie na spotkanie z wojskiem Dagoberta. Ten zaś rozbił obóz tuż nad granicą, około grodu, który zowie się w języku obcego narodu Wogastisburg. Trudno mu było jednak zapanować nad najemnymi wojami, albowiem Alemanów i Longobardów ciągnęło do łupiestwa. Gdy ruszyli na nich Nitrzanie i Serbowie, szybko wpadli w szal bojowy. Nieliczne te i słabo uzbrojone szczepy wnet pobili. Strat w ludziach jednak wielkich nie zadali, jako że słowiescy wojowie, korzystając z ręcznych obrzańskich rumaków, łącznie się rozproszyli. A że Niemce poczęli ich ścigać i wnet oddalili się, Dagobert pozostał bez opłaconego wsparcia.

Na to tylko czekał Samon, którego zwiadowcy bacznie obserwowali rozwój wypadków. Oddziały jego ukryte w lasach pobliskich zniemacka wypadły z komyszy i przypuściły napad straszliwy na obozowisko wroga. Frankowie wpadli w popłoch najsampierw, ale że okopali się solidnie wałami, przetrwali pierwsze natarcie i wnet sami nacierać poczęli dzielnie.

Ach! Jakże okrutna i krwawa była to bitwa! Śmigwały strzały i szczekało żelazo. Kości pobitych wojowników trzeszczały tratowane przez konie. Lecz choć góry trupów rosły niby zboże na wiosnę, żadna ze stron nie mogła uzyskać przewagi. Już zdawało się nieraz, że Słowianie dopadną frankijskich namiotów, lecz Dagobertowym wojom wciąż udawało się ich wypierać z obozowiska.

Tak minął dzień pierwszy, tak minął dzień drugi. Trzeciego dnia o brzasku, gdy Dadźbóg dobry łuny czerwone począł rozpalać na niebie, Samo poleciał grupie najdzielniejszych wojów, by zakradli się do środka Dagobertowych zastępów rzeką pienistą, co płynąc z południa, przecinała obóz. Jakoż nacięli oni trzciny, przez które oddychać mogli, i skryci wśród odmetów dopłynęli daleko, nieopodal miejsca, w którym sam król frankijski przebywał i bitwą kierował. Rychło wyskoczyli z topieli i nacierać poczęli okrutnie.

– Zdrada! – zakrzyknęli Frankowie. – Wrogowie są wśród nas! Gorze nam, o gorze!

W straszliwy popłoch wpadli wrogowie, choć wojów słowieskich w obozie było kilkunastu, i rzucili się do ucieczki. Widząc to, Samon rozkazał walecznym swym mężom ze wszystkich stron przypuścić natarcie. I tak stał się koniec wojsku frankijskiemu. Rycerze obcy w pień niemal zostali wycięci, a kto się ostał żywym, do niewoli trafił. Również i broń,

i dobra wszelakie w obozie zgromadzone dostały się słowieskim wojom. Dagobert zaś, by ratować swój żywot, pieszo uciekł w wielkim popłochu, hańbą a nie sławą wymarzoną okryty.

Nie był to jednak koniec jego klęsk. Rozzuchwaleni Słowianie niedługo potem przekroczyli granicę i pustoszyć okrutnie poczęli frankijską dziedzinę. Grody i sioła palili, ludzi uprowadzali, by ich potem jako rabów kupcom cudzoziemskim sprzedawać; kąciny Krystusowe grabili, a z łupów zdobytych dziesiątą część bogom składali w ofierze. A również i wiele szczepów z północy i południa, co dotąd władzy Samona nie uznały z obawy przed Frankami i Obrami, przyłączyło się do niego, powiększając władztwo księdza w dwójnasób.

•••

I tak ów cudzoziemski kupiec rudowłosy wolność i chwałę przyniósł przodkom naszym. A panował im lat trzydzieści i pięć, niezwyciężony przez nikogo. Gdy wreszcie śmierć go powaliła i dusza jego przeczysta uleciała do Wyraju, smutek wielki ogarnął wszystkich mieszkańców słowiańskiej rzeszy. Godnie ciało jego spalili, a prochy w garncu pięknie toczonym złożywszy, z dary licznymi w jamie ziemnej umieścili, a nad tą jamą kopiec wielki na wieczną pamięć usypali. I choć Samonowa dziedzina rychło się rozpadła, możni bowiem, skłóceni i zapalczywi, wybrać nowego władcy nie mogli, przecież aż po dziś dzień w pieśniach ludu naszego on żyje.

Tak było w czasie pradawnym, o którym i dąb najstarszy w puszczy nie pamięta; posiadał jeszcze lud słowa wsze ziemie obfite w skarby, zboże i zwierzęta.

•••

– Tak było w czasie pradawnym, o którym i dąb najstarszy w puszczy nie pamięta; posiadał jeszcze lud słowa wsze ziemie obfite w skarby, zboże i zwierzęta – tymi słowy starzec zakończył opowieść.

– Ach! Jakie to wspaniałe dzieje! – zakrzyknęły dzieci, a kilku chłopców już zdążyło porwać patyki i okładali się nimi, udając, że walczą

z Frankami.

– Wspaniały jest nasz lud i niezwycięzeni są nasi bogowie – dodały inne otroki.

Posłyszeli i niektórzy ze starszych te bojowe a dumne okrzyki i wnet włączyli się do rozmowy. Z wyrzutem zwrócili się do starca:

– Cóż im prawisz, starcze, za bajdy! O chwale? O sławie? O potędze? Gdzież się one podziały? Wszak siedzimy tu w ukryciu, nie mogąc bogom swym czci należycie oddawać.

Zasepił się starzec, słysząc te wyrzuty, w których jednak wiele prawdy było. Lecz cóż on temu winien, że moc Słowian przeminęła?

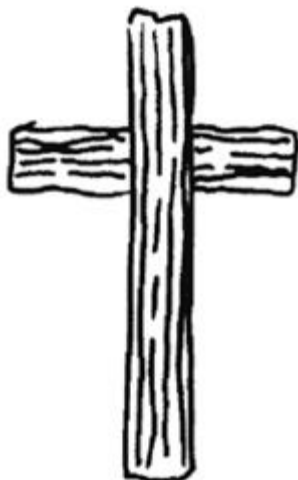
– Stare to dzieje, a lud nasz wiele nieszczęść później spotkało – odparł w końcu. – Wina w tym wielka władców naszych, co bogów starych się wyrzekli i krzyż przyjęli, aby z dawnymi wrogami przemierza zawierać.

– To nie mógł jaki junak w obronie naszej znów stanąć? – pytały dociekliwe dzieci.

– A mógł i stanął.

– Któż to taki? Opowiedz, dziadziu!

– Był to Niklot, księżę Obodrytów – starzec rozsiadł się wygodnie i ponownie chwycił gęśle. – Przyszedł czas, gdy zakon chrześcijański opanował całą słowiańską dziedzinę...







Niklot, syn Północy

Przyszedł czas, gdy zakon chrześcijański opanował całą słowiańską dziedzinę. Bułgarzy i Serbowie, Czesi i Morawianie, Polanie i Rusowie porzucili bogów ojców swoich, poburzyli chramy, obalili modły, spalili święte gaje i oddali się we władzę bożyszczu nowemu. Lecz po tej stronie nieba, gdzie gwiazda morska wschodzi, u brzegów samych północnego morza Perun niebieski i ognisty Swaróżyc, i Weles podziemny wciąż mogli wdychać woń dymów ofiarnych, wciąż jeszcze od ludu słowa czci wielkiej zażywali. Tam bowiem, gdzie Obodrzyce i Wilcy, i Ranowie ze swą świętą kąciną, władzę dzierżył wojownik potężny, wróg nieprzejednany krzyża i jego chciwych żerców. Już samo imię jego, co brzmiało Niklot w języku obcego narodu, rodziło przerażenie w duszy każdego Niemca i czciciela Chrysta.

Nikt nie wie na pewno, gdzie się narodził ani z jakiej krwi. W późniejszym czasie, gdy w ukryciu już tylko można było sprawować obrządki ku czci starych bogów, powiadali o nim nabożni Słowianie niejedną klechdę i niejedno bajanie. Twierdzono więc, że porodziła go któraś z wodnych dziewczek, urodziwa nad podziw boginka, do której chucią zapalał potężny wój wielecki. A szedł on na wojnę, by bronić od Sasów najświętszą Radogoszcz, gród potężny, słynący chramem ku czci Swaróżycy. Była już noc, gdy jadąc ciemnym gozdem, ujrzał ją na brzegu leśnego jeziora. Boginka spoczywała wśród wysokich traw i cesała w miesięcznym świetle swoje lniane włosy. Nagle spostrzegła wpatrującego się w nią męża, lecz dziwnym trafem, nie przelekła się ani nie wpadła w gniew okrutny, jak zwykle się to zdarzać przeklętym pannom. Znano je bowiem z tego, że dręczyły wędrowców, co mieli nieszczęście zakłócić ich spokój. Wojownik zsiadł z konia i podszedł do boginki, a ta, urzeczona pięknem jego ludzkiego, męskiego ciała, oplótła go złotymi kosami...

Gdy tylko różany świt rozlał się na niebie i wodach jeziora, opuścił wielecki woj lubą i ruszył w dalszą drogę, by bronić świętego przybytku. Z wyprawy już nie powrócił. Radogoszcz, stolica Redarów, już raz przed laty upokorzona przez Chrystowych wyznawców, co uprowadzili Swaróżycowego świętego rumaka, znów została pokonana, a wszystkich jej

obrońców zgładził miecz saksoński. Zginął również rodziciel Niklota, wieść zaś wśród szczepów słowięskich krążąca nie pomniała nawet jego imienia.

Gdy minął czas przykazany, jeziorna boginka porodziła syna i gwoli zwyczaju rusalnego porzuciła go w przybrzeżnych trzcinach. Wodne panny nie wychowują bowiem dzieci, co spłodzone zostały z ziemskimi mężami. Wolą, by opiekowały się nimi ludzkie niewiasty.

W pobliżu, na niewielkim półwyspie znajdował się gródek zwany Brzezinem. Zamieszkiwał go lud ubogi, lecz wielce poczciwy i spokojny, nieskory do waśni i wypraw wojennych. Trudnili się mężowie z Brzezina rybołówstwem i myślistwem, żony ich zaś i córki lubiły zbierać jagodę wszelką wśród nabrzeżnych zarośli. Zatem gdy tylko boginka ujrzała, że do brzegu zbliża się młoda dziewa z pobliskiego grodu, jęła udawać dziecięce kwilenie, a wraz z nią liczne jej wodne siostry. Dziewczę usłyszało żalony płacz i poczęło się rozglądać po gęstych komyszach, zaciekawione, któż to tak zawodzi. Wnet ujrzała maleńkie chłopię, co spoglądało na nią wielkimi wodnistymi oczami. Wzruszona ulitowała się nad dziecięciem i zabrała je do swego domu.

Pokochała dziewczka wodnego przybłędę, a wraz z nią i mąż jej, i wszyscy mieszkańcy gródka. Wierzyli bowiem Słowianie, że dziecię takie miłe jest bogom i szczęśliwy los przynosi tym, którzy się nim zaopiekowali. Chował się chłopiec dobrze pod czułą opieką przybranych rodziców, a żadna choroba ani niepomyślny wypadek nie dotykały go, albowiem wciąż chroniło go czujne oko wodnej macierzy i jej sióstr.

I tak szczęśliwie doczekał postrzyżyn, kiedy ojciec przybrany ściął jego włosy i nadał mu miano, wprowadzając do grona młodych wojów. Wtedy to już w zachwytyt wprawiał każdego, kto go ujrzał, czy mąż to był, czyli niewiasta, albowiem po ojcu swoim odziedziczył siłę niezwyczajną, a po matce nieludzką urodę. Włos jego jasny był jako lniana przędza, oczy ciemnomodne niczym rzeczna woda albo północna część niebios na przedwieczery, płeć zaś mlecznomalinowa. Gdy ćwiczył się w walce mieczem bądź toporem, broń grała i śpiewała w jego potężnym uścisku. Kiedy jeździł konno, prowadzony przez młodzieńca rumak zdawał się płasać. Nie miał też równych sobie w przegonach ni w pływaniu. A we wszystkich tych igrach towarzyszem nieodłącznym był mu Przybysław, brat jego młodszy, chłopię smagłolice.

Niklot, który nie wiedział, że z innej jest matki, kochał go bardziej niżli duszę własną. Spędzali razem czas na wesołych igrach – młodzieniec uczył brata strzelać z łuku do tarczy, tropić leśną zwierzynę i zarzucać sieci na połów obfity. Gdy zaś przychodziły ciepłe letnie dni i po kupalnej nocy wodni mężowie i żony stawali się mniej nieprzychylni ludziom, każdego wieczoru pływali w jeziorze, czekając, aż wszędzie czerwony miesięczek i zapali toń.

Szczęśliwie płynęły Niklotowi te lata młodzieńcze, aż nagle przyszedł ów nieszczęsny dzień wczesnojesienny. Wtedy to potężne hufy duńskie i saksońskie, co od dłuższego już czasu tratowały obodrycką ziemię, nadciągnęły nad leśne jezioro. Niewielki grodek, choć na półwyspie położony, nie mógł ostać się przed wrogą przemocą. Gdy wały i domostwa stanęły w płomieniach, a obcy wojowie poczęli mordować każdego, kto nie poległ w walce, mieszkańcy rzucili się ku wodom jeziornym, tusząc, że uda im się ocalić życie.

Wśród uciekających byli również Niklot i Przybysław. Lecz i rozświetlona blaskiem ognia i zachodzącego słońca toń nie dała im ocalenia, najlepszych bowiem pływaków doścignęły ręce strzały wroga. Jedna z nich ugodziła również Przybysława, a Niklot, choć potężny już wówczas młodzieniec, nie był w stanie utrzymać w ramionach konającego brata. I tak utonęło dziecko niewinne, w rozpaczę pozostawiając młodego witezia, co jako jedyny z mieszkańców grodu, bo wspierany tajemnie przez wodnych swych krewniaków, dopłynął do przeciwległego brzegu.

Wiele dni i wiele nocy spędził potem na samotnej wędrówce. Przemierzał bory i łąki obodryckiej najpierw, a potem wieleckiej ziemi, lecz nie zawitał do żadnego grodu, sioła ni osady. Ból bowiem wielki targał sercem jego i nie chciał widzieć żadnej ludzkiej twarzy, nie chciał słyszeć radosnego gwaru tych, co ród swój mieli i plemię. Jedno tylko pragnienie w nim wzbierało: zniszczyć wszystkich wojów niemych, czcicieli złowrogiego krzyżowego znaku, dla którego poniżyć chcieli lud słowa i słowieskie bogi. I to ono gnało go coraz dalej – na północ, na północ...

W jedną z tych ciężkich, samotnie spędzanych nocy nawiedziło go we śnie przedziwne widzenie. Ujrzał w nim wielkiego, białego niczym sierpniowa mgła rumaka, co zbliżał się k'niemu przyjaźnie. I głos jakiś tajemniczy posłyszał, szepczący: „Dosiądź go, a dojedziesz daleko”. Gwałtownie przebudził się i długo nie mógł ponownie zasnąć, rozważając, co też miałyby znaczyć to niezwykle widziadło.

Czas płynął, listowie świętych dębów i szczytnych buków ze złotego stało się czerwone, z czerwonego bure, a gdy dotarł nad brzegi północnego morza, smugi śniegu bieliły się w lodowatym powietrzu. Błądząc smaganą wichrem plażą, napotkał niespodziewanie grupę wędrowców.

– Dokąd zmierzasz, młodzieńcze? – zagadnął go jeden z nich. – Czy ty również idziesz, by złożyć ofiary u stóp najświętszego posągu Świętowita?

– Kimże on jest? – zapytał Niklot.

– Nie wiesz? Widać przybywasz z daleka. Toż to bóstwo najświętsze potężnych Ranów, co zamieszkuje wyspę mającą w oddali – wędrowiec wskazał ręką i Niklot dostrzegł rzeczywiście przymglony zarys ostrowu. – Tam, w wielkim grodzie Arkonie, jest jego kącina. Modła o czterech obliczach stoi pośrodku niej. Do środka nikt wejść nie może, jeno ofiarnik, a i to na chwilę, albowiem i on nie ma prawa skalać przybytku plugawym ludzkim oddechem. Żyje tam też święty koń, siwek, na którym Świętowit zasiada każdej nocy i przemierza świat, walcząc z wrogami swymi. A śmiertelnik żaden nie może dosięść rumaka, niechybnie bowiem spłonąłby od pioruna.

Niklot przypomniał sobie niedawny sen, który wydał mu się proroczy, i zapytał:

– Po cóż więc wy tam zmierzacie?

– Jesteśmy kupcami i chcemy dzięki złożyć u stóp Świętowita za szczęśliwy powrót z długiej wędrówki.

Młodzieniec zagadnął starszego męża:

– Czy i ja mogę udać się z wami, by oddać cześć potężnemu bożyszczu i prośbę złożyć u stóp jego?

– Niechże tak będzie – odrzekł przywódca kupców.

I wkrótce dotarli do pobliskiej przystani, gdzie przewoźnicy z łodziami czekali na pobożnych wędrowców, co tłumnie przybywali z czterech stron świata, by oddać cześć wielkiemu bogu. Gdy tylko kupcy wraz z Niklotem znaleźli się na rańskiej ziemi, szybko ruszyli udeptanym gościńcem w stronę Arkony.

Był to potężny gród, umiejscowiony na półwyspie wychodzącym głęboko w morze; wściekle, spienione bałwany bez ustanku rozbijały się o wysokie, strome brzegi. Od strony lądu broniły świętego grodziszcza dwa pasma wyniosłych wałów. By dostać się do środka, trzeba było przejść przez ogromną, nieustannie strzeżoną bramę. Ilekroć rozwierały się szumnie jej wierzeje, zadziwiająco zręcznie uczynione, dreszcz

niewysłowny przeszywał ciała i dusze nabożnych przybyszów. W tym przenajświętszym przez boga wybranym miejscu zwykli śmiertelnicy przebywać mogli krótko. Na stałe mieszkali tam jedynie ofiarnicy oraz straż kącinna, z trzystu najwyborniejszych jeźdźców złożona.

Kiedy strudzeni wędrowcy dotarli do grodu, mrok już najgłębszy panował nad światem i za późno było, by mogli złożyć dary dziękczynne. Udali się więc na spoczynek, Niklot jednak nie mógł zmrużyć oczu. W czeluściach nocy błakał się wciąż w pobliżu podwójnego ogrodzenia otaczającego świątynię. Nagle, tajemnym jakimś sposobem, otworzyły się wrota prowadzące na plac świątynny. Młodzieniec wszedł przez nie i dostrzegł w mroku rozświetlony budynek. Domyślił się, że to kącina straszliwego boga, ale bez lęku udał się w tamtą stronę. Zaiste piękna to była budowla. Wspierała się na czterech wysokich słupcach, ściany zaś jej od zewnętrznej strony przyozdabiały straszliwe rzeźby a malowidła niczym tęcza barwne. Gdy wszedł do środka, dostrzegł posąg ogromny, około którego płonęły ogniska. Cztery brodate twarze bożyszczka groźnie spoglądały we wsze strony. W rękach posągu dostrzegł róg złoty, nad podziw zręcznie wykonany. Na jednej ze ścian kąciny wisiała złota uzda, siodło i potężny miecz.

Niespodziewanie w mroku zapłonęła przed nim para jarzących się oczu. To czcigodny rumak Świętowitowy zbliżał się ku niemu. Niklot rozpoznał w nim konia ze snu. Sam nie wiedząc dlaczego, bystro wskoczył na zwierzę, a to poddało się jego woli. Młodzieniec z czcią najgłębszą pokłonił się Świętowitowi i ruszył.

Świtało już, lecz wokół świątyni gwar panował wielki, rozeszła się bowiem wieść, że jakiś bluźnierca ośmielił się naruszyć spokój kąciny. Szli więc dostojni, długowłosi a siwi żercy, a także i lud wierny zobaczyć, czyli też piorun spalił świętokradcę. Wnet jednak rozstąpili się Ranowie i przybysze, a niektórzy z nich padli na ziemię, ujrzeni bowiem męża złotowłosego na białym rumaku i myśleli, że oto bóg ich wszechwładny nawiedził swą krainę i zmierza ku nim. Wędrowni kupcy rozpoznali wprawdzie Niklota, lecz i oni stali oniemiałymi, patrząc, jak rumak i jeździec opuszczają najpierw kącinną zagrodę, a potem gród arkoński, by wreszcie zniknąć w oddali.

Strażnicy najświętszego przybytku podeszli do naczelnego żercy i zapytali:

– Czcigodny mężu, czy powinniśmy ścigać tego bluźniercę, co porwał Świętowitowego rumaka?

– Nie czyńcie tego – odrzekł żerca – albowiem Świętowita wolą się to stało. Wskazał on swojego mściciela.

A Niklot pędził wybrzeżem, mijając po jednej stronie białe skały, a po drugiej spienione bałwany. Słońce wzniosło się już ponad wody i rozświetliło mu drogę, a on wiedział, co na tej drodze go czeka i czego dokona...

Prędko rozniosła się wieść wśród wszystkich Słowian, co żyli między Łabą a Odrą, że oto bogowie wybrali witezia, który obroni tak ich, jak i starą wiarę przed zakusami wrogów. Gdy więc przemierzał kolejne wsie i grody, wielu wojów przyłączało się do niego i poddawało jego władzy. A z czasem i wiele rodów, i plemion całych uznało jego zwierzchnictwo, tak że stał się najpotężniejszym wojownikiem i księdzem w całej ziemi Obodrytów. Niedługo potem doniesiono mu, że Rytgier, witeź straszliwy, pustoszy ziemię Drzewian.

– A wiele grodów już wcześniej spłonęło za jego wolą, wśród nich i nieszczęsny Brzezin, z którego ni belka nie została – rzekł jeden z drzewiańskich posłów, co przyniósł smutną nowinę.

Gniewem zawrzał Niklot, kiedy usłyszał nazwę rodzinnej wsi, i postanowił pomścić krajan swoich. Ruszył z wojami swymi. Po drodze zasięgnął języka, wiedział więc, na której z polan odpoczywają zmęczeni łupieżstwem Sasi.

Wielka to była rzeź, gdy ku śpiącym na poły wydziercom ruszyły o świtaniu Niklotowe zastępy. Słowianie mordowali bez opamiętania, a i sam wódz nie miał litości dla wroga, przeszywając każdego, kto stanął na drodze jego potężnego rumaka. Również Rytgier zginął z jego ręki, topór okrutny rozciął na dwoje głowę rycerza. Jedyne kilku obcym wojom Niklot darował życie i puścił ich wolno, by ponieśli za Łabę wieść o pogromie i wzbudzili strach w każdym saskim sercu.

Natchniony wielkim zwycięstwem Niklot poczynął sobie coraz śmieiej – nie tylko bronił swej ziemi przed najazdami wroga, ale i sam wyprawiał się wielokrotnie za Łabę, za nic mając wały i brony saksońskich grodziszczy, nie zważając na klątwy i złożeczenia tych, co Chrystowi sprawiali ofiarę. Tak prości chłopci, jak i potężni rycerze z trwogą szeptali:

– Czyli i ku nam przyjdzie on potężny witeź złotowłosy, by pomordować nas a żony i dzieci nasze?

– Izaliż obroni nas Chryst przed tym poganinem?

Lęk wielki padł na nadgraniczne niemieckie ziemie, tak że napady saskich panów na słowięskie szczepy ustały. Nie był to wszakże koniec okrutnych poczynań Niklota i drużyny jego wybranej. Razu pewnego, chcąc upokorzyć sąpierz i pomścić zniszczenie przed laty najświętszej kąciny w Radogoszczy, napadli oni na wielki kamienny chram niemieckiego boga. Wytracili wszystkich ofiarników i lud, co uczestniczył w nienawistnych obrządkach, złote zaś i srebrne kielichy oraz inne cenne dobra, ku chwale obcego bożyszczka uczynione, osobiście ofiarował czcigodnemu Świętowitowi.

Innym razem wyprawił się przeciwko Dunom, co najeżdżali nadmorskie dzielnice. Rozbił do szczętu obce wojska i wziął do niewoli ich wodza, znacznego chrystowego zercę zwanego biskupem, który towarzyszył wyprawie, i jego piękną córkę. Gdy tylko ujrzał to nadobne dziewczę, zapłonął k'niemu miłością gorącą. Ale bo też przepiękna była z niej niewiasta: płeć jej biała jak śnieg, włos czarny niczym krucze pióra, a oczy barwy wrzosu pod jesień rozkwitłego. Nie chciał jej krzywdzić ni mężów jej bliskich i postanowił wszystkich puścić wolno.

Dziewczyna jednak, ku zgrozie ojca swego, nie chciała odejść, pokochała bowiem złotowłosego witezia i za nic miała swą wiarę i ojcowe zakazy. Pozostała więc duńska dziewczka u boku Niklota, stając się najczulszą powierniczką jego pragnień a trosk. A ten, choć wiele miał niewiast, przecież najbardziej umiłował sobie ową przybłędę, co ukochała witezia i pocziwy lud jego. Dziewka zapomniała wnet o Chrystcie i jego prawach, poczęła czcić słowięskie bogi i gadać słowięską mową. Nazwali ją Niklotowi towarzysze Wszemiłą, czyli tą, co przez wszystkich była ukochana. Ona też porodziła witeziowi syna, co przy postrzyżynach mianowany został Przybysławem, na pamiątkę stryja, którego nie było mu dane poznać.

Lata mijały, a ksiądz Niklot wciąż czynił wszystko, by uratować lud swój, dziedzinę i bogi od zagłady. To zawierał drużbę z wrogami, to stawał przeciw nim z mieczem w ręku. Zdarzyło się nawet, że trafił do niewoli, aliści dzięki rozumowi swemu zwiódł przeciwników i, obiecawszy im obfite dary, odzyskał wolność. Wielokrotnie obiecywał też zaprzyjaźnionym panom saskim, że porzuci swą wiarę i uzna boga niemieckiego. Po prawdzie nigdy jednak nie powziął myśli, by to uczynić.

Gdy na czele saksońskiego księstwa stanął potężny i okrutny młody woj, Henryk Lwem przewany, postanowił ostatecznie rozprawić się z nieuznającym żadnych zwierzchności ni umów Niklotem. Zebrał przeto mnogo rycerstwa, tak z Saksonii, jak i innych krain, i ruszył na słowięską dziedzinę. Ale ksiądz obodrycki zawczasu już, dzięki przepatrywaczom swoim po drugiej stronie Łaby siedzącym, wiedział o wrogiej wyprawie i przygotował się do niej. Gdy wojowie prowadzeni przez Henryka wkroczyli na słowięskie ziemie, zastali grody potężnie obwarowane, a obrońców dobrze uzbrojonych. Wszystkie ich próby złamania oporu Niklotowych wojów nie powiodły się. Sam ksiądz dzielnie a z rozmysłem dowodził obroną potężnego grodu swego w Dubinie. Gdy zasromane porażką obce hufy odchodziły ku ziemi niemieckiej, patrzył na nie z wałów, uśmiechał się pod sumiastym wąsem i gładził po płowej brodzie, którą był już onego czasu zapuścił. A niedługo potem sam wyprawił się na zachód i zdobył niespodziewanym a gwałtownym atakiem Lubekę. Mężów, którzy jej bronili, wytracił co do jednego, kobiety zaś i dzieci pojmał i jako niewolników uprowadził do kraju swego.

Lecz przeciwnik wciąż rósł w siłę, podczas gdy wyczerpane walką szeregi słowięskie topniały. A i sam witeź stawał się coraz starszy i coraz większe zmęczenie przygniatało mu piersi. Już broda jego cała siwa była, już na jego głowie nie uświadczyłaś ni jednego słonecznego włosa. Znowu jednak musiał ruszyć w bój, bo oto Henryk Lew zebrał ogromne zastępy i napadł obodrycką ziemię, by ostatecznie rozprawić się z najpotężniejszym wrogiem krzyża i jego poddanymi. O świcie, w piękny dzień późnego lata przełamującego się w jesień, stał Niklot zapatrzony w dal na wałach grodu. Myślał o tych wszystkich latach walki, które nie przyniosły mu ni zwycięstwa, ni ukojenia w bólu po stracie krewniaków. Gdy tak stał w wielkim zadumaniu podeszła do niego Wszemiła, niegdyś kruczowłosa, teraz siwa jak gołąbek.

– Czyżbyś lękał się przed kolejną wyprawą? – zapytała z troską.

– Nigdy nie poznałem smaku strachu, ale jestem już zmęczony, gołąbeczko, bardzo zmęczony – odrzekł ze smutkiem w głosie.

Po czym ucałował białe włosy lubej, nałożył szyszak na głowę i zszedł z wałów, nie obracając się. Nigdy więcej nie miał już ujrzeć Wszemiły ani ona jego.

Bitwa straszliwa rozgorzała pod Orlem. Żalosne jęki pękających pancerzy, szczybiących się mieczy, roztrzaskiwanych szyszaków mieszały

się ze szczękiem padających na ziemię i tratowanych ciał. A choć Niklotowi witezie walczyli ze wszystkich sił, młody germański lew zyskiwał przewagę nad starym słowieskim turem. Rozproszyły się hufy obodryckie, wróg przejmował chorągwie z obrazami bogów. Siwowłosy ksiądz, choć wielu obcych wojowników położył trupem, coraz bardziej opadał z sił. Otoczony przez sforę wrogów, raniony okrutnie mieczami i włóczniami, padł wreszcie na ziemię i skonał, a dusza jego, niby ognisty ptak, odeszła do Wyraju.

I tak zginął Niklot, a wraz z nim stary zakon i starzy bogowie. Syn jego, Przybysław, ukorzył się przed Henrykiem Lwem, uznał niemieckie władztwo i przyjął wiarę chrześcijańską. Na spustoszoną krwawymi zapasami obodrycką ziemię jęli przybywać coraz liczniej obcy, co pojmowali miejscowe niewiasty. Dzieciom, które z nich się rodziły, nie przekazywano wzgardzonego języka przodków, tak że z upływem lat zamilkła słowieska mowa między Odrą, Łabą i Północnym Morzem. Lecz przez długie lata żyła jeszcze wśród miejscowego ludu pamięć o dobrym i walecznym władcy, co całe życie poświęcił, by bronić ludu swego i jego bogów.

•••

– ...lecz przez długie lata żyła jeszcze wśród miejscowego ludu pamięć o dobrym i walecznym władcy, co całe życie poświęcił, by bronić ludu swego i jego bogów – zakończył starzec.

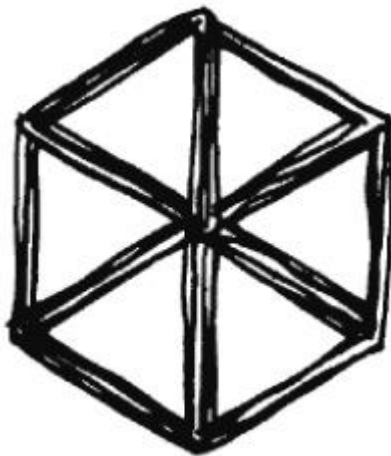
Cisza zapadła głęboka. Słysząc było jedynie trzask dREW w dogasającym już palenisku. Dzieci spały poprzykrywane baraniami skórkami. Nikt nie ozwał się słowem aż do świtu. Wtedy to dziad rzekł:

– Czas nam kończyć i ogień dogaszać. Budźcie dziatki swoje i wracajmy do domów.

Dzieci powstawały niechętnie, mrużąc zaspane oczy i garnąc się do tłącego się żarem paleniska. Stary spojrział na nie z miłością i zadrżało w nim czułe słowiańskie serce. Pomyślał bowiem, że dopóki są dzieci, które o dawnych pamiętają bogach, stara wiara nie zginie.

– Bądźcie dzielne, moje dziatki – rzekł do nich głosem rozedrganym od wzruszenia – i nigdy nie zapominajcie o tym, com wam przekazywał. Niech Perun i Swaróg z synami swymi, Dadźbogiem i Swarozycem, czuwają nad

wami. Niech Mokosz, Rod i Rodzanice, Strzybóg i Chors błogosławią
wam. I oby Weles przyjął dusze wasze na błogosławione łąki Nawii.



Słowniczek trudniejszych wyrazów i nazw własnych 1

abo – albo

Alemanowie – lud germański

alibo – albo, lub, lecz

aliści – ale

Arkona – gród położony na Rugii, ośrodek kultu pogańskiego

bajania – opowieści

bajcara – kobieta opowiadająca bajdy

boginias – syn boginki

Carogród – Konstantynopol, stolica Cesarstwa Bizantyjskiego

chram – świątynia słowiańska

Chryst – Chrystus

Chrystowy – związany z Chrystusem

coże/cóże – cóż

czyli – wzmocnione czy

družba – pokój, przyjaźń

Drzewianie – lud słowiański

drzewiański – związany z Drzewianami

drzewiej – dawniej

dumać – myśleć

dziedzina – kraj, kraina, państwo

dziewka/dziewa – dziewczyna

frankijski – związany z Frankami

Frankowie – lud germański, który dał początek państwu francuskiemu

gorze – nędza, bieda, zło

gozd – las

grodziszcze – wielki gród

huf – duży oddział wojska

igra – zabawa

izaliż – czy

ize – że

jąć – zacząć

jaźwiec – borsuk

jeno – tylko

juże – już

k' – ku

kagan – władca u ludów tureckich

kęcina – świątynia słowiańska

kęcinnny – związany z kęcina

komysze – zarośla

kosa – warkocz

krasny – czerwony, piękny

Kryst – Chrystus

Krystusowy – związany z Chrystusem

krześcijany – chrześcijanie

ksiądz – księżę

kupalny – związany z nocą Kupały

kto zacz – kto to

Longobardowie – lud germański

łacno – łatwo

macierz – matka

maż – mężczyzna

miesiąc – księżyc

miesiączek – pieszczotliwie o księżycu

miesięczny – księżycowy

mного – wiele

modła – posąg

najsampierw – najpierw

nazad – wstecz, temu (ileś dni temu)

niemiec – niemowa, także obcy, ktoś mówiący obcym językiem

nitrzański – związany z Nitraw (miastem na Słowacji)

niżli – niż

noc Kupały – słowiańskie święto związane z letnim przesileniem słońca, obchodzone w czasie najkrótszej nocy w roku

Obodryci – lud słowiański

obodrzycki – związany z Obodrytami

obrzański – związany z Obrami

Obrzy – Awarowie, lud turecki przybyły we wczesnym średniowieczu do Europy Środkowej

on/ony – ten, tamten, ów

otrok – chłopiec

Panonia – kraina w Europie Środkowej, nad Dunajem, na terenie dzisiejszych Węgier

przedwieczerz – pora dnia przed nadejściem wieczoru

pleć – cera, karnacja

przepatrywacz – szpieg

przeto – dlatego

rab – niewolnik

Ranowie – plemię słowiańskie

rański – związany z Raną (Rugią)

rusy – rudy

rzesza – wielkie państwo, powstałe z połączenia wielu drobnych państweczek

sąpierz – rywal, przeciwnik

sioło – wieś

skotny – bydlęcy (przydomek Welesa, „boga bydlęcego”)

słowięski – słowiański

sromota – wstyd

swarzyca – słowiański symbol słońca

szyp – strzała

trza – trzeba

trzebiszczce – słowiański ośrodek kultowy umiejscowiony w przestrzeni otwartej

tuszyć – mieć nadzieję
upir – upiór, wampir
uprawca – hodowca
Wieleci – lud słowiański
wielecki – związany z Wioletami
wierzeje – wrota
Wilcy – inna nazwa Wioletów
witeź – bohaterski wojownik
wydzierca – rabuś
wytracić – wybić
zabyć – zapomnieć
zakon – prawo, również religijne
zasromany – zawstydzony
zdradźca – zdrajca
złorzeczny – złorzeczący
zoczyć – zobaczyć
żyrzec/żerca – kapłan pogański
żertwa – słowiańska ofiara religijna

1. Słowniczek nie uwzględnia nazw bóstw i innych istot nadprzyrodzonych objaśnianych wprost w tekście. [\[wróć\]](#)

Bibliografia

(pozycje wykorzystane w niniejszej książce i polecane dociekliwym do lektury)

Baranowski B., *W kręgu upiorów i wilkołaków*, Łódź 1981.

Gieysztor A., *Mitologia Słowian*, Warszawa 2006.

Łowmiański H., *Religia Słowian i jej upadek (w. VI–XII)*, Warszawa 1979.

Moszyński K., *Kultura ludowa Słowian*, t. 1: Kraków 1929, t. 2 (cz.1–2): Kraków 1934–1939.

Pełka L., *Polska demonologia ludowa*, Warszawa 1987.

Strzelczyk J., *Mity, podania i wierzenia dawnych Słowian*, Poznań 2007.

Szyjewski A., *Religia Słowian*, Kraków 2003.

Urbańczyk S., *Dawni Słowianie. Wiara i kult*, Wrocław 1991.

Tomicka J., Tomicki R., *Drzewo życia. Ludowa wizja świata i człowieka*, Warszawa 1975.